

King Claire

Nocna tęcza



*To opowieść dla Was, kiedy będziecie już dorosłe,
na wypadek, gdyby czas zatarł wspomnienia.*

*Niech ta książka przypomni Wam, że zawsze wiedziałyście,
co jest ważne, a Wasza nadzieja miała moc spełniania snów.*

Dla Amélie i Beatrix, z ogromem miłości.

Rozdział 1

Brzuch Mamuni jest przy kuchence, a pupa opiera się o stół, przy którym kolorujemy. Wyciągniętą ręką miesza pomidory, a ich słodki aromat wypływa z rondla, sącząc się wprost w nasze skarpetki. Mama nie nuci żadnej melodii.

W kuchni panuje chłód, ale mojej prawej stronie jest gorąco i słonecznie, bo siedzę we wstędze promieni wpadających z zewnątrz. Reszta mnie pozostaje w pasiastym cieniu skarpet i majtek wiszących na drewnianej suszarce nad naszymi głowami. Tkwią tam już od pięciu spań, od owego deszczowego popołudnia, kiedy ciągle plątałyśmy się Mamuni pod nogami, nawet będąc w zupełnie innym pokoju.

Na maselniczce przysiada mucha. Kolejna spaceruje po moim talerzyku. Następna wskakuje na rękę, aż włoski stają mi dęba. Margot obserwuje owady. Wywraca oczami tak, że widać prawie same białka, i porusza brwiami. Dwaj kolejni skrzydlaci intruzi lądują ślizgiem na ceracie.

- Muchom się wydaje, że nasz dom to lotnisko, Pea - mówi.

Margot jest taka jak ja, a jednocześnie zupełnie do mnie niepodobna. Mam pięć i pół roku, a ona tylko cztery, ale jest wysoka jak na swój wiek. Obie lubimy przytulanie,

owady oraz przytulanie owadów. Obie mamy piegi jak Mamunia, i takie same jak ona zielone tęczówki z błękitnymi i brązowymi iskierkami. W blasku słońca oczy Mamy są jak kalejdoskopy.

To, że ja i Margot się od siebie różnimy, najlepiej widać po naszych snach. Mnie zawsze gonią wiedźmy, albo jestem na pikniku na plaży, w któryś z tych szczęśliwych dni, zanim zaczęło się umieranie. Te wizje lubię najbardziej. Margot śni o maleńkich ludkach mieszkających w szafkach i urządzających czwartkowe przyjęcia oraz o krzyżówkach, które same się rozwiązują.

- Panie są jak samochody, a panowie jak motocykle -mawia Margot.

Trzeba jej słuchać, bo wszystko potrafi wytłumaczyć.

- Do motocykla nie wsiada się przez drzwiczki, a do samochodu tak - wyjaśnia mi. - Do pań też da się kogoś włożyć. I mają drzwiczki, przez które wsiada się i wysiada.

Wpatruję się w wielki, wypchany brzuch Mamuni i staram się wyobrazić sobie te drzwiczki. To dziwne, ale nigdy ich nie widziałam. Udało mi się tylko namierzyć gałkę, widoczną nawet przez ubranie. Tam, gdzie powinien być pępek.

- Idź i zapukaj, Pea. Może dzidzius ci otworzy - podpuszcza Margot.

Oczami wyobraźni widzę, jak maluszek otwiera brzuch Mamuni, żeby nam pomachać albo podpisać odbiór przesyłki. Zanim zdołam się opanować, chichot wyskakuje

mi z ust jak malina. Mama odwraca głowę, by na mnie spojrzeć.

- Piwonio - mówi (bo to jedno z moich imion), a jej twarz jest jak pochmurne niebo. Potem odwraca się z powrotem do kuchenki i miesza energiczniej.

- Mamuniu.

Znów na mnie spogląda. A ja zapomniałam pomyśleć o czymś ważnym, co mogłabym powiedzieć, więc rzucam pierwszą myśl, jaka wpada mi do głowy.

- Mucha przykleiła ci się do stopy.

To prawda. Mama chodzi boszo i spod jednej z pięt wystają maleńkie musze nóżki. I odwłok.

Mamunia wbija we mnie spojrzenie, które woła: „To wszystko przez ciebie!”. Po czym opiera się o blat, żeby obejrzeć sobie nogi. Unosi stopę i wykręca szyję, chcąc popatrzeć przez ramię. Włosy zwisają jej w dół pleców jak płomienna kurtyna. Spód jej stopy jest czarny. Stopy Ma-muni brudzą się bardziej niż moje, choć obie przemierzamy boszo te same podłogi.

- Na tej drugiej - szepczę.

Zmienia nogi. Jest: rozdeptana mucha. Mama odlepia ją od skóry czubkami palców i powoli stawia stopę na ziemi. Jej usta drżą, jakby nie mogły się zdecydować, jaki przybrać kształt. Patrzy na podłogę, ogarniając wzrokiem okruszki, kawałki cebuli i łupin z czosnku, kocia sierść i naniesiony z zewnątrz pył. Stołowi też daleko do czystości. Naprawdę staramy się tak bardzo nie brudzić, ale jeśli

nam się zdarzy, nie mogę nawet po nas pościerać, bo nie dosięgam zlewu.

Milczę, czekając, co się wydarzy. Mama wyrzuca muchę do śmieci, a potem zaciska dłonie na blacie stołu, kołysząc się w takt smutnej melodii, którą słyszy tylko ona. W rondlu za jej plecami bulgocze sos pomidorowy. Bez słowa prostuje plecy i zabiera łyżę na piętro.

Mrok kryje się we mnie, w moim brzuchu. To przeraża mnie najbardziej.

- Mówienie Mamuni o trupie muchy było katastrofą - stwierdzam.

- Prawda - potwierdza Margot - Trzeba było powiedzieć, że pięknie dziś wygląda.

- Tak, byłoby o wiele lepiej. - Kiwam głową.

- Nie przejmuj się - pociesza Margot. - I tak nie lubię sosu pomidorowego. Urządzimy sobie piknik?

Z piętra dobiega szum prysznic. Stojący na kuchence garnek pluje sosem na podłogę. Pomidorowa masa bulgocze tak mocno, że pryska nawet na rozwieszone na suszarce ubrania. Nasze pranie, rondle i patelnie, warkocze czosnku, papryczki chili, cebula i pęta suszonej kiełbasy, wiszące na zaostrzonych haczykach w kształcie litery S, pokrywają się czerwonymi plamkami. Wstaję od stołu i wyłączam gaz.

- Chodź, Pea - namawia Margot. - Jestem głodna. Wychodzimy na zewnątrz i mrużymy oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Zapomniałam kapelusza i na-

tychmiast czuję, jak nagrzewają mi się włosy. Czasem żałuję, że panują tu takie upały, ale Mama mówi, że lato we Francji jest o wiele przyjemniejsze niż w Anglii, skąd pochodzi. Mówi, że tu przynajmniej zawsze można liczyć na słońce.

Stoimy na dziedzińcu i zastanawiamy się, dokąd się dziś wybrać, choć odpowiedź nie zmienia się od dwóch sezonów letnich, jednej zimy i jednych urodzin. Nasze wybieranie zaczęło się, kiedy Mamunia w zeszłym roku wróciła ze szpitala. Z brzuchatej zrobiła się z powrotem chuda, ale wbrew obietnicy nie przywiozła do domu dzidziusia. Zostawiła go w szpitalu wraz ze swoją radością.

Kiedy Tatuś był w domu, wszystko jakoś się układało. Cały czas przytulał Mamę, a pomiędzy ich łokciami i brzuchami tworzyły się luki w kształcie dziewczynki, w które wciskałam się, żeby i mnie ukochali. Ale kiedy Tata pracował, Mamunia kazała nam wychodzić z domu i bawić się gdzie indziej, więc tak robiłyśmy. Na ogół bawimy się na dolnej łące, a czasem na Wietrznym Wzgórzu. W oba te miejsca Mama zabierała nas na spacer, zanim umarł jej dzidzius. Są dni, kiedy proszę, żeby poszła z nami, ale woli zostać w domu. Od razu zaczął w niej rosnać nowy dzidzius, ale radość nie wróciła.

I wtedy Tatuś umarł. Pewnego wiosennego dnia jechał traktorem po wzgórzu, spadł i został zgnieciony. To była tragedia. Tak powiedział ksiądz w kościele, ale to, co nastąpiło potem, okazało się katastrofą. Bez Taty żadna chwi-

ła nie jest dobra na pobyt w domu, więc co dzień musimy decydować, dokąd pójść.

- Słoneczna strona czy zacieniona strona? - pyta Margot, choć do przekazania tej samej treści wystarczyłaby połowa pytania.

Jeśli obejdziemy dom słoneczną stroną, będziemy mogły pójść ścieżką przez sady brzoskwińowe i przekroczyć wiejską drogę, by znaleźć się na dolnej łące. Gdybyśmy wybrały cieniastą, przechodząc za oborą, mogłybyśmy przeciąć wyższe pastwisko i posiedzieć na Wietrznym Wzgórzu.

- Zacieniona - decyduję. Mam ochotę pooglądać turbiny wiatrowe.

Turbiny są wyższe niż domy. Ustawione na następnym wzniesieniu, w dwuszeregu, plecami do morza, patrzą na wioski i łąki niczym trój skrzydłe anioły. Produkują energię, która zasila nasze gniazdzka elektryczne. Kiedy leżę nocą w łóżku, nawet gdy wszystko inne spowija mrok, wiem, że za moimi drzwiami znajduje się odrobina światła. Dzięki temu się nie boję. Ciemność jest przesycona samotnością, a turbiny ją odpychają. Kiedy obserwuję, jak się kręcą, kiedy widzę, że na pewno tu są, wszystko zwalnia do ich stabilnych obrotów i zapominam o tym, że jest mi smutno i źle.

- Pea! - gani mnie Margot. - Na miłość boską, jest samo południe. Na Wietrznym Wzgórzu nie ma ani skrawka cienia, spali nas na skwarek, dostaniemy udaru i stopimy się jak masło.

Zaczynam zaprzeczać, ale Margot wchodzi mi w słowo, co bardzo często jej się zdarza.

- Dziś ja jestem mamą - oznajmia. - Więc musisz być posłuszna.

- Całe wieki nie byliśmy na Wietrznym Wzgórzu -upieram się.

- Pea, spójrz na siebie, nawet nie masz kapelusika. Idziemy na dolną łąkę i już. - Margot zakłada ręce na piersi. - Poza tym możemy brodzić - dodaje, spuszczać wzrok na moje żółte sandałki.

Strumień będzie zimny, a mnie gorąco w stopy. Woda przyjemnie mnie ochłodzi. Margot dobrze o tym wie. Margot wie o wielu sprawach, zanim zdążę choćby o nich pomyśleć.

- Dlaczego stopy Mamuni są o wiele brudniej sze od moich? - pytam ją.

- Bo spędza za dużo czasu w domu, gdzie znajduje się cały brud - odpowiada.

- Kiedyś tak nie było. -Nie.

- Kiedyś w ogóle nie siedziało się tyle w domu.

- Tacie by się to nie podobało.

- Mnie też się nie podoba - stwierdzam.

- Pamiętasz, jak Mama kiedyś z nami brodziła? - pyta Margot.

- Mhm - przytakuję. Oj, tak, chodziła z nami. Jej stopy pod zmarszczkami na wodzie wyglądały jak wielkie białe

ryby. Miała pomalowane na różowo paznokcie, którymi śmiesznie ruszała.

- Sama widzisz. - Margot kiwa głową. - Teraz ma brudne nogi, bo za rzadko brodzi w strumyku. Poza tym burczy mi w brzuchu, przestańmy się guzdrać.

- Pić mi się chce - skarżę się.

- To chodź już - mówi Margot.

Żeby się napić z kranu na podwórku, trzeba pod nim przyklęknąć, a wtedy woda leje ci się po szyi i moczy ubranie, które na szczęście szybko schnie w słońcu.

- Będzie nam potrzebne pieczywo - oznajmia Margot. Sylvie, dziewczyna od chleba, jak zwykle zostawiła nam

bagietki na skrzynce na listy. Są dwie, tak gorące, jakby przed chwilą wyjęto je z pieca. Każda ma w połowie papierową otoczkę. Od śmierci Tatusia zjadamy już tylko jedną bagietkę dziennie, ale Sylvie nadal przywozi dwie. Wyschnięte pieczywo wkładam do stojącego przy drzwiach pudełka, a pan od brzoskwiń zabiera je dla swoich świń.

Odłamuję z bagietki piętki, po jednej dla każdej z nas, i w trakcie marszu wydłubujemy z nich okruszki. Idąc w dół przez sad, zaglądamy pod drzewka w poszukiwaniu opadłych owoców. Jest ich mnóstwo, więcej niż damy radę unieść. Jemy po jednej brzoskwini: dojrzałej i słodkiej, a potem podwijam wilgotną jeszcze sukienkę, żeby móc nieść resztę.

Ziemia na dolnej łące jest bardziej miękka i ma pod dostatkiem cienia. Schodzimy na ścieżkę wiodącą w dół

od głównej drogi. Przeskakujemy przez kłujące krzewy jeżyn, szukając owoców, ale są jeszcze zielone i czerwone. U stóp dróżki witają nas osiołki Josette, z którymi dzielimy się chrupiącymi resztkami chleba. Potem siadamy w kępie żonkili pod rosnącymi nad strumieniem olchami i dębami. Gdzieś w koronach drzew nad naszymi głowami stuka w korę ptak.

- Dzieńcioł! - woła Margot.

- Łatwizna - odpowiadam ze śmiechem, a po brodzie cieknie mi sok z brzoskwini.

Rozlega się gruchanie, więc wykrzykuję: „Gołąb!”.

Na ogół zwyciężam w tej grze. Mama rozpoznaje ptasie melodie. Kiedyś uczyła mnie określać ptaki po dźwiękach: kukułka, wrona, kos, mewa, drozd... Opowiadała mi też o piórach. Ptaki co chwilę zostawiają gdzieś pióra, jakby podkładały prezenty. W czasach, kiedy Mamunia nuciła piosenki i piekła ciasta, często wyruszałyśmy na wyprawy po skarby i zbierałyśmy pióra oraz kwiaty. Po powrocie do domu przyklejałyśmy je na kartkach, a Mama przyczepiała magnesami do lodówki albo przypinała na ścianach.

Razem z Margot nadstawiamy uszu, nasłuchując, czy odezwią się jeszcze jakieś ptaki, próbując wyłowić ich wołanie. To niełatwe zadanie i na długo dostarcza nam zajęcia. Wtem nadlatuje szerszeń o grubym, długim odwłoku i bzyząc, zbliża się do mojej twarzy. Zrywam się na równe nogi. Margot znów przejmuje dowodzenie.

- Szybko, chodź! - nakazuje. - Musimy umyć ręce i buzie. Chwyta moją lepką dłoń i prowadzi na brzeg strumienia. Kucamy nad brązową wodą i płuczemy palce w odbiciu drzew, płosząc na wpół rozwinięte kijanko-żaby, które zmykają pod kamienie.

- Dziwnie wyglądają te kamienie - zauważa Margot. -Co im się stało?

- Wystają z wody - wyjaśniam. - To dlatego, że jest lato.

- Wiem przecież, że jest lato - prycha Margot. -I o śniegu, deszczu i górach też wiem, ale nie chodzi o to, że wystają. Przesunęły się. Sama zobacz.

- Kamienie się nie przesuwają - pouczam ją. Ale na wszelki wypadek cofam się o kilka kroków. Z tej odległości widzę układ głazów. Te większe, dotąd losowo rozrzucone po potoku, prowadzą teraz zygzakiem z jednej strony strumienia na drugą, z dolnej łąki na dolne pastwisko. Tamują wodę, przez co zwalnia i zbiera się przed kamieniami, przeciekając pomiędzy nimi. Nartniki kręcą kółka na utworzonej pośrodku tafli, a pod nią migają srebrzyste topiki i maleńki rybki.

- Kamienne stopnie! - cieszę się. - Idziemy!

Skaczę na brzeg potoku, wyciągając ręce na boki dla utrzymania równowagi.

- Kamienie, które się przesuwają - szepcze Margot.

- Właśnie - mówię. I jednak cofam się o krok. Margot ma rację. Jest coś nie w porządku z kamieniami, które się przesuwają. Przyglądam im się uważnie. Sie-

dem gładów sprawiających wrażenie bardzo ciężkich. Zbyt ciężkich, by przeniosły je dzieci.

- To musi być sprawka czarownicy - sugeruję.

- Czarownice nie istnieją - Margot wywraca oczami. Na przeciwnym brzegu strumienia kwitnie wiesiołek. Chcę dostać się do kwiatów.

- To na pewno była wiedźma - upieram się. - Spójrz na te kwiatki.

- Co z nimi?

- Wiedźmy tak robią: podkładają rzeczy, których ktoś może pragnąć w miejscach, gdzie nie powinno się iść. Budują chatki z piernika, by cię schwytać, a potem zamykają w klatce, żeby cię utuczyć.

- Kwiatki to nie piernik. Po co ci one? - pyta Margot.

- Żeby pocieszyć Mamunię.

- Myślisz, że się uda?

- Są żółte - zauważam. - Nie wiem. Może już nigdy nic jej nie ucieszy.

- To głupie - krytykuje Margot. - Na świecie jest ponad tysiąc rzeczy, więc któraś z nich musi sprawić Mamuni radość.

- Skąd mamy wiedzieć, którą wybrać?

- Właśnie! - woła Margot. - To nasze nowe zadanie. Użyjemy sprytu, żeby Mama znów się uśmiechnęła. Zaczniemy od wypróbowania żółtych kwiatków.

- Dobrze, pójdę i zerwę trochę - oferuję. Jednak po chwili zamieram. - Nie, rozmyśliłam się.

- To nie była żadna czarownica! - irytuje się Margot.

- Nie idę i już! Jeśli nie zrobiła tego wiedźma, to kto? - spieram się. - Musiał to być jakiś dorosły, ale oni tu nie schodzą. Nawet Josette woła osiołki na karmienie i czeka, aż przyjdą do niej na górę, do płotu.

- Żaden dorosły tu nie przychodzi? - pyta Margot. Zastanawiam się. Jedyne dorosłe, którego tu widziałam, to mężczyzna zostawiający ślady na śniegu.

Po raz pierwszy widziałyśmy go, kiedy miałam cztery latka. Mamunia właśnie wróciła do domu ze szpitala i nie wychodziła z łóżka. Tatuś pryskał brzoskwinie, bo nie wiedział, co ze sobą począć - tak nam powiedział. Nie mogłyśmy więc zostać z Tata, a Mama była w strasznym nastroju, więc poszłyśmy sprawdzić, czy osiołki są w lepszym humorze, i okazało się, że tak. Siedziałyśmy pod białą morwą, bawiąc się w lekarzy i pielęgniarki. Jej liście są duże, a drzewo obsypane jest setkami białych owoców. Miejsce świetnie nadaje się nie tylko na szpital, ale i na kryjówkę. Gałęzie zwieszają się nisko, niemal do samej ziemi, dając poczucie bezpieczeństwa.

Wyglądałyśmy ukradkiem, obserwując nieznajomego niczym szpiedzy. Mężczyzna podskakiwał śmiesznie, jakby wpadł mu do buta kamyk. U jego boku szedł rudy pies. Nie byłam zadowolona z obecności człowieka, ale pies mi się podobał. Od razu dało się zauważyć, że jest łagodny

i wierny - trzymał się łaćcinie swojego pana, mimo że pewnie wolałby biegać i gonić zapachy.

Już mieli skręcić i odejść, kiedy nagle pies zaszczekał trzy razy - tak, że aż podskoczyłam, po czym podbiegł do morwy. Wlaził prosto pod gałęzie i wysmarował nas mokrym nosem. Był smukły, zgrabny i przyjazny, a jego ogon przypominał zwisającą, merdającą szczotkę. Chciałam go pogłaskać, ale bałam się, że jeśli zaraz sobie nie pójdzie, zajrzy do nas właściciel zwierzaka.

- Sio! - syknęłam i próbowałam odgonić go ręką.

- Zwiewaj stąd! - skrzywiła się Margot.

Pies cofnął się i uniósł łeb, wężąc w powietrzu, ale nie uciekł. Zamiast tego poczęstował się kilkoma rosnącymi nisko owocami morwy, zrywając je zębami wprost z gałązki. Stopy mężczyzny stały nieruchomo cały ten czas, ani drgnęły. Skierowane ku nam, ale trwające w bezruchu. Potem nieznajomy schylił się do buta, może tylko po to, by wyjąć kamyk, ale przez chwilę zdawał się patrzeć wprost na nas. Siedziałam jak posąg i zmrużyłam oczy do wąskich szparek. Mężczyzna zrobił to samo. Miał bardzo zarośniętą twarz, z wyjątkiem miejsca nad uchem, gdzie brakowało mu włosów i skóra miała rudobrązowy kolor kasztanu. Wstrzymałam oddech, serce waliło mi o żebra jak młotem. Mężczyzna jednak zaraz się podniósł, jego twarz zniknęła. Gwizdnął na psa, który jeszcze raz trącił mnie nosem i odbiegł, by ponownie zrównać krok ze swoim panem.

Ten sam człowiek pojawił się tu też zeszłej zimy, kiedy spadł śnieg. Szłam własnym tropem z poprzedniego dnia, starając się stawiać stopy w widniejące w puchu ślady. Margot szła w tyle, stąpając pomału i ostrożnie po świeżym śniegu, żeby nie wydeptać nowych śladów. Jest w tym naprawdę dobra, lepsza ode mnie.

Zobaczyłam je pierwsza: wielkie, świeże odciski podeszew z zygzakowatym wzorkiem, w połowie normalne, a w połowie rozciągnięte i rozmazane. Obok biegły ślady łap, a cały trop zmierzał w stronę potoku. Badałam je uważnie, gdy usłyszałam przed sobą chrzęst śniegu, a kiedy podniosłam wzrok, był już blisko, zostawiając takie same ślady, tylko tym razem pod górkę. Każde szurnięcie zostawiało na ziemi kupkę białego puchu. Rudy pies szedł przy nodze pana, pokryty warstwą szronu, wyglądającego jak lukier na torcie.

Stałam nieruchomo, patrząc, jak się zbliżają. Mężczyzna utykał, psiak biegł lekko, a ja rozważałam ucieczkę.

- Co się martwisz? - Margot machnęła ręką. - Nie wygląda na bystrego. Gdyby spróbował nas porwać, bez trudu uciekniemy. Zrób groźną minę - poleciła.

Powiedziała to naprawdę głośno i tylko czekałam, aż nieznajomy zaśmieje się złowrogo i powie: „Tak się wam wydaje, co?” Ale tak się nie stało. Może jednak nie słyszał.

Podszedł wprost do nas, a z jego pokrytej siwym zarostem twarzy nie zniknął uśmiech. Ciemne oczy błyszczały

filuternie pośród zmarszczek i podwójnych powiek - jednej u góry, jednej u dołu.

Niežnośnie swędziała mnie kość. Pamiętam dobrze, bo to było pod dwoma koszulkami, bluzą i kurtką, więc nie mogłam się podrapać. Kiedy byłam malutka, złamałam rękę. Mamunia pokazała mi gdzie, choć na skórze nie ma śladu. Teraz, gdy się denerwuję, kość w środku okropnie swędzi. Kiedy nieznajomy zbliżał się do nas, myślałam, że będę musiała zdjąć ubranie. Tam, na śniegu, żeby tylko potrzeć straszliwe swędzenie. Już sięgałam po zamek kurtki, kiedy mężczyzna przeszedł obok mnie.

Nie zatrzymał się, tylko skinął nam głową i poszedł dalej, śledząc własne kroki, z łąki z powrotem w górę. Rudy pies rzucił nam jeszcze spojrzenie na odchodne, a potem weszli na drogę.

- Widzisz? - triumfowała Margot. - Boi się nas. Uśmiechnęłam się z dumą i ulgą do odchodzących pleców mężczyzny.

Tego wieczora powiedziałam Tatusiowi o spotkaniu z nieznajomym. O jego nierównych krokach i psie, który szedł przy nim jak zaczarowany. Opowiedziałam, jak odstraszyliśmy go naszymi najlepszymi przerażającymi minami.

Tata zmarszczył brwi.

- Pivoine - powiedział (używając drugiego z moich imion). - Dzieci nie powinny błąkać się same po łąkach.

Roześmiałam mu się w nos, ale posadził mnie na kolanach i spojrzał mi prosto w oczy ze swoją najpoważniejszą miną.

- Mówię serio, Pea. Obiecuj, że więcej nie pójdziesz tam sama.

- Daję słowo - przyrzekłam i wtuliłam się mocno w jego ramiona.

Nie powiedziałam Tacie, że mężczyzna, przechodząc, dotknął mojej różowej czapeczki czarną rękawicą.

Rozdział 2

Oto reguły zabawy w chowanego. Po pierwsze, trzeba wybrać odpowiednie miejsce. Nie ma sensu grać pośrodku łąki ani w pobliżu stajni osiołków. Tam jest zbyt łatwo i zaraz trzeba wymyślać nowe zajęcia. Potrzebne są różne kryjówki. Druga zasada głosi, że osobie, która liczy, nie wolno zerkać przez palce. Ani odrobinę.

Szukamy z Margot odpowiedniego miejsca, by rozpocząć zabawę. Jest wcześnie rano, upał jeszcze nie doskwiera, a przy naszych stopach świerszcze terkoczą jak popcorn. Gdy docieramy do skrzyżowania pylistych dróg, zatrzymujemy się i rozglądamy za siecią uplecioną przez pajęczycę tuż nad ścieżką. Nie chcemy zniszczyć pajęczyny.

O, jest! Rozpięta pomiędzy wysokimi źdźbłami trawy jak sznur do suszenia bielizny. Świerszcze skaczą, gdzie popadnie. Kilka ląduje mi na rękach i ubraniu. Nigdy jednak nie udaje mi się ich dotknąć, bo po sekundzie zeskakują i już ich nie ma.

Nie trzeba długo czekać, a jeden z grajków ląduje w pajęczynie. O, proszę, taki tłusciutki, zielony, kopie tylnymi nogami, rozhuśtując sieć jak hamak. Pajęczycza natychmiast zjawia się, by sprawdzić, co złapało się w jej pułapkę.

Jest duża, gruba i żółta, niczym pasiasta morela. Wycina świerszcza z sieci i owija jedwabną nicią. Potem naprawia pajęczynę, co idzie jej bardzo sprawnie. Obserwujemy, jak kończy wszystkie zadania i wraca na środek sieci. Złapie jeszcze mnóstwo świerszczy i wszystkie okręci nicią. Wiem, bo podpatrujemy ją od trzech dni. Rankiem nigdy nie jest głodna. Ale kiedy słońce będzie się chować za porastającymi brzegi strumienia drzewami, rzucającymi długie cienie na dolną łąkę, miniemy sieć w drodze domu, a pajęczycza będzie pałaszować kolację.

Przy odrobinie szczęścia, kiedy wrócimy, Mamunia będzie wyspana i my też dostaniemy kolację. Przez większość nocy dzidzius w brzuchu Mamy robi salta zamiast spać. To znaczy, że i ona nie może wypocząć, bo jak tu spać, gdy ktoś w tobie uprawia gimnastykę? Zwykle rano Mama o wszystko się złości. Dziś była w okropnym humorze. Zeszła do kuchni w porze śniadania i bez słowa zaparzyła kawę. Zaniósła ją sobie do pokoju wraz z jedną grzanką. Zje w łóżku, oparta o cztery poduszki, czekając, aż maleństwo się zmęczy, a wtedy i ona, mam nadzieję, trochę się prześpi.

Kawałek dalej, na łące, znajdujemy idealne miejsce do zabawy. Jest tu wiele różnych ścieżek, drzewa i snopy siana, za którymi można się ukryć.

- Dobrze - mówi Margot. - Chowam się pierwsza.

To oznacza, że ja kryję. Umiem liczyć do ponad stu, ale w naszej zabawie wystarczy do jedenastu. Kiedy kończę -nie podglądając przez palce, ani odrobinę - rozglądam się

wokoło. Nie widzę Margot, ale słyszę ją wyraźnie. Schowała się przy czereśni w rogu łąki. O tej porze na drzewku nie ma owoców, ale pod nim leży mnóstwo zgniłków i pestek. Margot hałasuje, bo poszedł za nią szary osiołek, który teraz przeszukuje ją w nadziei na coś do zjedzenia. Takie obszukanie bardzo łaskocze. Biegnę do nich ze śmiechem.

- Znalazłam cię! - wołam śpiewnie, ale ona patrzy na mnie z poważną miną, jakby w ogóle się nie chowała.

- Witaj w bibliotece - odzywa się Margot tonem ważnej osoby. - Dziś możemy wypożyczyć tylko jedną książkę i wypada moja kolej. Wybrałam tę. O kościotrupach.

Podnosi książkę. Oczywiście tom istnieje tylko w naszej wyobraźni.

Znam się na kościotrupach. Byłam kiedyś w muzeum i widziałam szkielety dinozaurów. Są jak układanki dla naukowców. Naukowcy to ludzie, którzy robią doświadczenia i układają puzzle z kości.

- O kościotrupach dinozaurów? - pytam Margot.

- Dinozaury nie żyją - odpowiada. - Kiedyś istniały naprawdę, nie to, co czarownice, ale już dawno wszystkie wymarły.

- Dlaczego wymarły? - dopytuję.

- Nie przerywaj! - Upomina mnie Margot. - Każdy kiedyś umrze, ale jak na razie spotkało to jedynie dinozaury i Tatę.

- I dzidziusia - dodaję.

- No, tak. Dzidziusia też - przyznaje.

- Oni też mieli szkielety?

- Tak, oczywiście, wszystko ma szkielet - mówi Margot. - Skup się, proszę. A więc stąd się bierze szkielet. Kiedy się starzejesz, zmieniasz się w Mamunię, a potem robisz się już całkiem stara, ze zmarszczkami, i umierasz.

Margot zawiesza głos.

- I co dalej? - pytam.

- Nic więcej nie mówisz, jesteś szkieletem, a ludzie urządzą wielkie przyjęcie z kanapkami, ale nie ma tyle ciast, co na Gwiazdkę. Potem rodzisz się od nowa jako dzidzius, przychodzi policjant i nadyma cię do rozmiarów dorosłego.

Nie jestem pewna, czy naprawdę tak się dzieje, ale zanim zdążę zapytać, Margot mówi:

- Koniec pytań, dziękuję. - I zatrzaskuje tom. - Muszę oddać książkę, zanim zamkną bibliotekę - oznajmia, udając, że zerka na zegarek.

- Teraz ja się chowam? - pytam.

- A, tak, właśnie o tym pomyślałam - mówi, ale wydaje mi się, że całkiem zapomniała o zabawie w chowanego.

Nie mogę jednak doczekać się mojej kolejki, bo wymyśliłam świetną, nową kryjówkę. Margot zakrywa oczy dłonią i zaczyna liczyć. Dziś robi to po francusku. *Un, deux, trois...*

Biegnę z powrotem wiodącą pod górę ścieżką, przeskakuję przez pająka, a potem, zamiast podążyć dróżką ku domowi, na rozdrożu skręcam w lewo, jakbym szła do wioski. Gdy wypadam zza zakrętu, zderzam się -bam! - prosto z mężczyzną i oboje wydajemy okrzyk.

To on. Jest potężny jak niedźwiedź, większy niż zwykły dorosły. Ma siwoczarne włosy i włochate, podrapane nogi. Nosi buty, gumowe jak gumiaki, bez cholewek. Są prze-moczone. Z wielkiego nosa wylazą mu włoski jak odnóża pająka. Nigdzie nie widać rudego psa.

Stoimy tak i gapimy się na siebie, ja w górę, on w dół. Potem wyjmuję spomiędzy wyschniętych warg krótkiego, szarego papierosa i przydeptuje go stopą. Białe smużki dymu wiją się z kącików jego ust niczym dżdżownice.

- Jesteś Pivoine - mówi powoli. - Znam twojego tatę. Kręci głową, jakby miał we włosach piasek.

- To znaczy znałem - poprawia się. - Przepraszam. Zaskoczył mnie tym, że zna którekolwiek z moich

imion, ale w szczególności to, które należało do Tatusia. Czasem dla Mamy jestem Peony - tak moje imię, Piwonia, brzmi po angielsku. Tata używał francuskiej wersji - Pivoine - bo tu się urodził. Oba imiona znaczą to samo, więc nigdy nie robiło mi różnicy, kto jakiego używa, ale dziwnie jest słyszeć je w obcych ustach. Nie wiem nawet, dlaczego noszę imię po kwiatku, szczególnie takim, którego nigdy nie widziałam. Zwykle wołają mnie Pea - Groszek. Pea to nie kwiat. Tak w zasadzie to warzywo.

- Na ogół nazywają mnie Pea - mówię nieznajomemu. - A pan to kto?

Kucnął przede mną i patrzy mi prosto w twarz, jakby chciał mnie skarcić.

- Mam na imię Claude - przedstawia się. Ta część jego głowy, gdzie nie ma włosów, wygląda z bliska bardzo brzydko, a w dodatku czuć od niego smród papierosów. Robi mi się trochę niedobrze.

I nagle coś wylizuje mi całą buzię.

- Merlin! Przestań! - woła Claude.

Pies podbiegł, by się przywitać, ale oddech zwierzaka cuchnie jeszcze gorzej niż jego pana.

- Merlin to zabawne imię dla psa - zauważam. - Naprawdę jest czarodziejski?

- Owszem, na swój sposób tak - odpowiada Claude, głaszcząc czworonoga.

- Co tu robisz całkiem sama? - zwraca się do mnie. Wciąż patrzy wprost na mnie i zaczyna mnie swędzieć kość, choć głos męczyzny brzmi całkiem przyjaźnie.

- Bawimy się w chowanego - oznajmiam.

- Szukasz czy się chowasz?

- Chowam się.

- A kto szuka? - pyta.

Zastanawiam się, gdzie może być Margot, ale nagle widzę, jak wbiega na wzgórze przez wysoką trawę i staje tuż przy mnie. Odnalazła mnie, więc gra zakończona.

- Mam świetny pomysł - mówię do niej. - Zróbmy przedstawienie!

Razem z Margot stale urządzamy przedstawienia i naprawdę świetnie nam wychodzą. Margot najlepiej idzie taniec, ja jestem specjalistką od śpiewu.

- Wspaniale! - cieszy się Margot. - Zatańczę flamenco, a ty będziesz klaskać.

- Zaśpiewam piosenkę o biedronkach - oznajmiam Claude'owi.

- A ty będziesz nas oglądał - informujemy go.

- Podobają ci się nasze sukienki? - pyta Margot.

- No dobrze. - Mężczyzna marszczy lekko brew i patrzy na mnie, jakby się spodziewał, że melodia od razu popłynie z moich ust.

- Przecież nie tutaj - mówię. - Musisz zająć miejsce siedzące, a my wejdziemy na scenę. To tu, zapraszamy!

Claude jest jakimś dziwnym dorosłym - robi to, co mu się powie. Merlin trzyma się jego nogi całą drogę do czereśni, a kiedy pan posłusznie siada, pies zajmuje miejsce obok i otwiera pysk. Wygląda, jakby się uśmiechał.

Zapowiadam występ i przedstawiam Margot.

- Panie i panowie, powitajcie brawami Margot, niezwykłą hiszpańską tancerkę flamenco!

Rzecz jasna, wcale nie jest Hiszpanką, tylko tak udajemy. Zaczynam klaskać w ręce, jakbym trzymała marakasy. Claude patrzy z podziwem.

- Uderzaj w dłonie! - rzucam polecenie. Stara się, ale, szczerze mówiąc, nie idzie mu najlepiej i ciągle się rozgląda.

Kiedy występ taneczny dobiega końca, Margot kłania się, a ja biję brawo i wiwatuję. Claude również klaszcze w dłonie. Potem Margot przedstawia mnie i zajmuję miejsce na scenie, czując się trochę nieswojo. Piosenka

o biedronkach jest dość długa i czasem mylą mi się słowa, więc niektóre fragmenty muszę powtarzać. Kiedy śpiewam, Claude wyjmuje błyszczącą, zieloną paczkę i zaczyna skręcać papierosa.

- Palenie wzbronione! - woła Margot, ale on nie zwraca uwagi na jej zakaz. A więc jednak nie zawsze robi to, co mu się powie.

Po zakończonym przedstawieniu kłaniamy się i dygamy, a Claude naprawdę bije brawo. Potem podnosi się ociężale i mówi:

- Chyba czas wracać do domu. Mama będzie się martwić.
- Tak naprawdę to nie - prostuje Margot.
- Pomogę wam przejść przez drogę - oferuje Claude.
- Świetnie sobie radzimy same - oznajmiam. - Mam pięć lat i pół.

- A zatem czy będziecie tak uprzejmie i dotrzymacie mi towarzystwa? - Claude ściera pot z czoła, po czym suszy ręce o spodnie. Merlin liże mu dłoń.

- Naturalnie - odpowiadam, bo to grzecznie.

Z Claude'em idzie się powoli. Podczas gdy on kroczy pomału, ja i Margot biegniemy naprzód. Czasem przystajemy, by przyjrzeć się jakiemuś zuczkwowi albo kwiatkom.

- Masz w wiosce przyjaciół, z którymi mogłabyś się bawić? - pyta Claude, kiedy wreszcie nas dogania. Świdruje mnie wzrokiem, czekając na odpowiedź.

- Margot jest moją przyjaciółką - odpowiadam.

- Tak, oczywiście - mówi. - Ale dzieci ze wsi, ze szkoły?

- Od śmierci Tatusia nie chodzę tam zbyt często -pryznaję.
- Dlaczego nie? Źle się czułaś?
- Nie, nic z tych rzeczy - zaprzeczam. - Byłam zajęta troszczeniem się o Mamunię.

Czerwona skóra Claude'a marszczy się na czole jak morskie fale rozbijające się o brzeg. Nie chcę wpaść w jakieś tarapaty.

- We wrześniu - zapewniam - idę do dużej szkoły i będę na lekcjach codziennie.

- To dobrze - mówi Claude. - Poznasz mnóstwo koleżanek. Taka dziewczynka jak ty powinna mieć ich wiele.

W powietrzu czuć chłód, a kiszki grają nam marsza, kiedy biegniemy z powrotem do domu. Trzaskam drzwiami, zbyt przejęta, by pamiętać, że Mamunia była nie w humorze. W całym domu pachnie ciastem, aż cieknie mi ślinka. W oko wpada mi *quiche*, stojący na stole pod przykryciem chroniącym przed muchami. Jeden owad dostał się jednak do środka i teraz bzyczy wściekle w szklanym więzieniu. Wypuszczam go wraz ze słono-słodkim zapachem. Moje paluszki mkną ku rąbkowi ciasta i odłamują kawałek, zanim udaje mi się je powstrzymać. Margot kiwa na mnie palcem.

- Mucha zostawiła ślady z kupy na cieście - oznajmia.
- Nie widzę żadnych śladów - protestuję. Margot unosi brwi.

- Ja też nie widzę - mówi. - Ale muchy mają bardzo maleńkie stopki.

- Więc i cząsteczki kupy muszą być maleńkie.

- Tak, ale to wciąż kupa. Może nawet różne rodzaje. Psia kupa i krowi placek. Wszystko na tym cieście. Nie powinnaś tego jeść, Pea.

Przez chwilę przyglądam się kawałkowi ciasta, który trzymam w palcach - jest złote i kruche. Naprawdę nie widzę żadnej kupy. Mucha usilnie próbuje usiąść mi na ręce, więc czym prędzej wpycham kęs do ust.

Margot nie odrywa ode mnie wzroku.

-I co?

- Pycha - oblizuję się.

- Nie kupiate?

- Ani trochę.

- To mogę też kawałeczek?

Odłamuję odrobinę ciasta, żeby było sprawiedliwie. Obie oblizujemy się ze smakiem. Potem wpadamy do salonu szukać Mamuni.

Mama siedzi bokiem przy biurku w otoczeniu mnóstwa papierzysk i dokumentów. Wyłożyła stopy na taboret i ma różowe policzki.

- Mamuniu! - wołam. - Mamy nowego przyjaciela! Podnosi głowę, ale jej ramiona opadają. Włosy zebrała z twarzy i związała zieloną chustką, a po skroniach spływają jej drobne kropelki potu. Pachnie cytrynami.

- Gdzie byłaś?

- Na dolnej łące - opowiadam. - Widziałyśmy wielkiego pająka, który łapał świerszcze, jabłka już prawie nadają się do jedzenia. I poznałyśmy nowego przyjaciela.

- To miło, Pea - mówi, przerzucając kartki na biurku. Ponownie wzdycha i przeciera czoło przedramieniem.

Wbija wzrok w coś na jednej z belek pod sufitem.

- Straszny tu bałagan - niemal szepcze. Rozglądam się po pokoju. Zostawiłam na podłodze

kilka pluszowych zwierzątek i grę z kartami.

- Bardzo przepraszam, Mamuniu - mówię szybko. -Zaraz to posprzątam.

Kąciki jej oczu na chwilę się unoszą i zaczyna rozplatać złożone ręce.

- Jadłaś coś? - pyta.

Już myślę, że się przytulimy i rozkładam ramiona, podchodząc bliżej.

- Bagietkę - odpowiadam. - I brzoskwinie.

Jednak gdy jestem na wyciągnięcie ręki od Mamy, jej brzuch wykonuje nagły ruch i Mamunia składa się na nim jak naleśnik.

Rozdział 3

Słońce jest już wysoko na niebie, ale Mamunia jeszcze w nie wstała. Na dole, w kuchni, rozmawiamy cichutko, na wypadek, gdyby spała.

- To trzeci dzień naszego wyzwania - oznajmia Margot. - Dzisiaj będziemy pomocne.

- I nie będziemy narzekać - dodaję.

- Zgadza się - kiwa głową Margot.

Smaruję kromki dżemem i nalewam mleko do szklanek. Kiedy Tatuś żył, wstawał, zanim się obudziliśmy, i śniadanie czekało na nas na stole. Latem przynosił nam z sadu brzoskwinie. Zimą, kiedy schodziliśmy do salonu, w kominku trzaskał ogień, a na kuchence bulgotała gorąca czekolada. Tata bardzo lubił porę śniadania. Pociągał długie łyki mlecznej kawy z dużej, białej czarki, a jeśli były croissanty, to maczał je w kawie, a potem wsadzał do buzi rozmoknięte kawałki i wyławiał palcami unoszące się na powierzchni napoju maślane płatki. Ale Tatusia nie ma, bo pochowaliśmy go w ziemi. Już nie wróci.

- Chciałabym, żeby Tata żył - wzdycham. Jeśli Mamunia mnie nie słyszy, to chyba nie jest narzekanie.

- Wiem, Pea - mówi Margot. - Ale ludzie muszą umierać, żeby robić miejsce dzidziusiom. Gdyby nikt nie umierał, wszystkie domy i łóżka byłyby pełne, i nie wystarczyłoby dżemu na śniadanie.

Z całych sił przetwarzam to w głowie.

- Skoro tak, to dlaczego jeden dzidzius miałby umierać, żeby ustępować innemu? - pytam.

Margot przez chwilę milczy. Kiedy się nad czymś zastanawia, sse końce włosów. Wreszcie mówi:

- Może ten nowy jest lepszy?

Myślę o dziecku w brzuchu Mamuni. O tym, jak ją smuci i nie pozwala się wyspać. Mam poważne wątpliwości, czy akurat ten dzidzius jest taki dobry.

Jemy powoli, zlizując dżem z palców i próbując moczyć chleb w mleku bez narobienia bałaganu. Słyszę na górze skrzypienie łóżka, a po chwili spuszczenie wody w toalecie.

Przygotowałam nakrycie dla Mamy: talerz, nóż, szklanekę na sok i serwetkę. Postawiłam kubek przy czajniku, ale nie zagotowałam wody. Mleko jest w kartonie, bo nie sięgam do ceramicznego dzbanka. Wyłożyłam pieczywo, masło i dwa rodzaje dżemu. Margot ma ochotę na wiśniowy, ja wybiorę raczej morelowy. Siadamy grzecznie do stołu i czekamy.

Mamunia pojawia się na dole, ubrała obszerną żółtą sukienkę, która dochodzi do brzucha, a potem faluje wokół nóg jak obłok. Włosy upięła nad karkiem lśniącym motylkiem. Stopy już ma brudne.

- Dzień dobry - witam ją, posyłając mój najładniejszy uśmiech. Margot też się uśmiecha, szczerząc zęby i trzepocząc rzęsami.

- Dzień dobry - odpowiada Mama, od razu sięgając po sok jabłkowy. Wypija porcję duszkiem i nalewa drugą. Kiedy kończy i tę, napełnia szklankę po raz trzeci i patrzy na śniadaniowe przygotowania.

- Bardzo ładnie nakryłaś do stołu - chwali mnie.

- Dziękuję. - I posyła mi uśmiech.

Margot też uśmiecha się do mnie szeroko i małpuje Mamę:

- Tak, Pea, ślicznie nakryłaś do stołu!

Czuję, jak twarz zalewa mi fala gorąca i z trudem powstrzymuję uśmiech, żeby z malutkiego nie zrobił się ogromny.

- Nie ma za co - bąkam.

Mamunia stawia czajnik na gazie i siada z powrotem przy stole.

- Masz może ochotę na dżem? - pytam.

- Poproszę.

- Wiśniowy? - mamroczę. - Czy może pyszny morelowy?

- O, chyba pyszny morelowy, Pea. Dziękuję. - Mama znów posyła mi uśmiech.

Podaję jej słoik, ostrożnie, żeby nie spłoszyć tego uśmiechu.

- Powiedz coś miłego - szepcze pod nosem Margot.

- Wyglądasz dziś bardzo pięknie, Mamuniu - mówię.

- Naprawdę tak uważasz? - dziwi się. - Nie czuję się piękna. Zastanawiam się, jak najlepiej odpowiedzieć.

- Masz śliczną sukienkę.

Mama patrzy na swoje ubranie i wydaje się zaskoczona, że ma je na sobie.

- Dziękuję - mówi.

Woda zagotowała się w czajniku i Mamunia odsuwa krzesło jak najdalej, szurając po podłodze. Wstaje powoli, podpierając się rękami. Przeciska się pomiędzy krzesłem a stołem, kiedy nagle brzuch z dzidziusiem potraça pełną szklankę soku jabłkowego tak, że ta zaczyna się przewracać.

Próbuję ją złapać, ale mam za daleko i sok wylewa się na stół. Mama stoi i patrzy. Potem szklanka toczy się ku niej, ku krawędzi blatu. Mamunia nie robi nic. Szklanka spada, odbija się o drewniane krzesło i roztrzaskuje na podłodze. Kiedy podnoszę wzrok, widzę, że Margot stoi już przy drzwiach. Daje znak paluszkami, żebym do niej dołączyła.

Mama tkwi uwięziona między stołem a krzesłem, a wokół jej stóp lśnią błyszczące okruchy szkła, tylko czekając, żeby wbić się w skórę, gdy tylko się poruszy.

- Przyniosę zmiotkę i szufelkę - oferuję. Ale Mamunia siada z powrotem przy stole i chowa twarz w dłoniach.

- Pea, idź się bawić - mówi. - Tylko uwaga na szkło.

- Ale naprawdę mogę...

- Pea! - wrzeszczy. - Idź już!

Stoimy przy drodze, dość ruchliwej o tej porze, wyczekując bezpiecznego momentu na przejście na drugą stronę. Margot postanawia liczyć niebieskie samochody. Nie jechał jeszcze ani jeden.

- Śniadanie poszło dobrze - ocenia.
- Szklanka poszła źle - zauważam.
- Szklanki są zbyt tłukliwe - stwierdza Margot.
- A wielkie brzuchy z dzidziusiami w środku są zbyt niezdarne - dodaję.
- Spróbujemy jeszcze raz - zapala się Margot.
- Może udałoby się nam wydostać dziecko, żeby brzuch Mamuni nie był taki niezdarny?
- Albo znaleźć nowego Tatę, który posprzątałby szkło? - podsuwa Margot.
- A może jedno i drugie?
- Tak byłoby najlepiej - przyznaje Margot. - Powinniśmy obmyślić plan.
- Ale jak się wydostaje dzidziusie... - zaczynam się zastanawiać, ale Margot mi przerywa.
- Patrz, kto jedzie! - woła.

W naszą stronę zmierza samochód Sylvie, błyskając migaczem, który informuje, że kiedy auto dojedzie do strzałki wskazującej na nasz dom, skręci pod górkę. Sylvie wiezie pieczywo. Jej samochód jest okrągły i błękitny jak niebo, a na tylnych fotelach tłoczą się bagietki w brązowych papierowych torebkach. Zawozi chleb ludziom, którzy mieszkają zbyt daleko od piekarni. Machamy jej, a ona zatrzymuje się na zakręcie.

- Dzień dobry! - mówię.
 - Cześć. Wszystko w porządku? - Usta Sylvie są różowe jak świnka. - Gdzie mama?
 - W kuchni - odpowiadam. - Zamiata szkło. Sylvie kiwa głową.
 - Co tu robisz?
 - Idziemy na dolną łąkę - informuje Margot.
 - Czekamy, żeby przejść przez drogę - dodaje.
 - Mama o tym wie? - Sylvie marszczy brwi, jakbyśmy zrobiły coś złego. Dlaczego wszyscy dorośli zadają nam głupie pytania?
 - Rozglądamy się w lewo i prawo, nasłuchujemy i nigdy nie biegamy - uspokajam ją. - No, czasem biegniemy do drogi albo jak już ją przejdziemy, ale nie przebiegamy na drugą stronę.
 - Patrzymy i słuchamy - potwierdza Margot.
 - Jasne - mówi Sylvie. - To do zobaczenia wkrótce.
 - Tak - odpowiadam. - Do widzenia! A Margot dodaje:
 - Sylvie, nasz Tatuś nie żyje, więc nie przywoź nam tak dużo chleba.
- Sylvie nadal marszczy brwi, ale jej różowitkie usta układają się w uśmiech.
- Pa! - rzuca na pożegnanie.
- Na dolnej łące są już Claude i Merlin, jakby na nas czekali. Mężczyzna siedzi oparty o drzewo, paląc papierosa. Faj.

Merlin leży obok. Dwie łapy wyciąga w powietrzu, bo pan właśnie głaska go po brzuchu. Pies dostrzega, jak biegniemy ścieżką w podskokach. Szczeka i ciągnie zębami Claude'a za rękaw. Macham im ręką, a wtedy Merlin puszcza się galopem w naszą stronę. Claude podąża za nim mniej zgrabnie i spotykamy się w pół drogi, pośrodku sadu jabłkowego.

- Nie powinieneś palić - upominam go, wbijając wzrok w stopy. - Można od tego umrzeć.

- Witaj, Pea - mówi Claude. - Przyszłaś sama? Dotrzymać ci towarzystwa?

Pamiętam słowa Tatusia.

- Nie jestem sama - mówię, wskazując na Margot, która wspięła się już na jabłonkę.

Mężczyzna patrzy w tę stronę i uśmiecha się.

- O, cześć, Margot! - woła. Potem znów patrzy na mnie. - Lubiłem chodzić po drzewach, kiedy byłem chłopcem. Ty też potrafisz?

- Nie idzie mi najlepiej - wyznaję.

- Chcesz, żebym cię nauczył?

Nie jestem przekonana, ale w tej chwili Margot złazi z jabłoni. Zeskakuje na ziemię i kłania się nisko.

- Twoja kolej! - oznajmia.

Stawiam stopę w miejscu, gdzie cienkie pnie rozchodzą się jak dłoń. Podciągam się, tak, że stoję pośrodku drzewa.

- Początek jest łatwy - mówię.

- Dobrze - chwali Claude. - Teraz musisz wybrać gałąź. Trzeba myśleć z wyprzedzeniem. Która wydaje się naj-

lepsz: ładna i mocna, z dobrymi chwytami i wygodnym miejscem do siedzenia, kiedy nie będziesz już chciała się wspinać?

Rozumiem, co ma na myśli. Niektóre gałęzie wyglądają nieźle, ale zaraz się rozdzielają i stają się cienkie i liściaste. Wybieram duży, gruby konar i staram się go chwycić, ale przeszkadzają mi liście i jabłka. Nie widzę, gdzie postawić stopę. Wyciągam ręce w górę i nagle trafiam nogą na coś stabilnego na idealnej wysokości, więc mogę się podeprzeć. Kiedy jednak próbuję przesunąć stopę w nowe miejsce, czuję, że utknęła. Zerkam w dół i widzę, że stoję na wielkiej dłoni Claude a, który zaciska palce na czubku mojego bucika.

- Możesz już puścić - mówię.

Stamtąd jest już łatwo i wkrótce siedzę na gałęzi, trzymając się z całych sił i kołysząc nogami. Moja buzia jest na tym samym poziomie co twarz Claude a, zupełnie jakbym była dorosła.

- Nie spadnij! - woła Margot.

Dotąd spadanie nie przyszło mi na myśl, ale teraz je sobie wyobraziłam i od razu się zachwiałam. Oj!

- Nie martw się - uspokaja Claude. - Nie spadniesz. Przez chwilę przygląda mi się uważnie.

- Jak ma się wasza mama? - pyta.

- Jest jej smutno - mówię.

- Z powodu taty - dodaje Claude. To nie pytanie, ale też nie jest to właściwa odpowiedź.

Przez minutę zbieram myśli, zaplatając palce w liście.

- Mamunia jest smutna, bo dzidziuś umarł - tłumaczę. - Bo nie był dość dobry. Nie chciała, żeby robił miejsce nowemu. Chyba chciała zostawić sobie tego poprzedniego. I smutno jej, bo ten nowy ją kopie, i nie pozwala jej spać ani normalnie chodzić. I jeszcze smutno, bo do stopy przykleiła się mucha, brzuch przewrócił sok, a ona nie mogła się schylić posprzątać. W dodatku nie było Taty, który by jej pomógł. Poza tym chciała zatrzymać Tatusia, ale umarł.

- To było straszne - wtrąca Margot. Skacze u moich stóp i robi piruety niczym balerina. Może chciałaby, żeby to jej Claude zadawał pytania o Mamę, ale on wypytuje mnie.

- Nie przerywaj mi! - upominam ją, po czym zwracam się do Claude'a. - Próbujemy sprawić, żeby Mamunia była szczęśliwa, ale mamy chyba z tysiąc punktów na liście pomysłów, więc trochę długo to trwa. Mama najbardziej lubi być w domu, ale kiedy nas tam nie ma.

- To nie może być prawda - protestuje Claude.

- Naprawdę tak jest - przekonuję, kiwając głową. - Dlatego przychodzimy tutaj albo czasem odwiedzamy Wietrzne Wzgórze. W ten sposób pomagamy.

- Poza tym dobrze się bawimy - dodaje Margot.

- Tak, świetnie się bawimy - potwierdzam.

- Nie wiesz, skąd mogłybyśmy wziąć nowego tatę? - pyta zniecierpliwiona Margot.

- Wietrzne Wzgórze - mówi tymczasem Claude. - Gdzie to jest?

- Nad górnym pastwiskiem - zdradzam. - Widać stamtąd turbiny i morze.

- Ach, tam - Claude wykrzywia usta, tak, że wygląda na wpół wesoło, na wpół smutno. Ma okropnie brzydką twarz, ale poczciwe oczy. Wyciąga rękę w kierunku gałęzi i odnoszę wrażenie, że zaraz dotknie mojego ramienia -nie żeby mnie popchnąć, ale raczej pogłaskać lub przytulić. Pewnie byłoby to miłe. Ale tego nie robi. Kładzie dłoń na korze i pochyla się lekko. Czuję z jego ust zapach kawy.

- Chodź - mówi. - Muszę ci coś pokazać.

Claude prowadzi nas w dół, do strumienia. Chce, żebyśmy przeszły po kamieniach.

- Wiesz, co jest po drugiej stronie? - pytam. Claude kiwa głową.

- Wiem - potwierdza.

- A wiesz, kto położył tu te głazy?

- Tak - przyznaje.

- Czy zrobiły to wiedźmy? -Nie.

-Ty?

Claude uśmiecha się i podnosi wzrok. Margot skacze już po kamieniach, wyciągając na boki ręce jak linoskoczek. Następny rusza Merlin, chlapiąc się w zatoczkach pełnych kijanek.

- Chodź! - pospiesza mnie Margot.

Zaczynam przeprawę na chwiejnych nogach. Z trzeciego kamienia mam daleko do obu brzegów, ale czwarty głaz nie jest zbyt płaski i nie wiem, gdzie postawić stopę.

- Nie dam rady! - wołam.
- Czekaj, pomogę ci - mówi Claude. Wchodzi do strumyka i wyciąga rękę.

- Moczysz sobie nogi!
- Nie szkodzi - odpowiada. - Mam wodoodporne buty, a poza tym woda jest wyjątkowo przyjemna!

Kładę moją drobną rączkę w jego wielką dłoń i wkrótce staję obiema stopami bezpiecznie na suchym lądzie.

Dolne pastwisko to w większości łąka, nie ma tu zbyt wielu drzew. Pole jest szerokie i wysokie, morze trawy ponad moją głową, barwne od kwiatowych ryb. O tej porze nie ma tu krów ani owiec, bo wyruszyły na letnie wakacje na zboczach góry. Zostały po nich tylko kupy.

- Spójrzcie na te kwiaty! - wołam.
- Nie ma osłów - zauważa Margot. - Ani krów i owiec. Dzięki temu są kwiaty.

- W drodze do domu nazbieramy ogromny bukiet -mówię. - Wszystkie kolory. Ale czy najpierw możemy zobaczyć niespodziankę?

Claude kiwa głową.
- Gdzie ona jest? - dopytuję. Wskazuje na róg pastwiska.
- Widzisz tam coś? - pytam Margot. Kręci głową.
- No, dalej - zachęca Claude. Wkłada dłonie pod moje pachy i podnosi mnie nad ziemię. - Zajrzyj w tamten róg.

Widzę sporą kępę drzew. Nie ma w nich nic wyjątkowego. Może z wyjątkiem kilku barw, które nie są kolorami liści.

- Podejdźcie bliżej i przyjrzyjcie się - zachęca Gaudę. - Merlin was poprowadzi.

- Idziemy! - woła Margot, rzucając się naprzód, szu--szu-szu. Biegnę za nią, wprost w wysoką trawę, odgarniając źdźbła rękami. Merlin robi susy przy mojej nodze.

Pień drzewa jest tak gruby, że nie ogarniam go ramionami. Oparto o niego małą drewnianą drabinkę, którą przymocowano niebieskim sznurkiem. W górze, pośród liści, brakuje kilku wyciętych gałęzi, a w ich miejsce ktoś przybił gwoździami szerokie deski i dodał do nich boki, tworząc coś w rodzaju kosza. Z krawędzi zwisa czerwono-zielony koc.

- To gniazdko! - piszczy Margot. - Dla dziewczynek!

- Możemy się tam wspiąć? - pytam.

- To chyba oczywiste! - odpowiada Margot. - To musi być ta niespodzianka!

I już wpycha się na mnie tłustym zadkiem, włączając jak małopka na drzewo. Wchodzę tuż za nią.

Wyglądam z dziewczęcego gniazdka na dolne pastwisko i widzę całe morze trawy, strumyk, a dalej łąkę. Dostrzegam też górną połowę Claude'a zmierzającego śladem wygniecionego w trawie węża, którego wydeptaliśmy, idąc do drzew. Ze swojego miejsca widzę też inne węże, inne ścieżki do naszej kryjówki. Jestem przycupniętym na gałęzi ptakiem, patrzącym z góry na miejsca i ludzi. Wszystko wygląda dziwnie, inaczej i podniecająco.

- Od dzisiaj mieszkam tutaj - oznajmiam.
- Naprawdę byś mogła! - Margot rzuca we mnie jakimiś ściereczkami.

- Serio?

- Tak! - woła Margot. - Spójrz na to!

Podłoga z desek przykryta jest pledem w kratę, rozłożonym jak na piknik. Margot znalazła już butelkę lemoniady i ciasto. Zdejmujemy ściereczki z kolejnych misek oraz talerzy i odkrywamy nowe skarby. Jest bagietka, chrupki i ser w kostkach, owinięty w błyszczący papier. Nie ma sałatki ani kanapek, tylko jedzenie jak na przyjęciu. Zeszło się już kilka mrówek, ale nie dają rady unieść bagietki. Wpycham do buzi całutki kawałek ciasta.

- Hej, tam na górze! - woła Claude.

Wyglądam przez krawędź i patrzę w dół na niego. Przeżuwam i przełykam szybko.

- To dziewczęce gniazdko! - wołam.

Claude uśmiecha się szerzej niż kiedykolwiek. Jego twarz robi się jeszcze żywiej czerwona.

- Podoba ci się, Pea? - pyta. Słowa brzmią miękko w jego ustach, jak dobranocki od Mamuni i Tatusia. Zaraz potem mówili „Kocham cię” i „*Je f aime*”.

- Genialne! - odpowiadam. - Czy to jakieś przyjęcie?

- Masz dziś urodziny? - dopytuje Margot.

- Dziś urodziny obchodzi Merlin - zdradza Claude.

- Ile ma lat?

- Jedenaście.

- To nawet nie jest dorosły.
 - Jak dla psa to całkiem sporo.
 - Wszystkiego najlepszego, Merlinie! - woła Margot.
 - Kogo zaprosiłeś na przyjęcie? - pytam.
 - Tylko ciebie, Margot, Merlina i siebie samego. Solenizant kładzie się pod drzewem z sapnięciem.
 - Och - mówi Claude. - Merlin chyba woli zostać na dole.
 - No pewnie - potakuje Margot. - Psy nie chodzą po drzewach.
 - Jeśli ma dziś urodziny, powinien robić, co mu się podoba - mówię.
 - Dotrzymam mu towarzystwa na ziemi - oznajmia Claude. - Wejdę tylko po nasze talerze.
- Na górze i tak nie ma zbyt wiele miejsca. Nie wiem, czy Claude w ogóle by się zmieścił. Kiedy jego twarz wyłania się u szczytu drabiny, Margot mówi:
- Dzień dobry, panie Claudzie, czego życzy pan sobie z naszej kawiarni?
 - Może kieliszek wina, panie Claudzie? - dodaję.
 - Z przyjemnością, poproszę - odpowiada, więc podaję mu kubek. - A czy mógłbym zamówić jeszcze tort urodzinowy dla Merlina i dla siebie też? Ach, tak, i plastikową miskę na wodę dla psa.
 - Proszę bardzo, panie Claudzie, smacznego - mówię, ze śmiechem podając mu plastikowe talerzyki. Claude jest naprawdę zabawnym dorosłym.

Mężczyzna znika, a po chwili spod drzewa dochodzi do nas zapach dymu z papierosa. Dziś jakoś mi nie przeszkadza. W cieście są czereśnie, a ja jestem tak głodna, że wybieram je palcami i zjadam w pierwszej kolejności. Kiedy mam już tak pełny żołądek, że nie zmieści się w nim ani jeden owoc, schodzę po drabinie i siadam w cieniu obok Merlina. Pies ma głaskany brzusek i wydaje cichutkie pomruki zadowolenia.

- Claude - odzywam się. - To ty zbudowałaś dziewczęce gniazdko, prawda?

- Tak, ja - przyznaje.

- I ty ułożyłaś kamienie, żebyśmy przeszły przez rzekę?

- Tak, to też.

- Dla nas?

- Dla was. - Claude patrzy na mnie. Wyciąga palce ponad brzuchem Merlina i dotyka mojego kolana. To łaskocze.

- Dlaczego zrobiłaś dla nas gniazdko? - dopytuję.

Claude wzrusza ramionami i dalej głaszcze psa. Szorstkie koniuszki jego palców ocierają się o moją skórę, tam i z powrotem.

- Każda mała dziewczynka powinna mieć tajemnicę -mówi.

Rozdział 4

Dziś środa, a w środy chodzimy na targ. A w zasadzie targ przychodzi do nas. Idziemy do wiejskiej drogi, ale aleją, nie przez brzoskwinie. Mamunia prowadzi, odchylając się do tyłu na stromym zejściu. Pędzi tak, że włosy za nią nie nadążają. Powietrze jest ciepłe i wilgotne, więc jestem cała spocona od tego pośpiechu. Mama patrzy w białe niebo i jeszcze bardziej przyspiesza. Gdy docieramy do drogi, zatrzymuje się, by złapać oddech. Łapie powietrze krótkimi sapnięciami.

Kiedyś uwielbiałam dzień targowy. Cały ranek plątałyśmy się po straganach, dotykając drewnianych zabawek i chowając się w stosach patchworkowych spodni z jaskrawych skrawków. Kręciłyśmy się przy stoiskach, gdzie można było czegoś skosztować - miodu, soku owocowego, oliwek albo dżemu. Czasem nawet jadłyśmy tam lunch, siedząc w promieniach słońca. Każdy środowy poranek w wiosce był jak przyjęcie. Ale teraz chodzimy tylko po zakupy, z nikim nie rozmawiamy i wracamy prosto do domu.

- Ciekawe - szepcze Margot - czy gdybyśmy tu skręciły, zauważyłaby, że nas nie ma?

Też się nad tym zastanawiam. Bramka, którą przechodzimy w drodze na dolną łąkę, jest tuż za drogą. Osiołki zwieszają przez nią łby i uśmiechają się do nas. Brązowy kłapouch wyciąga nos w naszą stronę i woła głośno „iii-ha"! Cieszą się, że nas widzą.

- Chodź, idziemy - namawia Margot. Bierze mnie za rękę, po czym rozglądamy się i nasłuchujemy, gotowe, by przejść przez drogę.

Ale Mamunia właśnie złapała oddech. Chwyta mnie za drugą rękę i rusza, skręcając w prawo, ku wiosce. Margot i ja dajemy się ciągnąć, i wyglądamy jak kaczuszeki drepczące za kaczą mamą. Na popękany asfalcie musimy się trzymać blisko skraju, bo szosa jest wąska, a samochody jeżdżą za szybko.

Pomiędzy naszą alejką a początkiem wioski stoi tylko jeden dom, i to daleko od drogi. Pośród drzew migają czerwone dachówki. Zaglądamy przez oddzielający ogród murek, zastanawiając się, kto tam mieszka. Co jakiś czas czuję słodycz jaśminu, ale kwiaty gdzieś się kryją. Przesuwamy palce po szorstkich kamieniach. Chude, brązowe jaszczurki wygrzewają się w szczelinach. Na widok naszych skradających się dłoni mrugają lśnącymi, czarnymi oczkami i zmykają.

Targ słyszemy i czujemy nosem na długo, zanim do niego dotrzemy. Rozmowy dorosłych i śmiech dzieci, szczekanie psów i smażenie paelli - dźwięki i zapachy targowiska pędzą uliczką, by nas powitać. Gdy stajemy

na miejscu, wiejski rynek wiruje kolorami. Mnóstwo ludzi przechodzi od straganu do straganu - ci z koszykami to klienci, a reszta przyszła, by popatrzeć. Niektórzy siedzą pod platanami przed kawiarnią, pijąc kawę z tych filizanek albo piwo ze szklanek. Nie wyglądają na zmartwionych chmurami. Rozpoznają twarze, które są tu co tydzień, ale nie brak też całkiem nowych.

W lecie targ jest większy i pełen ludzi, którzy zjechali tu na wakacje. Łatwo poznać, kto jest kim. Tutejsi poruszają się powoli, jeśli w ogóle zdecydują się ruszyć. Mają brązową skórę, uśmiechają się do siebie i mówią „dzień dobry”. Zatrzymują się pośrodku tłumu, by pogawędzić, podczas gdy przyjezdni ciągle się śpieszą, robią się czerwoni na słońcu i gadają tylko między sobą. Mogłoby się wydawać, że naraz odbywają się dwa targowiska - jedno dla normalnych osób robiących zakupy, a drugie dla urlopowiczów. Niby wszyscy się mieszamy, ale tak naprawdę jesteśmy oddzielni, jak jabłka i pomarańcze w jednej misce.

Mamunia też przyjeżdżała tu na wakacje dawno, dawno temu. Mówiła, że szukała świętego spokoju. Zamiast tego znalazła Tatusia i została na zawsze. Kiedy Mama opowiadała o tym, jak poznała Tatę - a często prosiłam, żeby to robiła - dostawała wypieków i uśmiechała się tak bardzo, że aż ciekły jej łzy. Nawet kiedy Tatuś jeszcze żył. Zawsze mówiła, że był jej księciem z bajki.

Mamunia przepycha się przez tłum brzuchem do przodu. Trzyma na nim dłonie, żeby nikt nie wpadł na dzi-

dziusia, ale wygląda to tak, jakby ktoś przywiązał jej linkę do pępka i wiódł za sobą. Gdy Mama maszeruje naprzód, ludzie się rozstępują, tworząc wokół nas bańkę powietrza, w której jesteśmy zamknięte jak w klatce.

Widzę kilkoro dzieci z mojego dawnego przedszkola. Udaje mi się do nich pomachać, choć Mama ciągnie mnie dalej, i wołam „*Coucou!*”. Nie odpowiadają mi machaniem. Wybuchają śmiechem.

- Tatuś był pomarańczą, ale my jesteśmy jabłkami -mówię.
- Wiesz, dlaczego jesteś supermądra? - pyta Margot.
- Wcale nie jestem.
- Właśnie, że tak.
- Dlaczego?
- Bo umiesz mówić we wszystkich językach, a oni tylko w jednym.
- Nie umiem mówić we wszystkich językach - prostuję. - A hiszpański?
- No to w większości.

Doszliśmy do rogu ulicy, gdzie jeden pan piecze kurczaki na rożnach. W powietrzu unosi się zapach pieczonego mięsa i wokół stoiska tłoczą się ludzie, którzy chcą chociaż zakosztować tego aromatu, nawet jeśli nie zamierzają niczego kupować. My nigdy nie kupiliśmy takiego kurczaka, ale jestem przekonana, że wiem, jaki byłby pyszny. Zwalniam kroku i pozwalam, żeby do mojej buzi wkradł się słony smak, a uszy najadły się odgłosem

skwierczenia. Mamunia chwytając mnie za rękę i odciąga sprzed straganu.

Tuż za rogiem stoi Claude. Czeka z Merlinem przed furgonetką rzeźnika, który pakuje mięso w biały papier. Pies nie spuszcza wzroku z pakunków, a potem niucha w powietrzu i zwraca głowę w moją stronę. Na nasz widok głośno szczeka i merda ogonem na powitanie.

Claude też się odwraca, patrzy w naszym kierunku i mówi coś do czworonożnego przyjaciela. Patrzy na Mamunię, potem na mnie i Margot, potem znów na Mamę. Uśmiecha się półgębkiem. Wygląda, jakby chciał się zachować przyjaźnie, ale boi się, że Mama go ugryzie. Biorąc pod uwagę jej dzisiejszy nastrój, obawiam się, że faktycznie mogłoby do tego dojść.

Nie ma się jednak co martwić, bo Mamunia w ogóle nie zwraca na niego uwagi i przegląda swoją listę. Kiedy go mijamy, podnoszę wzrok. Odwraca się, żeby zapłacić rzeźnikowi za kiełbaski, ale najpierw puszcza oko do mnie i Margot.

Na targu obowiązuje nas pewna rutyna. To znaczy, że co tydzień robimy to samo. Najpierw kupujemy mięso, które trafia na spód koszyka. Potem idziemy na stoisko z warzywami po jakąś zieleninę, dobieraną w zależności od pogody. W lecie mogą to być cukinie i karczochy, zielona fasola i groszek w strączkach. Potem idziemy do Marcela, sprzedawcy owoców, handlującego pod żółtą markizą w pasy. Jest grubiotki, ma siwe włosy i rumianą twarz,

a jego fartuch jest wiecznie pokryty pestkami i sokiem. Ma też jeden złoty ząb. Towarzyszy mu żona - chuda, zadowolona i małomówna. Marcel żongluje śliwkami, ładując je do brązowych papierowych torebek i ważąc, ona układa owoce i wynosi nowe tace produktów z paki białej furgonetki.

Tu zawsze jest kolejka, więc stajemy w ogonku, podczas gdy Mamunia wybiera spośród różnych rodzajów śliwek i moreli, okrągłych pomidorów rosnących na gałązkach i tych, które wyglądają jak małe czerwone papryczki. Margot skupia się na jednym typie owoców i zaczyna liczyć. Zna wszystkie liczby, co jest bardzo sprytne, ale zabawa szybko robi się nudna. Co gorsze, jeśli ktoś kupi to, co Margot akurat zlicza, mała musi zacząć od nowa. Lubię przykladać nos do wystawionych owoców i chłonać ich ciepłe, dojrzałe zapachy. Marcel zawsze zwraca na mnie uwagę i podchodzi, żeby powiedzieć, jaka jestem śliczna.

Na szczycie stosu melonów leży przekrojony na pół arbuz. Z wierzchu zielony, w środku pomarańczowy. Już z daleka czuję miodową słodycz. Przysuwam twarz tak blisko owocu, że gdybym wystawiła język, mogłabym złapać kropelkę soku. Zapach łaskocze mnie w nos.

- Witaj, Zielone Oczko - mówi Marcel. - Jak się dziś mają twoje loki? Hej, Laleczko, co byś chciała od Marcela?

Nazywa mnie tak, choć to niedobre przezwisko - nie jestem laleczką, tylko pięcioletnią dziewczynką. Zwykle daje mi w prezencie morelę lub plasterki brzoskwini

i szczypie mnie w policzek. Tym razem wręcza mi nektarynkę, którą dzielę się z Margot. Marcel śmieje się i radzi:

- Lepiej zmykaj do domu, Laleczko, zbiera się na burzę. Kiedy Mamunia już wszystko powybierała, sprzedawca przybiera jeszcze szczególniejszy ton głosu i mówi do niej:

- Witam, *Madame*. Jak się dziś pani ma? - Potem wykonuje ruch brodą w kierunku jej brzucha. - Już lada dzień, co?

Mama, jak zwykle ostatnio, wykonuje uśmiech bez uśmiechu i odpowiada: „Dzień dobry”. Patrzy w niebo, które rzeczywiście ciemnieje.

Gdy już kupimy owoce, zatrzymujemy się po zielone oliwki, które nabieramy do czystego słoja wyjętego przez Mamunię z koszyka. Potem idziemy po ser, na ogół kozi, bo o taki zawsze prosił Tatuś, a dalej do piekarni, po croissanty na jutro. W czasach, kiedy Mama bywała radosna, kupowała nam do podziału jakąś pychotkę - *pain au chocolat* albo brioszkę - ale dziś bierzemy tylko rogaliki i wychodzimy w pośpiechu.

- Szybciej - woła Mamunia. - Napijmy się jeszcze, zanim ruszymy z powrotem.

- Oo, tak! - cieszy się Margot. - Poproszę szklanek lemoniady z kostką lodu i różową słomką.

Ale nie takie picie Mama ma na myśli. Pośrodku wiejskiego ryneczku stoi fontanna z sadzawką, w której kąpią się gołębie. Z każdego rogu ciemne metalowe ryby tryskają wodą z pyszczków, więc podstawiamy i nasze

pyszczki, nawet Mamunia. Turyści dziwnie na nas patrzą, jakby trzeba było być dzikusem, żeby pić taką wodę, ale widać, że tak naprawdę chętnie by się przyłączyli. Mama obmywa sobie twarz i chlapie na szyję, więc idę w jej ślady. Dotyk chłodnej wody na mojej letniej skórze jest wspaniały.

Idąc aleją do domu, Mamunia dyszy i sapie. W jednej ręce dzierży koszyk, a drugą trzyma na plecach. Co kilka kroków zmienia ręce. Teraz to ja i Margot prowadzimy, a Mama zostaje w tyle. Mimo że nie ma słońca, dzień robi się bardzo upalny i wszystkie jesteśmy spocone. Mniej więcej w połowie drogi Mamunia staje i po prostu siada na ścieżce. Ściąga buty i rozciera sobie stopy, które są duże i mocno różowe. Oddycha tak: ha-huu, ha-huu, ha-huu.

Doprowadzenie jej do domu zajmuje nam długi czas kiedy tylko wchodzimy do kuchni, Mamunia odstawia koszyk i opada na krzesło. Przynoszę jej z lodówki zimny napój, a potem nakrywam stół do typowego dla dnia targowego lunchu: chleb z masłem i solą, pomidor w plasterkach, ser i oliwki. Mama pije i przygląda mi się bez uśmiechu. Podpiera głowę ręką, wspierając łokieć na stole.

- Przepraszam, Pea - odzywa się wreszcie. - Chyba się położę.

Patrzę, jak ociężale wchodzi po schodach, bez skosztowania choć kęsa.

- Jemy czy idziemy się bawić? - pyta Margot.

- Jedno i drugie - odburkuję. - Najpierw lunch. Umieram z głodu od stoiska z kurczakami.

Szykuję dwa talerze pełne naszego ulubionego jedzenia. Sypię na kromki więcej soli niż powinnam, i nie kładę sera. Znajduję w spizarce napój gazowany, który udaje mi się otworzyć. Jem pomidora jak jabłko i sok ścieka mi na sukienkę. Po oliwki sięgam palcami, zlizując oliwę i pakując upačkane ręce z powrotem do słoja. Po skończonej uczcie zostawiam jedzenie niezakryte i wybiegamy się bawić, nie sprząając po sobie talerzy.

Dawniej dzieci z wioski ciągle przychodziły się bawić na polach. Kopały jamy i budowały domki na drzewach, a te większe nieraz zostawiały śmieci i butelki. Nasza stodoła stoi plecami do pól, jednym, okrągłym okiem wyglądając na górne pastwisko i skrzydlate turbiny. Dookoła podwórka rośnie dużo drzewek owocowych: niewielka kępka jabłonek (pewnie był tu sad), dwa granatowce, drzewko figowe i pigwowiec w jednym rzędzie, a także samotne drzewko oliwne i dorodna czereśnia.

Owocowa zabawa zaczęła się od pigwowca. Pigwy w żadnym razie nie nadają się do jedzenia, zresztą drzewko jest chore i owoce zaraz robią się brązowe i zepsute. Letnią porą, kiedy miałam trzy latka, banda chłopaków z wioski wybierała wszystkie pigwy z drzewa i użyła ich jako rzutek, próbując trafić w okrągłe okienko. Większość

owoców zgniła pod ścianą stodoły, tylko kilka wpadło do środka. Tatuś śmiał się, kiedy znalazł je przy traktorze. „Śmieszna zabawa” - powiedział.

Jesienią chłopcy przerzucili się na granaty. Nie zbieramy zbyt wielu do jedzenia ani na sprzedaż. Na ogół wybuchają sobie na drzewie. Potem sroki dziobią ukryte w środku klejnoty, aż owoce spadają i rozgniatają się na ziemi. Owocowa zabawa szła chłopcom coraz lepiej i całkiem sporo granatów wylądowało wewnątrz stodoły. Te, które nie trafiły w okienko, roztrzaskały się o ścianę, tworząc na ziemi lśniący czerwony dywan. Tata mruczał pod nosem, sprzątajac bałagan.

Następnej wiosny chłopcy nazrywali tyle czereśni, ile udało im się dosięgnąć. Owoce były zbyt pyszne, by je zmarnować, więc je pożarli, a jako nabożów użyli pestek, którymi rzucali albo pluli. Uznali jednak, że to nieskuteczne, więc sięgnęli po niedojrzałe jabłka. Źle się dla łobuzów złożyło, że zdarzenie zbiegło się akurat z powrotem Mamuni ze szpitala i Tatuś naprawdę się zdenerwował.

- Dość, dość, dość! - wrzeszczał na nich. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby krzyczał, przenigdy.

- Jemy te jabłka - wołał. - To nie zabawki i moja stodoła też nie służy do zabawy. Znajdźcie sobie jakieś pożyteczne zajęcie w weekendy, a jeśli jeszcze raz przyłapię was na grandzie moich brzoskwiń, przysięgam, że pożałujecie!

Chłopcy więcej się nie pokazali, więc zeszłoroczne granaty jak zwykle pospadały z drzew, a na czereśni było

mnóstwo owoców, które strącałam mopem. Tak czy inaczej, miło było mieć inne dzieci tu, na górze, nawet jeśli się nie przyjaźniliśmy Teraz nawet owoce wydają się czasem samotne.

- Margot - odzywam się. - Czuję w sobie mrok i jest pochmurno. Możemy iść na Wietrzne Wzgórze.

Nie mówię tego w formie pytania, bo nie jestem w zbyt dobrym nastroju.

- Dobrze - odpowiada Margot i bierze mnie za rękę.

Na Wietrznym Wzgórzu rosną sosny i topole, drzewka figowe i dęby. Pachnie solą, ziołami i skórą zwierząt, a teraz, latem, czuć tak, jakby ziemia się gotowała. Są tu kolcolisty obsypane żółtymi kwiatkami, które wyglądają jak portmonetki i pachną jak kokosy. Pomiedzy wielkimi głazami kwitną lawenda i rozmaryn, który można żuć, jeśli się zgłodnieje.

Dziś dość mocno wieje i wiatr, który pysznie szaleje w moich włosach, więc przez chwilę stoję i pozwalam mu się otulać, przyglądając się turbinom. Ziemia jest twarda i kamienista, niewygodnie się tu siedzi. Nawet na wiosnę, kiedy topole sypią wirującymi kulkami puchu, pokrywając wzgórze miękkim, białym dywanem, i kiedy można by się spodziewać, że przyjemnie będzie usiąść, kamienie i tak się przebijają, zostawiając na nogach czerwono-fioletowe siniaki.

Jeśli zmruży się oczy, to hen, za turbinami, zwykle widać morze. Z pomocą wyobraźni można nawet dostrzec

różowe flamingi brodzące patykowatymi nogami w etangs, stawach, i szukające jedzenia w słonej wodzie. Wczesnym rankiem świetnie widać stąd wschód słońca, który zmienia wszystko z szarości w róż.

Ale teraz nic nie jest różowe. Ani błękitne. Na niebie wiszą nisko kłębiące się, szare chmurzyska, a powietrze jest ciepłe i ciężkie.

- Nie możemy długo zostać - ostrzegam.

- Całe wieki nie widziałyśmy porządnych chmur - zauważa Margot. - Napatrzmy się.

Więc mimo, że chmurzyska są ciemne, niskie i niezbyt ładne, odklejam wzrok od turbin i zaczynam nazywać twory na niebie.

- Słoń, ważka, dom - wymieniam.

- Kielbaska, robot, majtki - mówi Margot.

Potem przechodzi do chmur wiszących tuż nad nią, odchylając głowę tak bardzo, że omal przewraca się do tyłu.

- O! Połóż się na plecach - wpada na pomysł.

- Nie, będzie bolało.

- No, dalej, spróbuj tylko - namawia. Po czym sama kładzie się w pyle i wyrastających gdzieś krzaczekach.

Dołączam do niej, tak że nasze stopy się stykają, a ziemia wbija mi się w plecy. Gapimy się w ponure niebo.

Kiedy tak leżymy, pędzące nad nami chmury nie wyglądają już jak zwierzęta, tylko potwory. W oddali rozlega się grzmot, co tylko pogarsza sytuację. Leżymy tak, napawając się swoim strachem, aż nadpływa olbrzymie

fioletowo-czarne chmurzysko, rzucając cień prosto na nas i przynosząc zimny wiatr, który podrywa ostry piach i siecze mnie po twarzy. Jestem zajęta myśleniem. Pod chmurą widać dziwną mglistość, jakby drobne cząstki odrywały się od niej i odlatywały z wiatrem. Staram się wykombinować, co tam się dzieje, kiedy nagle kawałek nieba uderza mnie wprost między oczy.

Najpierw przychodzi mi na myśl, że chłopcy wrócili i rzucają w nas pestkami brzoskwiń, ale mój wzrok pada na leżący obok kawałek lodu, co jest raczej niezwykle. Siadam i krzyczę: „Hej!”, ale nikogo tu nie ma. Coś znów mnie uderza, tym razem w czubek głowy, a potem kolejny pocisk trafia mnie w plecy. Spore cząstki lodu spadają wszędzie wokół nas. Początkowe „kap, kap”, szybko zmienia się w walenie i dudnienie lodowych kamieni odbijających się od skalistego wzgórza i mojej mniej skalnej głowy. Tam, gdzie grad trafił w gołe ramiona i nogi, czuję pieczenie i ból.

- Ruszaj się! - woła Margot, wskazując palcem rosnącą nieopodal potężną jodłę. Nurkujemy pod parasol gałęzi i przytulamy się do pnia. Gałęzie są gęste i rozłożyste, ale lód i tak dostaje się do środka, padając ukosem i lądując z trzaskiem pod moimi stopami.

Nagle niebo rozświecła ostry błysk i światem wstrząsa potężny grzmot. Nie potrafię powstrzymać łez.

- Nie martw się - pociesza mnie Margot. - To nie będzie długo trwało.

- Nie podoba mi się.

- Zaraz przejdzie - zapewnia Margot. - Sama widziałaś, jak mocno wieje.

Niebo jest ciemne jak okiem sięgnąć, a gradobicie tak potężne, że nie widać nic, poza krawędziami naszej.

- Margot, chcę do Mamuni - płaczę.

- Trzymaj się, Pea.

Kolejna błyskawica przesywa niebo, a po niej straszny huk bije mnie w uszy, jakby ktoś tuż obok uderzył z całych sił w cymbały. Przychodzi mi na myśl, żeby wspiąć się na drzewo, ale nie ma się czego chwycić, a igły kłują i kiwają się na wietrze. Przywieram do pnia jeszcze mocniej, przytulając jedno ucho do szorstkiej kory, a drugie zakrywając dłonią. Margot przyciska się do mnie z tyłu. Zaczyna śpiewać.

- Słyszę burzę! Słyszę burzę! Czy ty też? Czy ty też? Kapią, kapią krople, kapią, kap... - Nie kończy piosenki.

Nagle w słabnącej gradowej ulewie pojawia się na ścieżce jakiś cień. Szybko przemieszcza się w naszą stronę, błyskając pojedynczym białym okiem i łopocząc czarnym płaszczem.

- Burzowa wiedźma! - wrzeszczę.

Stwór zbliża się, zbliża i nie wiem, co robić. Drę się wniebogłosy, bo czarownica jest tuż tuż. I nagle rozpoznaję sylwetkę. To nie żadna Baba Jaga, tylko Claude, który biegnie do nas, targany wiatrem, trzymając nad głową kurtkę.

- Co tu robisz? - przekrzykuję wichurę. Claude przynależy do łąki, nie do Wichrowego Wzgórza. Ale nie odpowiada. Mocno chwyta mnie za ramię, odrywa od pnia drzewa i osłania płaszczywym dachem. Sapiąc, rzuca polecenie: „Naprzód!”.

Jesteśmy otoczeni grzmotami, całe niebo ryczy wściekle, a my, potykając się, pędzimy w lodowej ulewie przez górne pastwisko, a potem piaskową drogą. Ale to nie ta, która prowadzi do naszego domu.

- Nie tędy! - krzyczę, ale Claude się nie odzywa. Poruszamy się za szybko, żebym mogła wrzasnąć mu

do ucha. Trzymam się kurczowo koszulki Claude'a i wlokę się za nim. Wcale mi się to nie podoba, ale zanim zdążę wymyślić, co wolałabym robić w zamian, stajemy przed dużym kamiennym domem. Poznaję go - to ten, który widziałyśmy rano z drogi. Claude nie zabiera nas jednak do środka, ale prowadzi do stojącej obok stodoły. Szarpie się z zasuwką w wielkich, drewnianych wrotach, a wtedy huk gromu omal nie zwała mnie z nóg, niebo rozświetla się, jakby ktoś podniósł z niego pokrywkę. Wreszcie drzwi stają otworem i Claude wpycha mnie do środka. Stoję w progu, w głowie mi się kręci i czuję, że zaraz się rozplączę.

- Nic ci nie jest? - pyta Claude.

Żałośnie kręcę głową. Chociaż Claude jest dorosły, chyba nie bardzo wie, co robić dalej. Przez minutę nie ru-

sza się wcale, tylko dyszy jak pies. Grad wali o dach i wstawione w miejsce szyb drewniane okiennice. Claude rzuca pelerynę na kamienną podłogę stodoły i odwraca się, żeby zamknąć wrota.

- Masz jakieś ręczniki? - pytam go.

Stoi tyłem do mnie i nie odpowiada. Potem nagle zwraca się przodem i wbija we mnie lodowate spojrzenie.

- Mogłybyśmy prosić o jakieś ręczniki? - powtarzam pytanie.

Claude rozgląda się wokół. Pod tylną ścianą piętrzą się bele siana.

- Siadaj tam, Pea - mówi. - Zaraz coś znajdę.

I znika z powrotem w burzy, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

Siano śmierdzi stęchlizną i drapie mnie w gołe nogi. Podwijam je pod mokrą sukienkę i otulam się ramionami, trzęsąc się z zimna.

- Rozejrzyjmy się, póki go nie ma - mówi Margot.

- Nie mam odwagi - odmawiam i kręcę głową. - Co będzie, jak nagle wróci? Kazał nam tu siedzieć.

- Tobie kazał, mnie nie - odpowiada. - Ja się nie boję. Zeskakuje i idzie zwiedzać. Śledzę ją wzrokiem.

Pod jedną ze ścian, w równych rzędach, leżą bale drewna. Margot podchodzi je powąchać, ale ja stąd czuję ich zapach. Pachną jak drewno kominkowe u nas w domu - porąbane kawałki dębu. Przy drzwiach, którymi weszliśmy do środka, leżą dwa worki psiej karmy, parę puszek

farby o nieszczęsnych wieczkach - jest biała i żółta - i stos czarnych wiader. Margot zagląda do kubelków i wzrusza ramionami. Puste.

Pod przeciwległą ścianą, przy potłuczonym oknie, stoi stara *armoire* szafa, a na gwoździach wisi mnóstwo narzędzi, takich, jakie Tatuś ma u nas w domu - piły i noże, szpadle, grabie i młotki.

Siano zajmuje połowę pozostałej ściany, a w wolnej przestrzeni, niedaleko miejsca, w którym siedzę, tłoczą się duże sprzęty, których nie da się powiesić na gwoździach. Margot zagląda w tamten kąt i wyciąga palec.

- Patrz, Pea! Patrz!

Widzę taczki, drabinę, zwoje lin, jakieś płachty, a całkiem z tyłu stoją dwa błyszczące, czerwone rowerki.

Rozdział 5

Możemy na nich pojeździć? - Na widok rowerów zapominam o siniakach wychodzących mi na szyi i plecach.

Claude, który właśnie pojawił się z powrotem w drzwiach stodoły, z ręcznikami w rękach, patrzy na stojące rowery.

- Ach, tak - mówi, kiwając głową. - Musimy najpierw spytać mamę.

Podaje mi ręcznik, którym owijam się cała. Drugi zakłada mi na głowę, przez co wyglądam, jakbym brała ślub.

- Nie będzie miała nic przeciwko - zapewnia Margot.

- Naprawdę, Mamunia absolutnie nie będzie miała nic przeciwko, byle byśmy jej nie przeszkadzały - dodaje.

Claude marszczy brwi, patrząc na rowery. Kuca i zbliża do nas mokrą od deszczu głowę.

- Takie sprawy to nie przelewki - mówi. Jego głos brzmi, jakby z brzucha dochodził grzmot. - To są bardzo wyjątkowe rowery. Nie dzielę się nimi z byle kim.

Puszcza do mnie oko. Claude często puszcza perskie oko. Jest bardzo zabawny.

- Ale przecież są dla ciebie za małe! - zauważa Margot.

- Poza tym one są dwa, a ty jesteś jeden.

- Słuszna uwaga - przyznaje Claude. - Umiesz jeździć na rowerze?

- Nie wiem - wyznaję.

- Na pewno byś umiała, gdybyś spróbowała - mówi.
- Wyglądasz na dziewczynkę, która ma szczególny talent do jazdy na rowerze. Może cię nauczę.

Claude marszczy brwi.

- Ale nie dzisiaj - dodaje.

- Dlaczego?

- Jesteś cała mokra. Kierownica by zardzewiała od twojego dotyku.

Do stodoły wchodzi Merlin, może chcąc sprawdzić, o co to całe zamieszanie. Podbiega do nas. Jestem opatulona rękami, ale sukienkę mam nadal mokrą i wciąż mi zimno. Przytulam się do psa, który uderza ogonem w belę siana. Od razu robi się przytulniej. Dudnienie w dach już ustało i teraz słychać tylko kapanie. Jakiś ptak ćwierka za oknem, to chyba kos.

Claude drapie się po głowie. Włosy przyłgnęły mu do skóry, ukazując to okropne miejsce.

- Claude, co ci się stało w głowę?

Mężczyzna wygląda na bardzo zaskoczonego, jakby po raz pierwszy w życiu przejrzał się w lustrze. Sięga dłonią, by dotknąć skóry, gdzie brakuje włosów.

- Nie zauważyłeś? - pytam.

- Ależ tak, oczywiście - odpowiada Claude. - Ale jesteś pierwszą osobą, która mnie o to spytała.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Problem wielu osób - stwierdza Margot - polega na tym, że w ogóle nie zauważają ważnych rzeczy.

- Boli cię to? - dopytuję.

- Nie, teraz już nie - mówi Claude.

- Więc jak to się stało?

- Tygrys mnie ugryzł - zdradza.

- E, nieprawda. We Francji nie ma tygrysów - Margot krzywi się.

- Są tygrysy we Francji? - pytam Claude'a.

- Ten uciekł z zoo - odpowiada.

- Ojej! - wołamy obie naraz.

- Ugryzł mnie też w nogę. Miałem szczęście, że w ogóle uszedłem z życiem.

- Co racja, to racja - przyznaje Margot. - Trzeba zawsze uważać na tygrysy. I na lwy też.

- I na niedźwiedzie - dodaję. - No i węże.

- Doskonałe rady - wyraża uznanie Claude.

Chcę mu opowiedzieć o kilku groźnych zwierzętach, ale moje słowa zmieniają się w długie, szerokie ziewnięcie. Zwijam się w kłębek na beli siana, przytulając się do Merlina. Przez okna wlewa się słońce, rozświetlając moje myśli i rozgrzewając do snu. Wzlatuję jak na skrzydłach do własnej głowy, by pobrykać z myślami.

Kiedy się budzę, jeszcze jeden ręcznik leży na mnie jak koc. Merlin jest nadal przy mnie, tylko że teraz leży na podło-

dze, chrapiąc jak niedźwiedź. Margot znalazła kawałek cienkiego sznurka, którego próbuje używać jak skakania. Jest zupełnie sucha.

Claude trzyma w ręce szmatkę i stoi przy *armoire*, szafie, polerując wielki nóż w kształcie banana. Jego palce rysują na ostrzu maleńkie kółeczka. Wydaje się bardzo skupiony i ciągle trze to samo miejsce, jakby była tam uparta plama. Ale nóż aż lśni czystością. Promyk słońca wkrada się przez okiennicę i lśni na krawędzi ostrza. Lato wróciło, kiedy spałam.

- Już nie śpię - oznajmiam.

Merlin budzi się i wydaje przyjazne szczeknięcie.

- Sześćdziesiąt sześć, sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem - mówi Margot. Liczy nawet, kiedy skacze.

Claude podnosi na mnie wzrok.

- Dobrze ci się spało?

Kiwam głową, czując się dziwnie nieśmiało.

- Do czego to? - pytam.

Claude przekłada nóż do drugiej ręki i przecina nim pylisty promień słońca.

- Służy do karczowania dżungli podczas tropienia słoni - wyjaśnia.

- Aha - mówię.

- Gdybym ja była słoniem - odzywa się Margot - to nigdy byś mnie nie złapał. Jestem dla ciebie za szybka.

- A gdybym ja była tygrysem - odparowuję - to bym cię nie ugryzła.

- Nie? - pyta Claude.

- Chyba nie.

Claude uśmiecha się krzywo i mówi:

- Posłuchajcie, chcę wam coś opowiedzieć. - Odwiesza nóż na gwóźdź i chowa szmatkę do szuflady. Potem podchodzi do beli siana i zajmuje miejsce obok mnie. Ma wilgotne ubranie i pachnie kąpielą. Margot przychodzi i siada na podłodze u jego stóp, obok Merlina. Lubimy opowieści.

- Pewnego razu - zaczyna Claude - był sobie mały chłopiec imieniem Gaston, który uwielbiał przeżywać przygody. Któregoś dnia udał się na wzgórze, gdzie zastała go burza z piorunami. Z całym mnóstwem grzmotów i błyskawic.

- Zupełnie jak u nas dzisiaj! - mówię.

- I co się stało? - niecierpliwi się Margot.

- A jak myślicie? - pyta Claude. Kręcimy głowami i wzruszamy ramionami.

- Cóż, po pierwsze, chłopiec bardzo się bał, więc schronił się przed burzą pod rozłożystym dębem. Jednak nagle, stojąc pod osłoną gałęzi, przypomniał sobie, co kiedyś powiedział mu tata - Claude zawiesza głos.

- A co mu powiedział? - ponaglam.

- Tata uczył go tak: „Gastonie, jeśli kiedykolwiek złapie cię burza, to nigdy, przenigdy nie chowaj się pod drzewem”. - Claude patrzy wprost na mnie. - Nigdy, przenigdy - powtarza dobitnie.

- Dlaczego nie? - pytamy z Margot jednym głosem.

- Bo pioruny szukają najwyższych punktów, by w nie uderzyć
- wyjaśnia.

Zastanawiam się, co pioruny mają przeciwko wysokim elementom, ale Claude już ciągnie dalej.

- Tak więc Gaston zebrał całą śmiałość, czyli odwagę, wybiegł spod dębu i pognał wśród grzmotów, błyskawic i ulewy. Kiedy dotarł do domu, był przemoknięty do suchej nitki, ale bezpieczny.

- Głupia opowieść - wyrywa się Margot.

Kopię ją w kostkę i uciszam groźnym spojrzeniem. Czasem odzywa się bardzo niegrzecznie, nawet do dorosłych. Wstaje i naburmuszona idzie do rowerów.

- To jeszcze nie koniec - mówi Claude. - Wiecie, co znalazł nasz bohater, kiedy następnego dnia poszedł na wzgórze?

- Nie - odpowiadam, kręcąc głową.

- Odkrył, że rozłożysty dąb został trafiony przez piorun i z drzewa nie zostało nic, poza małym, zwęglonym pniakiem. Jeszcze się dymił.

Układam buzię w zdziwiony dzióbek, choć tak naprawdę nie jestem zdziwiona. To historyjka w stylu takich, które dorośli opowiadają dzieciom, żeby zagmatwać coś, co można by powiedzieć wprost, i to o wiele szybciej.

- To prawdziwa historia? - pytam.

- Oczywiście - potwierdza Claude. - Płynie z niej nauka, że powinnaś zawsze mądrze o sobie dbać. Obiecujesz, że będziesz uważać?

Brzmi jak Tatuś i czuję, jak melodia jego słów szarpie mnie za serce.

- Dobrze. Będę ostrożna.

- Cóż, Pea, burza minęła. Lepiej idźcie do domu, mama będzie się martwić.

Zdejmuje z gwoźdźca bananowy nóż, a potem otwiera skrzypiące drzwi stodoły, pozwalając, by znalazł nas znów ciepły dzień.

- Panie przodem - rzuca i przepuszcza mnie.

Świat na zewnątrz jest słodki i trawiasty. Chmury odpłynęły daleko, niebo nad nami jest błękitne, a ogród wokół kolorowy. Pomiedzy stodołą a domem rosną rzędy pomidorów, groszku i żółte cukinie wsparte na tyczkach. Jest też kwadrat ziemi upstrzony jaskrawozielonymi główkami sałaty i różowych rzodkiewek o kłapciatych liściach. Nie przepadam za rzodkiewką, bo piecze mnie w język, ale z wyglądu to jedne z najładniejszych warzyw.

- Możemy obejrzyć ogród? - pytam.

- Czemu by nie? - odpowiada Claude. - Chodźcie za mną, tylko trzymajcie się ścieżki.

Idziemy powoli między grządkami. Sukienka lepi mi się do nóg, a stopy grzęzną w mokrej ziemi. Po drodze Claude wyrywa czubkami palców drobne chwasty i ściąga robaczki z pomidorów tą ręką, która nie trzyma bananowego noża. Pozwala biedronce wmaszerować mu na palec, a potem przekazuje ją mnie. Biedroneczka używa jego paznokcia jako mostu pomiędzy naszymi dłońmi.

- Mogę ja? - pyta Margot, podchodząc bliżej. Zaczyna liczyć kropki. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć. - Łatwizna - mówi.

Odwracam się do niej. Margot obserwuje, jak biedronka wspina mi się po ramieniu, gdzie moje malutkie włoski są dla niej jak las.

- To moja przyjaciółka - przedstawiają Claude. - Zjada złe robaki.

- Jest piękna - mówię.

- Takie właśnie nosi imię - zdradza Claude. - *Belle la coccinelle*, Cudeczka-biedroneczka - dodaje z uśmiechem.

- Rymuje się! - wołam.

- Odłóż ją, jak już się nią nacieszysz - prosi Claude.
-Potrzebuję jej, żeby strzegła moich roślin.

Pozwalam więc biedronce zejść z mojego palca na pomidorową łodygę. Zagłębiamy się w ogród. Jednak spacerowanie robi się dość nudne, więc razem z Margot biegniemy naprzód. Jesteśmy naprawdę szybkie, jak lamparty pośród traw. Po chwili zatrzymujemy się przy kępie oleandrów rosnących wokół kwadratowego murku.

- Oleandry są ładne - mówi Margot. - Ale tak naprawdę są bardzo niebezpieczne i mogą zatruć człowieka na śmierć.

- Wiem - mówię.

- Więc ani się waż ich dotykać!

- A samym zapachem też można się zatruć? Margot wzrusza ramionami.

- Pewnie tak, jak bardzo się nawąchasz.

Znajdujemy szczelinę w krzakach, bo nie chcemy dotykać liści ani kwiatów, i próbujemy przeprowadzić dochodzenie. Murek jest za wysoki, żebyśmy za niego zajrzały, nawet jak stajemy na palcach, ale udaje mi się podciągnąć, tak, że zwisam nogami w dół, a w połowie przewieszam się do środka, patrząc przez krawędź. Nie pachnie najlepiej. W środku jest pełno czarnozielonej wody i bzyczy chmara komarów. Margot jest niższa ode mnie, więc nie może się podciągnąć i zobaczyć.

- Dalej - mówię. - Podskocz. Tu w środku jest basenik. Ale nie chciałabym w nim pływać.

- Jaki basenik? - dopytuje Margot, wciąż próbując wleźć na murek i kopiąc stopami, jednak bez skutku. - Coś jak wodopój dla słoni?

- Uważaj na palce u nóg - ostrzegam. Nagle...

- Nie! - ryczy Claude, a od mocy jego głosu puszczam murek i chwiję się niebezpiecznie. Schodzę z kamieni na ziemię, staję w mokrej trawie i patrzę na niego. Zbliża się szybkim krokiem. Jedną rękę wyciąga w naszą stronę, a w drugiej wciąż dzierży ten bananowy nóż, lśniący ostrością. Swędzi mnie kość. Drapię się w skórę, która ją zakrywa, patrząc, jak czerwone kreski od paznokci robią się białe, a potem znów ciemnoczerwone. Odwracam wzrok. Nos Merlina zjawia się przy moich stopach.

- To. Jest. Niebezpieczne. - Claude sapie mi prosto w twarz. - Kuca przy mnie i krople jego śliny lądują mi na buzi.

Nie lubię, jak ktoś na mnie krzyczy. Marszczę brwi i patrzę na niego z całej siły, tak, żeby nie popłynęły łzy.

- Masz tu w ogrodzie jakieś słonie? - pyta Margot. Twarz Claude a jest wielką, brzydką śliwką.

- Nie podchodź tu więcej - burczy swoim gromowym głosem.
- Możesz się utopić.

- Przepraszam - szepczę. - To stąd piją słonie?

- Słonie? - Claude najwyraźniej nie rozumie.

- Te, na które polujesz. Bananowym nożem.

- Aha. - Claude oddycha głęboko. - Nie, nie mieszkają tu słonie. Ani tygrysy. Jednak zdarza się, że latem mój ogród przypomina dżunglę, więc maczeta bardzo się przydaje.

Claude drapie skaleczenie na nodze i chwilę milczy.

- Przepraszam, że na ciebie krzyknąłem. A teraz, zanim znów wpadniecie w jakieś tarapaty, zmykajcie do domu. Jeśli pójdziecie w górę tą ścieżką, zaprowadzi was do miejsca, w którym was wcześniej znalazłem, tam, gdzie wasze drzewo jeszcze stoi, albo już nie...

Margot zaczyna podskakiwać i dokładnie wiem, co świta jej w głowie.

- Nie, Margot - mówię. - Nie możemy iść sprawdzić.

- Hm. - Zakłada ręce na piersi.

- Jeśli wybierzecie tę ścieżkę - objaśnia dalej Claude, wskazując na dywan pleciony z trawy, nagietków i róż - dojdziecie do drogi, a stamtąd do łąki. Z kolei jeśli pójdziecie tędy - wyciąga palec ku wysokiemu żywopłotowi za studnią - po drugiej stronie znajdziecie kanał nawad-

niający, który, jak sędzę, bez trudu przeskoczycie, a za nim rozciąga się już sad waszego taty. Tędy będzie najszybciej.

- Te krzaki chyba kłują.

- Tu, proszę. - Claude pokazuje nam idealną szczelinę, dokładnie w rozmiarze dziewczynki. - No, dalej - ponagla.

- Do widzenia! - wołamy obie, po czym dajemy susa przez strumyk i ze śmiechem biegniemy przez sad.

Stół w kuchni jest czysty, wszystko zostało uprzątnięte, umyte, wytarte.

- Zapomniałam o naszym wyzwaniu, co? - mruczę. Mamunia na pewno będzie zła. Zostanę ukarana za bałagan.

- Może pójdziemy się bawić do siebie? - proponuje Margot.

- Chyba wolę od razu dostać burę i mieć to z głowy - mówię.

- To poszukajmy jej. Zgadnij, gdzie może być? - Margot szczyrzy zęby w uśmiechu.

Podnoszę rękę.

- Ja! Ja wiem!

- Tak, Piwonio?

- W swojej sypialni! - odpowiadam.

- Nieźle zgadujesz. - Margot kiwa głową z uznaniem.

-Chodźmy sprawdzić.

Na górę wchodzimy po cichutku, na wypadek gdyby Mama spała. Drzwi do jej pokoju są uchylone, więc popycham je lekko i zaglądam do środka. W sypialni panu-

je półmrok, tylko strużka światła wpada przez szczelinę w żaluzjach. W blasku fruwią wróżki.

Mamunia położyła się do łóżka w sukience. Leży na boku, twarzą do mnie. Śpi twardo i jest taka piękna jak królowa. Myślę o Tatusiu. Mówił do niej „królowo mego serca”, co brzmi jak piosenka, a mnie czasem nazywali Księżniczką. Patrząc na śpiącą Mamunię, zastanawiam się, czy to prawda. To mógłby być nasz zamek na wzgórzu, cały ze złota i srebra, górujący nad naszym królestwem, z dala od wszystkich. Królowie, królowe i księżniczki nie muszą rozmawiać ze zwyczajnymi ludźmi, tylko z wrózkami i gadającymi kotami.

- Jesteś królową? - pytam szeptem.

- Czy to twoja wieża? - dołącza do mnie Margot.

- Czy zła wiedźma rzuciła na ciebie urok? - dopytuje ciekawie.

Mamunia nie odpowiada, tylko pochrapuje. Wiatrak dmucha na nią, robiąc drobne falki na jej żółtej sukience. Wiatrak jest brązowy, ale ma trzy obracające się skrzydła, zupełnie jak białe turbiny wiatrowe. Wyobrażam sobie, jak wspaniale byłoby zapaść w sen, patrząc jak się kręca, kręca, kręca.

Dzwoni telefon. Jeden dzwonek. Drugi. Zastanawiam się, czy powinnam odebrać. Mamunia nie będzie zadowolona. Więc może nie odbierać (wtedy się zbudzi i nie będzie zadowolona)?

- Odbierz telefon - mówi Margot. - Od tego dzwonienia boli mnie głowa.

- Sama odbierz! - odparowuję. Ale zaraz biegnę szybko i podnoszę słuchawkę.

- Halo?

- Cześć - słyszę głos Mami Lafont. - Jest mama?

Robię do Margot minę na okropne jedzenie, a ona odpowiada taką samą. Staram się nie chichotać. Mami Lafont to moja babcia. Mieszka po drugiej stronie wioski z *Tante*, ciocią, Brigitte. Zanim Tatuś umarł, to jego prosiła do telefonu, kiedy dzwoniła. Teraz niby prosi Mamunię, ale to zwykle ja odbieram. Mami Lafont nie jest zbyt przyjazna i nie lubi pogaduszek. Ma chude, kościste dłonie, zupełnie jak czarownica. W dodatku prawie zawsze są zimne, nawet w lecie. Niespecjalnie lubi dzieci. Kiedy odwiedzałyśmy ją z Tatusiem, nigdy nie miała w domu żadnych dobrych ciastek i nie było się tam czym bawić. Nie cieszę się, że Tata nie żyje, ale dobrze, że już nie musimy chodzić do babci.

Tatuś opowiadał mi, że kiedy był mały, razem z *Tante* Brigitte, Mami Lafont i Papi Lafont, który umarł dawno temu, mieszkali tu, w naszym domu. Wtedy Papi jeździł traktorem i Tatuś mu pomagał. Ale to było całe wieki temu, w dawnych, dobrych czasach. Ciekawe, czy Mami Lafont była wtedy miłsza i czy Papi nazywał ją królową swojego serca. Może też umarł jej dzidzius, a może wszystkie mamusie pewnego dnia zaczynają się złościć.

- Dzień dobry, Mami Lafont - mówię. - Mamunia teraz śpi.

- To kto się tobą zajmuje? - pyta Mami Lafont.
- Margot tu jest - odpowiadam.
- Co takiego? - Mami Lafont brzmi, jakby była zła.
- Wszystko w porządku - zapewniam.
- W porządku? A czy twoja matka może do mnie zadzwonić?
Przekaż jej, że to pilne. Że ja nie odejdę.

Zastanawiam się przez chwilę, bo to dość pogmatwane. Dokąd miałyby odejść Mami Lafont i dlaczego zdecydowała się tego nie robić? Może chce jechać na wakacje? Spytałem później Margot.

- Słucham? - mówię.
- Powiedz jej po prostu, żeby do mnie oddzwoniła -prosi babcia.

Wyobrażam sobie, jak mówię to Mamuni. Wyobrażam sobie jej minę. Gorsza niż moja i Margot.

- Spróbuję - obiecuję.
- Dobrze - odpowiada. - Do widzenia.

A potem dodaje, zmieniając ton głosu na bardziej śpiewny i łagodny:

- Jadłaś lunch?
- Mami Lafont - oburzam się. - Dziś był dzień targowy. Kupiliśmy oliwki, ser i pieczywo i...

- Dobrze, już dobrze - przerywa mi. - Wystarczy. Przesyłam jej buziaka przez telefon, ale zdążyła się już rozłączyć.

U szczytu schodów pojawia się Mama. Wygląda na niewyspaną i zmęczoną.

- Kto dzwonił? - pyta.
- Mami Lafont - informuję. - Chciała, żebyś...
- Piwonio, gdzieś ty była? - Głos Mamy brzmi jak szczekanie psa. Patrzy groźnie na moją sukienkę. Sama też spoglądam w dół i widzę, że choć Margot wyskakała sobie suchość ubrania, to moje jest nadal mokre.

Margot uśmiecha się i pokazuje mi język.

- Złapała nas burza - tłumaczę Mamie. - Ale wszystko dobrze, szybko z niej uciekłyśmy. I nie chowałyśmy się pod drzewami, i nie poraził nas piorun. Przepraszam za narobienie bałaganu i nieposprzątanie po sobie. Mami Lafont prosi, żebyś do niej zadzwoniła, a czy ja mogę iść się przebrać?

Kiedy milknę, zapada długa cisza. Potem Mamunia wzdycha.

- Włóż od razu piżamę - mówi. - Już i tak prawie czas do łóżka. Zrobię nam jakąś kolację.

Kiedy idę na dół, widzę, że Mamunia rozłożyła piknik - nie w kuchni, ale w salonie, na stoliku do kawy. Jest zielona sałata, kielbaski na zimno, chrupki i biały ser, a Mama włączyła do oglądania film dla dorosłych. Będzie oglądać, aż zacznie płakać, a potem jeszcze trochę, aż złączą jej się powieki. Ja nie będę rozumiała, o co chodzi, więc nie będę płakać. Zamiast tego będę kątem oka obserwować Mamę i liczyć jej piegi. Margot będzie siedziała w kąciku, udając, że czyta książkę. Zna bajki na pamięć, jeszcze z czasów, kiedy Mamunia i Tatuś nam czytali. Ale tak na-

prawdę nie umie składać liter. Rozróżnia tylko kilka słów, takich jak „piwonia”, „lait”, czyli mleko, i „stop”.

Mamunia zajmuje miejsce na kanapie, wyklada stopy na taboret, a talerz kładzie na brzuchu jak kapelusz. Siadam przy niej. Między naszymi ciepłarni zostaje malusieńka przerwa chłodu. Czuję, jakby nie znaczyło to nic. I znaczyło wszystko.

Rozdział 6

Budzę się z krzykiem, bo wydawało mi się, że ktoś nagle włączył światło. Ale w moim pokoju panuje ciemna noc. Musiało mi się przyśnić. Zakopuję się z powrotem pod kołdrę, kiedy nagle straszne „łup!” trzęsie moimi drzwiami. Boję się ciemności i boję się piorunów, więc pioruny nocą są podwójnie straszne. Ulewa wali o dach. Staram się myśleć o deszczu. Brzmi jak brawa, jakby chmury zrobiły coś bardzo sprytnego. A może ktoś oklaskuje mnie i Margot po jednym z naszych przedstawień. Może to jaskółki włożyły buciki i tańczą na naszym dachu. Widzę je w maleńkich, błękitnych chodaczkach, jak stepują na dachówkach i mimowolnie się uśmiecham. Chowam się pod kołdrę i próbuję z powrotem zasnąć, ale kiedy tylko zapadam w sen, zaraz mam koszmary. Jestem na Wietrznym Wzgórzu pod drzewem. Trzymam się mocno pnia i nagle piorun sięga z nieba rozczapierzoną, białą dłonią szkieletom, żeby potrząsnąć drzewem. Staram się utrzymać, ale ręce ześlizgują mi się z kory. Zjawia się burzowa wiedźma z twarzą Claude a i wrzeszczy na mnie w mroku, ale kiedy biorę go za rękę, okazuje się, że trzymam białą, wiedźmowatą dłoń i coś unosi mnie wysoko w huragano-

we niebo. Wyrywam się z jej uścisku i wreszcie mnie wypuszcza, ale wtedy spadam z burzowych chmur. Budzę się, zanim zdążę się przekonać, jaki będzie dalszy ciąg. Bardzo mnie to cieszy i postanawiam przez jakiś czas nie spać. Drapię się w rękę i słucham deszczu, czekając, aż się wypada. Ilekroć błyskawica przecina niebo, podrywam się lekko, ale potem liczę, jak nauczył mnie Tatuś, aż rozbrzmi grzmot. „Jeden (hipopotam), dwa (hipopotam), trzy (hipopotam)”... Nie wystarczy powiedzieć „hipo”, bo nie wyjdzie. Im więcej hipopotamów pomiędzy błyskawicą a grzmotem, tym lepiej.

Chce mi się siusiu, a to niedobrze. Jeśli mam iść do toalety, muszę wyjąć stopy z łóżka i postawić je na ciemnej podłodze, jeśli jeszcze tam jest. A jeśli jej nie ma, to gdzieś spadnę. Staram się o tym nie myśleć. Nawet jeśli podłoga nadal jest na swoim miejscu, to i tak nie wiem, co jest pod łóżkiem. O tym też próbuję nie myśleć, ale od niemyślenia o tym myślę o tym jeszcze bardziej.

Postanawiam opracować plan. Jeśli uda mi się dotrzeć do korytarza, zobaczę światło, które zawsze zostaje dla mnie zapalone. To dobrze, ale dom będzie pusty i cichy, z wyjątkiem skrzypienia i trzasków. Podłoga w przedpokoju jest drewniana i cała się rusza, kiedy się po niej idzie. Tuż przed moim pokojem, po drugiej stronie ściany, tej samej, przy której stoi moje łóżko, jest takie skrzypiące miejsce. Kiedy Mamunia idzie w nocy do łazienki, słyszę skrzypienie i czekam na odgłos spuszczonej wody. Zawsze troszkę się boję,

zanim usłyszę spuszczenie, zanim się przekonam, że pod moimi drzwiami nie czają się żadne potwory.

Leżę w łóżku z nogami splecionymi w węzeł, z rękami wciśniętymi ciasno pomiędzy nie, powstrzymując siusiu, wsłuchując się w kapanie za oknem i wspominając czasy, kiedy wszystko było miłsze. Mamunia była moją najlepszą przyjaciółką. Kiedyś to lubiła. Trzymała mnie zawsze za rękę, chyba że akurat dłonie miałam zajęte ugniataniem ciasta albo sadzeniem kwiatków. Nazywała mnie *Sweet Pea*, Groszkiem Pachnącym, który jest kwiatem, a nie warzywem. Co wieczór szykowała mi prysznic, mydliła mi plecy i myła włosy. Potem czytała mi bajkę i tuliła do snu, zasypując całusami. Po chwili wracała, żeby jeszcze raz mnie utulić. Podchodziła na paluszkach do mojego łóżka, całowała mnie w czoło i mówiła, że jestem piękna. Kiedy wychodziła, szeptała zawsze: „Kocham cię”. Każdej nocy, nawet jeśli nie spałam, udawałam, że śpię. Teraz żałuję, że nie odwzajemniałam całusa i nie odpowiadałam: „Ja też cię kocham”. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz dostałam od Mamy buziaka, bo nie wiedziałam, że muszę zapisać to w pamięci.

Już dłużej nie mogę wytrzymać, a nie udało mi się zebrać na odwagę, jak Gastonowi, więc siusiu wymyka się ciepłym strumieniem po nogach. Mamunia się wścieknie. Teraz pociekły i łzy. Ciepła woda wylewa się ze mnie wszędzie i mokrość zaczyna wypełniać łóżko, jakby było dziurawą łódką.

- Margot! - szepczę. Nie odpowiada. - Margot!

Ani drgnie. Pewnie będzie mi dokuczać, jeśli zbudzę ją tylko dlatego, że boję się ciemności, albo dlatego, że zmoczyłam łóżko, ponieważ boję się ciemności. Margot niczego się nie lęka. Więc czekam tak, w gorącej czerni pokoju, wstrzymując oddech. Okno jest uchylone i w chwilach, gdy nie oddycham, słyszę rrrrechot żab i ćwierrkanie świerszczy. Na zewnątrz musi siedzieć ponad sto żab i co najmniej tyle świerszczy. Potem słyszę szum powietrza - wdech i wydech - bo już nie mogę go dłużej wstrzymać. Nasłuchuję tak, aż kałuża w mojej pościeli robi się zimna, a brudna piżama przykleja mi się do nóg.

Głos Margot rozlega się miękko w mroku.

- Pea? Wszystko w porządku?

- Muszę siusiu - informuję ją.

- To idź do kibelka.

- Czy podłoga jest na swoim miejscu? - pytam. - Mogłabyś sprawdzić?

- Oczywiście, że jest - mówi Margot.

- Tak na wszelki wypadek?

Margot cmoka z niezadowoleniem, ale widzę, jak jej sylwetka porusza się i nogi się wysuwają, aż staje cała przy łóżku. Nie wpadła w dół, do kuchni.

- Proszę bardzo - mówi.

- Dziękuję - odszeptuję. Rozglądam się znów ostrożnie po pokoju. Oddycham głęboko, a potem wyskakuję spod kołdry najszybciej, jak potrafię, pędzę do drzwi i wypadam

na korytarz. Dyszę, ale wszystko w porządku. Korytarz wygląda dziwnie, jest mały i cichy, jakby także był pogrążony we śnie. W łazience zdejmuję piżamę i wrzucam ją do kosza na brudną bieliznę. Myję nogi flanelową szmatką i suszę je.

U Mamuni w pokoju też jest ciemno. Nie zamykam drzwi, bo chcę widzieć podłogę. Mama położyła się na kołdrze i zapomniała zdjąć majtki. Leży plecami do mnie, a wiatrak dmucha na nią, rozwiewając wokół jej głowy kilka długich włosów. Okno jest otwarte na oścież i wpadają przez nie te same dźwięki co u mnie. Podchodzę bliżej. Śpi zwinięta jak kotka w swoim koszyku. Pod brzuchem ułożyła dzidziusiowi cały stos poduszek.

Wsuwam się do łóżka najdelikatniej, jak się da i przytulam się do jej pleców. Staram się nie zbudzić Mamuni, ale mi się nie udaje. Odwraca głowę, by na mnie spojrzeć, a potem siada, fukając, aż wreszcie kładzie się z powrotem, twarzą do mnie. Jej duży brzuch leży pomiędzy nami, a twarz jest zbyt daleko. Układa poduszki z powrotem pod dzidziusiem i naciąga kołdrę na nas obie.

- Pea - szepcze sennie.

- Kocham cię, Mamuniu - odpowiadam.

Łapie mnie za rękę i ściska, nawet trochę za mocno. Trzęsie się, jakby się śmiała, i jeszcze bardziej zgniata mi dłoń.

Przytulam się do jej brzuchowych poduszek, kolanami dotykając kolan Mamuni, z twarzą blisko jej piersi. Kiedy byłam dzidziusiem, piłam z nich mleko, ale już tego nie

pamiętam. Czuję zapach mydła na skórze Mamy i staram się nie zasnąć, ale jestem tak bardzo zmęczona, a ona jest ciepła i miękka.

Śpię i mam sen, a może nie śpię albo już prawie się zbudziłam, ale mam wciąż zamknięte oczy, kiedy nagle coś uderza mnie mocno w klatkę piersiową. Przez chwilę nie jestem pewna, gdzie się znajduję, ale zaraz przypominam sobie, że tulę się do brzucha Mamuni. Zastanawiam się, czy może mi się to przyśniło, ale sytuacja nagle się powtarza, aż podskakuję. To dzidzius mnie kopie. Chce, żebym zostawiła go w spokoju. W końcu tak naprawdę nie przytulam maminego brzucha, tylko przemądrzałe dziecko w środku. Nie mięciutkie, tylko twarde. Nie przyjazne, nie zabawne.

- Nie jesteś zbyt miły - karzę dzidziusia szeptem. Nie odpowiada.

- To nieładnie kopać ludzi - pouczam go.

Dzidziusiowy brzuch znów sprzedaje mi kopniaka.

Nie mam ochoty znosić ciągłego kopania, ale dłoń Mamuni leży na moim ramieniu i jeśli będzie trzeba, to zostanę tu, pozwalając się kopać, całutką noc. Kiedyś to ja mieszkałam sobie w środku niej, bezpiecznie zwinięta w kłębuszek, grzejąc się od jej skóry, tyle, że od wewnątrz. Przez długi czas. Gdziekolwiek szła, brała mnie ze sobą. Wydaje mi się, że musiało mi się to ogromnie podobać i choć tak naprawdę tego nie pamiętam, to jestem przekonana, że nie kopałam Mamuni wnętrzości tak jak ten bobas.

- To wszystko przez ciebie - mówię. - Twoja wina.

Patrzę w górę, na wiatrak, i próbuję poczuć, jak miło dmucha, ale kręci się za szybko i rozmywa się w mroku. Mamunia wierci się i znów odwraca. Musi usiąść, żeby się obrócić. Nic nie mówi, tylko puszcza moje ramię, siada, kładzie się. Pupa pcha moje kolana. Potem wydaje jęk i znów próbuje się ułożyć. Łóżko kołysze się i skrzypi. Te manewry to chyba ciężka praca. Brzuch Mamy zdaje się ważyć więcej niż torba z zakupami.

- Pea - odzywa się Mamunia z szeroko otwartymi oczami. - Wracaj do siebie, proszę. Nie mogę się wygodnie ułożyć, kiedy tu jesteś.

- Przesunę się na skraj łóżka - proponuję. Na zewnątrz z dachu skapują ostatnie krople deszczu.

Kręci głową.

- Pea, jest mi za gorąco, nie mogę oddychać. Dzidzius nie daje mi spokoju, jestem wykończona. Proszę, idź do swojego pokoju.

Jeszcze raz oddycham w jej skórę i powoli wyłażę z łóżka.

Zostawiam otwarte drzwi do mojego pokoju, żeby wpadało troszkę światła, i przekładam poduszkę z mokrego końca łóżka na drugi. Jeśli nie będę leżała prosto, tylko zwinę się jak Mamunia, to zmieszczę się cała na suchej części.

Nadal jest za ciemno, w pokoju i we mnie. Zanim zdążę się powstrzymać, już walczę z buzią. Przyciskam dłoń do ust. Z całych sił zaciskam powieki i pociągam nosem, żeby łyzy tamtędy nie uciekły.

- Hej, Pea - szepcze Margot. - Co się dzieje?
- Nic - mówię.
- Jak to nic, skoro płaczesz.
- Po prostu mam trochę dość - odpowiadam.
- Hm - mówi Margot. - W tym domu jest już dość nabzdyczonych ludzi, nawet nie licząc ciebie.
- Nie jestem nabzdyczona - bronię się. - Po prostu nie lubię ciemności.

Znów pociągam nosem, ale pociąganie już mnie denerwuje, więc pozwalam łzom popłynąć z oczu. Nadal próbuję nie płakać buzią.

- Ciemności? - śmieje się Margot. - Pea, przecież wcale nie jest ciemno. Jest przepiękna noc.

- O czym ty mówisz? - denerwuję się. - Wracaj spać.

Ale ona nie wraca. Margot siada na łóżku, krzyżując nogi i biorąc się pod boki. Moje oczy przyzwyczajają się do mroku i widzę, że Margot uśmiecha się jak Kot z Cheshire z „Alicji w Krainie Czarów”.

- Wiem coś, czego ty nie wiesz - chwali się.

- Wcale nie - mówię. - To niemożliwe.

- A właśnie, że tak. Wyjrzyj przez okno, Pea. Jest tęcza.

- Tęcza? Margot, jest środek nocy.

- Tak, tak - przytakuje. - Ale popatrz na zewnątrz, nie widzisz nocnej tęczy?

Już nie czuję strachu przed podłogą. Podchodzę na paluszkach do otwartego okna i wyglądam przez na wpół

otwarte żaluzje. Gruby, pełny księżyc rzuca białe kręgi w poburzonym powietrzu. Czarne niebo lśni świeżością, jakby ktoś porządnie je wypłukał i wyszorował gwiazdy do czysta.

- Widzisz jaka cudna? - pyta Margot. - Piękniejsza nawet niż dzienna. Nocą kolory są bardziej błyszczące.

Stoję, wypatruję jej i nagle - tak, jest. , wyginająca się łukiem nad stodołą. Siedem kolorów mieniących się na tle czarnego nieba.

- Mogę ją zatrzymać? - pytam. A Margot odpowiada:

- Jest twoja.

Rozdział 7

Dziś będziemy biegać wszędzie - zapowiada Margot, stając przy mnie w otwartym oknie. Miałam nadzieję, że nie zniknie, ale niestety już jej nie ma. Nad stodołą maluje się tylko błękit nieba.

- Czego się spodziewałaś? - pyta Margot. - Przecież mamy dzień.

Powietrze jest świeższe. Nadal panuje upał, ale przyjemny, jakby burza wrzuciła lepkie lato do pralki, porządnie wypłukała, a potem wywiesiła, by wyschło. Rzeczywiście dzień wydaje się w sam raz do biegania.

- Powinnaś włożyć zieloną sukienkę - mówię - żeby pasowała do mojej. Moja sukienka jest radosna i ma z przodu kieszonki. Naszyto na nią żółte stokrotki, które wyglądają, jakby wyrastały z kieszeni.

- Mam dobry pomysł na śniadanie - oznajmia Margot. - Jaki?

- Coś zielonego i lepkiego - zdradza, wydymając policzki i wybałuszając na mnie oczy.

- Fúj! - mówię, choć tak naprawdę znam odpowiedź.

- Nie zapomnij mopa! - woła Margot.

Pędzimy po schodach na dół, wypadamy z domu i okrążamy stodołę, dobiegając do drzewek owocowych. Zatrzymuję się przy kurniku, bo kury łążą sobie powoli w kółko w cieniu, wyciągając skrzydła i gdacząc z zadowoleniem. Zdają się tańczyć.

Biorę garść łądyg szaławii i zatykam je z tyłu za majtki.

- Jestem kurą! - wołam. - Patrz na mnie!

Margot chichocze, kiedy wystawiam łokcie i wykonuję kurzy taniec. To najśmieszniejsze, co kiedykolwiek widziała. Śmieje się i nie może przestać. Im bardziej się pokłada, tym zabawniejsze robię figury. Kręcę pupą tak, że trzęsą się wszystkie pióra.

- Tak naprawdę - Margot nagle poważnieje - te kurczaki nie wyglądają na zbyt szczęśliwe.

Faktycznie, ich taniec nie jest tak radosny jak mój. W zasadzie jest dość smutny.

- Sprawdźmy, czy nie ma jajek? - proponuje Margot.

Zastanawiam się przez chwilę. Nie wolno nam wchodzić do kurnika bez Mamuni, ale może ostatnio zapomniała o kurach.

- Dobrze - zgadzam się. - Chodźmy.

Ptaki budzą się, kiedy wchodzimy im do domku. Tłoczą się u moich stóp. Myślą, że przyniosłam im więcej jedzenia. Jajek nie ma. Kury nie mają też ani kropli wody do picia.

- Musimy przejąć opiekę nad kurami - stwierdzam.

- Tak. Możemy się z nimi podzielić śniadaniem - mówi Margot.

Zrywanie fig z drzewa za pomocą mopa to ciężka praca. Udaje mi się zdobyć zaledwie trzy, a już czuję się zmęczona, zła i gotowa, by się poddać. Siadamy, by podzielić się łupem pod miodową słodyczą drzewka, którego liście rzucają palczaste cienie na nasze gołe nogi. Figi są zielone i mają dość grubą skórkę, więc wyjadamy różowe, pestkowe wnętrza i zachowujemy łupki dla kur.

Kiedy nakarmiłyśmy kury i nalałyśmy wody, sprawiając im tym wiele radości, biegniemy przez górne pastwisko. Wydeptujemy ścieżkę w wysokiej trawie, w górę i hen, na Wietrzne Wzgórze.

- Jestem pewna - mówi Margot, zupełnie niezdyszana - że wielkie drzewo będzie spalone przez piorun.

- Nie wydaje mi się - odpowiadam wątpiaco.

Ale kiedy podchodzimy bliżej, jestem zawiedziona, że jodła nadal stoi na swoim miejscu. Byłoby ekscytujące pomyśleć, że Claude uratował nam życie, a drzewo usmażyła na skwarek błyskawica.

- Może jest choć trochę zwęglone - mówi Margot. -Trzeba będzie się przyjrzeć.

Chodzimy wokół pnia, dokonując inspekcji kory.

- Nie jest ani trochę osmalona - stwierdzam.

- Rzeczywiście - przyznaje Margot. - Temu drzewu się udało.

Ale patrz na to!

Margot wskazuje na korę jodły. Nie zwróciłam na nią uwagi podczas burzy, ale faktycznie, jest nadzwyczajna - odchodzi strupami wielkości dłoni. Każdy płat wyglą-

da jak skorupa żółwia, jest błyszczący i są na nim kółka, a w nich kolejne kółka. W szczelinach mrowią się setki czarno-czerwonych *gendarmes*, żandarmów.

- To policjanci - mówi Margot. - Też przyszli prowadzić dochodzenie!

- Dużo ich - zauważam. Ale pewnie tylu ich trzeba, bo są tacy mali. Obserwuję, jak biegają w pośpiechu. - Śmieszne, że policjanci dostali nazwę od owadów.

- Ciekawe, dlaczego ludzcy żandarmi nie noszą mundurów we właściwych kolorach?

- Nie mam pojęcia - kręcę głową. - Czerwony jest o wiele ładniejszy od niebieskiego.

- Właśnie - przytakuje Margot. - Kto by pomyślał, że dorośli nie dostrzegają tak prostych rzeczy.

- Dorośli zauważają mniej niż my - mówię.

- Podejrzewam, że doszło do napadu na bank - oznajmia Margot.

- Bank dla owadów - podchwytuję, ale wcale się nie śmieję. *Gendarmes* są ciekawi, ale drzewo już mi się znudziło. Chcę popatrzeć na turbiny wiatrowe.

Skrzydła wiatraków obracają się powoli. Nie kręcą się równo, w ogóle nie są zgrane. Odliczam do mojej ulubionej turbiny. Najbardziej lubię numer pięć, bo to moja liczba, tyle mam lat. Wiatrak Margot ma numer cztery, tuż obok mojego. Wybieram jedno skrzydło i wlepiam w nie wzrok. Kiedy wskazuje prosto w górę, biorę wdech, a kiedy wykona pełny obrót, wydycham powietrze. Czekam z kolejnym wdechem,

aż znów sięgnie w górę i tak bawię się przez jakiś czas. Chcę mi się spać, gdy tak stoję, wpatrzona w turbinę, myśląc o oddychaniu, słuchając jak powietrze wpada i wypada przez nos.

A potem zaczynam się zastanawiać, co by było, gdybym w tej chwili przestała oddychać. Czy wiatrak przestałby się obracać? Więc kiedy skrzydło ponownie wskazuje dwunastą, nie wydycham powietrza, tylko zatrzymuję je w płucach. Z początku nic się nie dzieje, ale po chwili czuję palenie w gardle i mam wrażenie, że coś pcha mnie w buzi, jakby uwięziony we mnie mrok próbował wydostać się na zewnątrz. Nie podoba mi się to, więc szybko wypuszczam powietrze. Przez jakiś czas oddycham w rytm turbiny, ale potem postanawiam spróbować w drugą stronę, więc wydycham całe powietrze i staram się nie łykać nowego. Niemal natychmiast czuję w środku wrzenie, w głowie mi dudni i mrowieje twarz.

- Hej! - woła Margot. Kręcę tylko głową.

- Pea! - naciska. - Zapomniałaś oddychać!

Jeszcze mocniej potrząsam głową, a ona bardzo stanowczo kiwa swoją. Ja kręcę, ona kiwa, ja kręcę, ona kiwa... Aż wreszcie usta otwierają mi się same i zasysają powietrze. Uważam, że to bardzo dziwne, że w ogóle nie myślimy o tym, by oddychać i że nie możemy rozpocząć i przerwać oddychania, tak jak innych czynności. Zastanawiam się, jak ludzie potrafią wstrzymać oddech na śmierć, skoro to takie trudne.

W przestrzeni między mną a turbinami Margot zaczyna robić gwiazdy.

- Chodź! - woła. To bardzo dobre ćwiczenie, w dodatku naprawdę robi wrażenie.

- Robi wrażenie - chwalebę. Dołączam do niej. Ziemia wrzyna mi się w ręce, ale obrót do góry nogami wynagradza wgniecenia w dłoniach. Jesteśmy skrzydłami aniołów, kręcącymi się w koło na szczycie własnego wzgórza. Kiedy wreszcie się zatrzymujemy, jesteśmy zasapane i uśmiechnięte. Siadam i kieruję wzrok na *etangs*, stawy. Słońce maluje białe plamy na błękitnej wodzie.

- Myślisz, że już zawsze będzie się chowała? - pytam Margot.

- Może tak, może nie - odpowiada. Przekrzywia głowę na jedną stronę, co na ogół zapowiada, że zaraz powie coś ciekawego.

- Według mnie - mówi - to zależy od dzidziusia. Podnoszę z ziemi patyk i zaczynam pisać w piasku

moje imię. Rysuję duże „P” i przerywam.

- P jak paw - mówi Margot.

- Nie - poprawiam ją. - P jak ja, tylko nie jestem pewna która.

- E - odpowiada Margot.

Piszę „E”, drapiąc w kamienistej ziemi, żeby końcówki były prościutkie. Potem wypada dorysować „A”. Następnie piszę „Margot”, a potem rysuję pająka z zygzakowatymi zębami.

- Bobas będzie mały - rozważam. - Nie wydaje mi się, żeby był nam w stanie wiele pomóc.

- Nie. Ale może dzidzius ma radość Mamuni - zastanawia się Margot. - Może szczęście wcale nie zostało w szpitalu, tylko kryje się w jej brzuchu?

- A może kiedy maluch się urodzi, znowu przyjdzie moja kolej bycia z Mamunią?

- Być może - mówi Margot. - A może nie.

- Wiesz, czego naprawdę nam potrzeba? - pytam.

- Taty - odpowiada bez namysłu.

Wciąż nie wiem, skąd go wytrzasnąć. Tę kwestię trzeba przetrwać, więc spoglądam znów na anioły i w myślach pytam ich, czy coś nam podpowiedzą.

Margot staje tuż przede mną.

- Chcesz *bonbon*, cukierka? - proponuje.

- O, tak - proszę.

Margot wsypuje mi na dłoń garść fioletowych nasionek. Żuję je. Są trochę żylaste, ale bardzo smaczne. Żując, grzebię jeszcze w ziemi patykiem. Gleba z wierzchu ma kolor piasku, ale pod spodem jest ruda jak Merlin. Jest też ciepła jak on, ale nie taka ruchliwa. Chętnie bym go teraz zobaczyła. Claude a też.

- Margot - mówię. - Pójdziemy do Claude a sprawdzić, czy nie chciałby wyjść się pobawić?

- Przecież to dorosły, Pea - odpowiada.

- Tatuś też był dorosły, a lubił się z nami bawić.

- No, tak, ale Tatuś był tatą. Jak ktoś nie jest tatą, to już nie to samo. Nie interesuje się tak bardzo dziećmi, lubi

rozmawiać z innymi dorosłymi i poznawać panie. A nie dziewczynki. Przynajmniej na ogół tak jest.

- Mam dość ogółów - mówię. - Poza tym Claude się interesuje.

- Tak czy inaczej, nie możemy iść do niego do domu - upiera się Margot. - Takie są zasady.

- Jakie zasady? - pytam.

- Zasady przez duże Z! - odpowiada Margot.

- Przypomnisz mi? - pytam. Margot staje na baczność.

- Oto Zasady - mówi.

Nie chodź sama na dolną łąkę. Nie oblizuj palców przed włożeniem ich do słoja z oliwkami.

Chłopcy ubierają się na brązowo, szaro i niebiesko, a dziewczynki mają nosić śliczne kolory.

Nie pyta się dorosłych, czy wyjdą się pobawić. Rób tylko to, co cieszy Mamunię.

- Ciekawe, czy już wstała - mówię. Wypluwam lawendę, bo drapie mnie w buzi, i z powrotem wlepiam wzrok w turbinę.

- Mogę się założyć, że Sylvie przywiozła już bagietkę - mówi Margot.

Milczę.

- Pewnie jest ciepłutka i chrupiąca z wierzchu, a miękka i okruszkowa w środku.

Uśmiecham się lekko. Czas na drugie śniadanie.

Siedzimy przy skrzynce na listy - znów dwie bagietki - z brzuszkami pełnymi pieczywa, wsłuchując się w ciszę domu. Maleńki samolocik zostawia na niebie ślad jak z waty. Staram się sobie wyobrazić pasażerów, z walizkami i okularami przeciwsłonecznymi. Może właśnie tu przylatują i w przyszłym tygodniu spotkamy ich na targu. A może odlatują, z czerwonymi nosami i tęsknotą za domem.

- Chodź - mówi Margot. - Pokażę ci fajną zabawę.

- Tutaj?

- Nie, w sadzie. No, chodź! - pospiesza. - Dziś mamy dzień na bieganie, więc dalej, biegiem!

Obiegamy dom słoneczną stroną i wpadamy do sadu. Margot jest bardzo szybka i nie mogę za nią nadążyć.

- Bu! - Margot wyskakuje na mnie zza drzewa.

- Bu! - odkrzykuję, tak po prostu.

- Dobrze - poważnieje Margot. - Zabawa jest bardzo skomplikowana, więc słuchaj uważnie.

- Jestem zbyt zajęta na skomplikowane gry - odpowiadam. - Pobawimy się później.

- Nie wygłupiaj się - mówi Margot. - Słuchaj. Najpierw układasz wszystko do góry nogami, o, tak.

Gnie się wpół, kładąc ręce na ziemi, patrzy w tył i do góry pomiędzy kolanami.

- A potem - ciągnie - ścigamy się jak kraby. Spróbuj! Pochyliam się i wciskam oczy między kolana. Na tle nieba, pośród zielonych łoż liści, czerwienią się kule brzoskwiń. Coś jest nie tak z owocami i nie chodzi o to,

że są do góry nogami. Są na nich cienie i czarne kropki. Prostuję się, żeby im się przyjrzeć.

W brzoskwiniach jest mnóstwo dziur, jakby ktoś do nich strzelał. Grube szeregi mrówek maszerują w górę i w dół po drzewie, włączając na owoce. Kradną nasze zbiory, jeden mrówczy kęs po drugim.

- Pea, musisz się skupić - poucza Margot. - Ścigamy się!

Przyjmuję więc z powrotem pozycję kraba i biegniemy niezgrabnie pośród drzew, aż kręci nam się w głowach i depczemy trochę mrówek.

Szur-szur-szur-szur po alejce, zbliża się do nas szurgot opon. Przy naszym torze wyścigowym zatrzymuje się biała furgonetka i wysiada z niej pan, który skupuje brzoskwinie. Nie ma koszuli ani kapelusza. Ma za to brązową skórę i owłosione sutki. Ma też pasek w spodniach.

To pan od brzoskwiń. Co kilka dni przyjeżdża do nas po owoce. W zeszłym roku, w upalne popołudnia, zbierali je razem z Tatusiem, obaj goli od pasa w górę. Potem siadali w cieniu i pili *pastis*, które nie nadaje się dla małych dziewczynek, a Mamunia przynosiła im oliwki. Teraz pan od brzoskwiń podchodzi tylko do drzwi i daje nam pieniądze, a potem zabiera owoce i je sprzedaje. Mama każe mi otwierać drzwi, bo nie ma ochoty, żeby ktoś jej przeszkadzał.

Pan od brzoskwiń nie gasi nawet silnika i zostawia otwarte drzwi oraz włączone radio, ale nie słyhać żadnej muzyki do tańca, tylko ludzi gadających o jakichś nudach. Pan odwiązuje z dachu drabinkę i idzie do sadu.

Podążamy za nim, nadal jako kraby, i przyglądamy mu się spomiędzy nóg. Jego głowa dryfuje po błękitnie nieba jak szara chmura.

- Dzień dobry - witam się grzecznie.

- Jak się pan ma? - pyta Margot.

Pan od brzoskwiń nie od razu odpowiada, zajęty zrywaniem owoców. Zwykle wybiera dojrzałe brzoskwinie i układa je ostrożnie w drewnianych skrzynkach. Dziś zbiera te podziurawione, czyli większość, i wrzuca je byle jak do skrzynek. - Wszystko zniszczone - burczy.

- Co się stało brzoskwiniom? - pytam.

- Grad im się stał - odpowiada.

- Wszystkie są do niczego? - dopytuję.

Margot przygląda mu się do góry nogami i otwiera oczy tak szeroko, że widać dużo białego. Chichoczę.

- Gdzie masz mamę? - zwraca się do mnie pan od brzoskwiń.

- Nie wiem - mówię. - Możemy przyjść obejrzeć pana świnię?

- Z mamą?

- Nie, tylko ja i Margot.

- To nie - rzuca. - Powiedz mamie, żeby cię kiedyś przyprowadziła. Powiedz jej, że będzie mile widziana. Amaury chciałby, żeby ktoś miał na nią oko.

Uśmiecha się dziwnie.

- Już go nie lubię - odzywa się Margot. Ja też nie.

- Chodź - mówi Margot. Wstajemy i odbiegamy bez „do widzenia”.

- Dlaczego pan od brzoskwiń chciałby mieć oko na Mamunię?
- pytam.

- Mamunia jest dorosła - odpowiada Margot. - Nie bądź niemądra.

- Myślisz, że Mama poszłaby ze mną obejrzyć świnki? - zastanawiam się.

- Pea, nie zadawaj głupich pytań. Mamy ciekawsze sprawy na głowie.

- Na przykład jakie?

Kiedy dochodzimy do alejki, rozmawiający w radiu ludzie przypominają mi, że samochód jest otwarty.

- Może przejedziemy się gdzieś jego autem? - wpada na pomysł Margot.

Rozważam to. Są dobre powody, żeby to zrobić, na przykład, że będzie świetna zabawa. Ale istnieją równie dobre powody, żeby tego nie robić - nie znam drogi na plażę, poza tym Mamunia byłaby wściekła. Ale w tej chwili jestem zła na Mamę, że nie chce zabrać nas do świnek i pan od brzoskwiń też mnie rozgniewał.

- Tak na niby - namawia z uśmiechem Margot. Wspinamy się do furgonetki. Metal parzy mi palce,

a skórzany fotel pali mnie trochę w nogi. Nawet kluczyki, podzwaniające pod kierownicą, są rozgrzane do czerwoności.

- Au, au! - wołam.

Próbuję zapiąć pas, ale i on parzy. Zajmuję miejsce przy kierownicy i dwóch drążkach, Margot jest pasażerką. Nie sięgam stopami do pedałów, ale niewiele mi brakuje.

- Chciałabym pojechać do restauracji - wydaje polecenie Margot.

- Oczywiście, Madame - odpowiadam. - Do której?

- Do takiej, gdzie serwują kotleciki jagnięce, frytki i lody. I lemoniadę.

Tam więc jedziemy, aż wreszcie w restauracji robi się za gorąco, jesteśmy całe spocone i musimy poszukać chłodu.

Idziemy za dom. Mamy plan, żeby po drodze do drzwi kuchennych wziąć do środka to, co zostało z bagietek. Bierzemy pieczywo, ale zanim docieramy na podwórko, dobiegają nas krzyki.

Wrota stodoły są otwarte na oścież. Mamunia stoi w progu ze skrzynką brzoskwiń. Ciska nimi w kogoś, kto jest w środku, kogo nie widzę, ale głównie trafia w traktor. Strzałki na jego wielkich, czarnych oponach wskazują w dół w błotnistą ciapę rozgniecionych owoców. Mamunia wrzeszczy i płacze, jakby była jednocześnie wściekła, przerażona i smutna - wszystko naraz. Niczym mała dziewczynka, nie dorosła kobieta.

- Mamunia nie najlepiej rzuca. Całe szczęście, że nie jestem traktorem. - Margot uśmiecha się do mnie, jakby cała ta sytuacja - Mamunia i te brzoskwinie - była zabawna. Ale ja się nie śmieję.

Nie mówię nic. Upuściłam bagietki i drapię się po ręce. Paznokcie zostawiają na brązowej skórze białe ślady, potem różowe paski, a wreszcie pojawia się krew. Ale swędzenie nie znika. Swędzi od środka. Bardziej niż kiedykolwiek. Mama czasem krzyczy, ale nigdy nie widziałam, żeby była aż tak wściekła. Ssę krew, wgrzynam się w zadrapania. Może żuciem powstrzymam swędzenie.

- Pea, nie rób tak - mówi Margot, po czym bierze mnie za rękę i dodaje uspokajająco: - Nie przeszkadza mi krew.

- Niech cię cholera! Niech cię szlag! - wrzeszczy Ma-munia. Ma kawałki brzoskwiń we włosach i osy latają wokół jej głowy. Stoi w szerokim rozkroku, a jej cień rozciąga się przez całe podwórko. Wygląda przez to jak czarownica. Czekamy na skraju podwórka, tam, gdzie bruk zmienia się w ziemię. Nie ma nic innego, na co mogłybyśmy patrzeć. Wyglądam spod grzywki. Trzymamy się mocno za ręce i wlepiamy wzrok w scenę.

- Raz - zaczyna odliczać Margot - dwa, trzy... Mamunia schyla się do skrzynki i porywa kolejne

garście pobitych gradem brzoskwiń. Z czarnych dziur dalej wylewają się mrówki. Ciska kolejny owoc, z całych sił. Latające mrówki, latająca brzoskwinia, ale nawet nie widzę, gdzie ląduje, bo gdy tylko Mamunia wypuszcza ją z ręki, woła „Och!” i upuszcza pozostałe owoce, łapiąc się za brzuch. Zgina się wpół i wszystko się kończy.

- Och, ooo - jęczy. Nie rusza się. Po chwili, bardzo niezgrabnie, zaczyna kłaść się w pyle przed stodołą. Wy-

gląda jak wielbłąd, który właśnie się kładzie. Takie ciężkie padnięcie bokiem w kurz. Osy bzyczą nad brzoskwiniami i razem z Margot ruszamy biegiem.

- Przepraszam, przepraszam - powtarza Mama. -Oooch. - I znowu: - Przepraszam, przepraszam, proszę, nie...

- Mamuniu, nic ci nie jest? - krzyczę z daleka, jeszcze zanim do niej dobiegam, żeby wiedziała, że jestem. Nie mogę się powstrzymać. Wygląda na to, że jest ranna, a może uządliła ją osa i mogłabym przynieść coś przydatnego. Ale Mama leży, cała zwinięta wokół brzucha, dysząc ciężko.

- Nie! - sapie.

- Mamuniu, to ja.

- Już dobrze, Pea. Już...

Ale nie wygląda to dobrze. Wygląda tak, jakby Mamuni stała się krzywda, może ktoś ją postrzelił, a może rzucił na nią zły urok. Osy kłębią się wkoło nas, kiedy tak siedzimy na złanej brzoskwinowym soku ziemi.

- Ktoś cię postrzelił? - pytam.

- Nie - mówi Mama. - To dziecko.

- Kopnęło cię? Gorzej niż zwykle?

Ale Mamunia nie wdaje się w rozmowę. Klęczy, podpierając się rękami, jak kiedyś, kiedy chodziła z nami szukać kwiatów i piór. Wygina grzbiet jak kot z wielkim brzuchem i zaciska powieki.

- Łooooo, auuuu - jęczy.

Margot i ja patrzymy po sobie. Mamunia ostatnio często dziwnie się zachowuje, ale teraz jest naraz wielbłądem, kotem i wilkiem. Oraz wściekłym miotaczem brzoskwiń. Nagle przypominam sobie, żeby się bać tego, co czai się w stodole z traktorem. Zaglądam przez otwarte z rozmachem wrota, ale wewnątrz panuje cisza. Szkoda, że nie ma tu Claude'a.

- Kto tam jest? - szepczę.

- Lepiej wyłaź, albo wpakujemy w ciebie resztę brzoskwiń! - krzyczy Margot. - A rzucamy o wiele lepiej niż Mamunia!

Nadal nic się nie porusza.

- W chowanego też jesteśmy lepsze od ciebie! - dodaje Margot. Wysoko unosi podbródek. Naprawdę jest zbyt pewna siebie, żeby czegokolwiek się bać.

- Kto siedzi w stodole, Mamuniu? - pytam. - Postrzelił cię?

- Nie wygłupiaj się - gani mnie Margot. - Kiedy ludzie do siebie strzelają, pistolet robi wielkie „bang”, o tak: „BANG!”. - Wskazuje na mnie palcem i udaje, że strzela.

Ma rację - to niemożliwe, żeby ktoś wystrzelił.

- I nie mów, że myślisz, że jakaś wiedźma rzuciła na nią czar, bo czarownice NIE ISTNIEJĄ - mówi, robiąc minę w stylu „Kiedy wreszcie przyjmiesz to do wiadomości?” Zarozumiała smarkula.

Jęki ustały. Mamunia oddycha w ten swój specjalny sposób: ha-huu, ha-huu, ha-huu. Otwiera oczy i rozgląda się wokoło z grymasem na twarzy, jakby nie wiedziała, gdzie się znalazła.

- Stodoła jest pusta - mówi między sapaniami.

- To na kogo krzyczałaś? - pytam.

Jej twarz tężeje i natychmiast wiem, że nie należało tego mówić. Drapię się w przedramię i patrzę, gdzie są brzoskwinie. W razie, gdyby zaczęła ciskać nimi we mnie, dam radę uciec, a ona mnie nie dogoni, bo jest za gruba i zbyt pełna bobasa.

- Na nikogo - mówi Mamunia. - Tylko na traktor. Margot i ja patrzymy na traktor. Jest bardzo brzoskwinowy.

- Traktory nie mają uszu - zauważa Margot. - Nie usłyszałyby cię.

- Już dobrze - mówi Mamunia. - Chodźmy do środka. Jakby na komendę, wokół stodoły zrywa się wiatr, który

wpada nam we włosy i wywiewa gorące słońce. Przypomina mi się historia, którą opowiadał mi Tatuś, o tym, jak słońce i wiatr założyły się, kto zdejmie wędrowcowi kurtkę. My nie mamy kurtek. Nasze sukienki się marszczą, kiedy czekamy, aż Mamunia podniesie się z ziemi. Martwię się, że może nie dać sobie rady, ale jej się udaje. Opiera się o mnie, ale jestem mała, a ona zbyt ciężka. Kładzie dłoń na moim zakrwawionym przedramieniu i cofa ją jak oparzona.

- Co ci się stało?

- Nic, ja...

- Nie wygląda jak nic - mówi, prostując się wreszcie, trzymając się jedną ręką za plecy, a drugą wykręcając moje ramię, by przyjrzeć się ranie.

- To boli! - wołam. Mama patrzy na moje krwawiące zadrapania.

- Tygrys ją dopadł! - woła Margot.

- Swędziało mnie - mówię. - Przepraszam.

- Swędziało?

Znów marszczy brwi. Dawniej, kiedy jeszcze byliśmy wszyscy szczęśliwi, zauważyłam zmarszczki, które Mamunia ma w kącikach oczu. Chciałam się dowiedzieć, co to takiego i dlaczego ja takich nie mam. Mama wyjaśniła, że za każdym razem, kiedy ktoś się uśmiecha, odrobina uśmiechu zostaje na buzi. Kiedy więc człowiek się starzeje, na jego twarzy zaczyna być widać wszystkie ułamki uśmiechów, przez co cały czas wygląda się na uśmiechniętego, nawet jeśli myśli tylko o tym, co zjeść na śniadanie. Powiedziała też wtedy, że jeśli ktoś często się marszczy, to grymas też zostaje na twarzy. Wtedy na starość ma się wiecznie skwaszoną minę i sprawia się wrażenie zdenerwowanego, a ludzie takiej osoby się boją. Jest taka jedna pani, którą spotykamy czasem na zakupach. Z początku myślałam, że to wiedźma, bo jest brzydka i ma zawsze naburmuszoną minę. Mamunia powiedziała jednak, że to raczej nie Baba Jaga, tylko kobieta, która w młodości dużo się krzywiła, więc teraz, nawet kiedy myśli „Co za śliczna dziewczynka”, jej mina woła: „Szpetna! Szpetna!”

- Mamuniu - odzywam się. - Nie rób takiej kwaśnej miny. Chcę, żebyś została piękna nawet, jak będziesz starsza, nie tak, jak ta wiecznie skrzywiona pani w sklepie.

Mama wzdycha ciężko. Puszczając moje ramię i przez sukienkę masuje sobie brzuch. Kołysze się w przód i w tył, palce - pięty, palce - pięty.

- Przykro mi, że cię swędziało - mówi. - Przepraszam, że cię wystraszyłam. Ale staraj się więcej nie drapać. Proszę.

Przenosi ręce z powrotem na plecy.

- Muszę chwilę posiedzieć - oznajmia. - Wejdziemy do środka?

Nogi Mamuni nie są dość mocne. Trzęsą się jak galareta, kiedy razem wracamy do domu. Trzyma moją dłoń naprawdę mocno i idziemy pomalutku. Aż się wzdrygam, kiedy zniemacka zza stodoły słycać kaszlnięcie, a potem dobiega nas cichy odgłos nierównych, oddalających się kroków. Uśmiecham się i ściskam rękę Mamuni, żeby wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy byliśmy na zewnątrz, skóra zaczynała mnie palić i kręciło mi się w głowie. Chłód w kuchni od razu wszystko koi. Mrugam kilka razy, żeby odgonić białe plamki, migające przed oczami, przyzwyczajającymi się do półmroku. Mamunia zapala światło, puszczając moją dłoń. Uścisk był tak mocny, że nadal czuję dotyk jej palców.

- Masz ochotę się czegoś napić? - pytam ją.

- Nie trzeba - odpowiada. Odwraca się do nas plecami i zaczyna pomalutku wchodzić po schodach, a jej nogi drżą przy każdym kroku.

- Chyba zapomniała sobie włożyć do środka szkieletu - mówi Margot.

- Idę się położyć - szepcze Mama.
 - Jesteś cała lepka - zauważam.
- Obraca się i wbija we mnie mroczne spojrzenie.
- Może prysznic pomógłby ci poczuć się lepiej? - sugeruję nieśmiało.
 - Ach... tak, rzeczywiście - przyznaje. Margot posyła mi uśmiech.
 - W samą porę - mówi.
 - Pea - mówi jeszcze Mamunia. -Tak?
 - Nie wychodź. Zostań przez chwilę w domu.
 - Dobrze, Mamuniu - odpowiadam.
 - Tylko dopóki nie zasnę - prosi.
 - I co teraz będziemy robić? - pytam, kiedy Mama jest już na górze i słychać szum prysznic.
 - Ha! - Margot patrzy na mnie roziskrzonym spojrzeniem. - Mam wspaniały pomysł.

Rozdział 8

Nasz dom jest duży z dołu do góry, z lewej do prawej, od przodu do tyłu. Ma mnóstwo pomieszczeń, nawet nie licząc stodoły, i każde inaczej pachnie. Wchodząc od podwórka, trafia się do kuchni. Tutaj dzieje się najwięcej i czuć tu zapach naszej rodziny. Przy drzwiach stoją wyjściowe buty Tatusia. Czasami, kiedy Mamunia śpi, zakładam je i chodzę po kuchni, udając Tatę. Potem moje stopy pachną jak Tatuś, więc zawsze wtedy siadam i wącham palce u nóg. Tata ma też wysokie buty do pracy na traktorze. Są schowane na górze w pudełku smutków u Mamy w sypialni. Niby nie powinnam o tym wiedzieć, ale wiem.

Z kuchni można przejść do salonu - tu rozsiadamy się w miękkich siedziskach, są też moje zabawki i stoi telewizor. Można też skręcić na schody, które prowadzą do naszych sypialni i łazienek. Sypialnia Mamuni pachnie Mamunią. Zapach Tatusia był jedną z pierwszych rzeczy, które zniknęły razem z nim.

Mój pokój jest pomalowany na żółto i nie ma zapachu, dopóki nie otworzę okien. Wtedy pachnie zewnątrz. Nie wiem, czym pachnie w pokoju dziadziusia, bo jest zamknięty na głucho, żeby nie wypuścić wspomnień.

Z kuchni, która tak naprawdę ma wiele drzwi, można jeszcze przejść do spiżarni, która jest pomalowana na biało i nie ma w oknach szyb, tylko drucianą siatkę. W spiżarni unosi się zapach sera. Kolejne drzwi prowadzą do letnich pokoi. Trzeba zejść po kilku schodkach. Pomieszczenia są dość mroczne i pachną zepsutymi owocami. Jest w nich chłodniej niż w sypialniach na górze, co jest niedobre w zimie, ale korzystne latem. Wszystkie nasze rzeczy znajdują się jednak w sypialniach na piętrze, więc i tak zawsze śpimy tam, niezależnie od pory roku. Czasem zaglądam do letnich pokoi, tak sobie, żeby sprawdzić, czy nic się w nich nie zmieniło. Wszystko jest zawsze takie samo.

Następne drzwi prowadzą z kuchni do pralni. Nosi nazwę *buanderie* i pachnie w niej płatkami mydłanymi. Można tędy wejść do dolnej toalety, która nie jest specjalnie zajmująca, poza tym, że uchwyt na papier toaletowy ma kształt żaby o szeroko otwartym pyszczku, a kafelki na ścianach ozdobione są fiołkami. W toalecie znajdują się jeszcze jedne drzwi, zawsze zamknięte. Pod spodem są brązowe, ale nałożono na nie nową warstwę farby, która łuszczy się i odpada lśniącymi płatkami jak liście szaławii. Klamka jest stara i jakby trochę tłusta. Wiem, że to zejście do piwnicy, ale dzieciom wstęp wzbroniony. Tak czy inaczej, nie sięgam do zamka.

Różne rzeczy znikają w czeluściach piwnicy i przez długi czas ich nie widzimy. Potem wracają, żeby nas zasko-

czyć. Gdy przychodziło Boże Narodzenie, Tatuś wnosił stamtąd bombki i inne ozdoby choinkowe, a także stajenkę ze żłobkiem i barankami. W czasach, kiedy Mamunia i Tatuś byli szczęśliwi, przynosili też nocą na górę butelki wina, zakurzone i pachnące jak niemyte włosy. Tata starannie je wycierał, a potem wyciągał korek, plok! Siadali obok siebie przy kuchennym stole, popijając z kieliszków i zaplatając stopy, kiedy myśleli, że nie patrzą. Pewnego dnia po śmierci dziadziusia wszystko z jego pokoju zniknęło i trafiło do paszczy piwnicy.

Słońce stoi wysoko nad podwórkiem i praży z całych sił. Mamunia śpi albo próbuje zasnąć w swoim pokoju. Zmyła z siebie cały sok brzoskwiniowy i nie wydaje żadnych zwierzęcych odgłosów. Dziś nie będzie lunchu, więc nalewam sobie mleka. Jest wspaniałe, bo gasi zarówno pragnienie, jak i głód, a poza tym jestem w stanie dosięgnąć go w lodówce. Potem idę do toalety.

Margot już tam jest. Opiera się o kafelki z fiołkami i uśmiecha się od ucha do ucha.

- Mój świetny pomysł właśnie się uświetnił - oznajmia, podczas gdy ja robię siusiu.

- Co wymyśliłaś? - Ale w zasadzie nie muszę pytać, bo sama widzę.

- Widzisz? *Génial!* - mówi. - Idziemy? Kiwam głową. - *Génial!* - szepczę.

Drzwi są podparte tekturowym pudełkiem. Światło nie zostało zgaszone i naszym oczom ukazują się kręte meta-

lowe schody, wijące się w dół jak jeden z długich loków Mamuni, zanurzające się w stęchłym, podziemnym zapachu. Margot schodzi pierwsza, ja idę za nią. Zapominam spuścić wody.

Schody brzęczą pod naszymi stopami. Staram się iść bardziej miękko, na kocich łapach, ale i tak słysząc dźwięk każdego kroku. Margot nudzi ta ostrożność, więc pędzi naprzód. Szybko schodzi na dół, w ogóle nie zwracając uwagi na to, jak stawia nogi. Im bardziej zagłębiamy się w piwnicy, tym powietrze robi się zimniejsze i bardziej słone. Chłód przyjemnie nas zaskakuje. Nie wiedziałam, że w połowie sierpnia można gdziekolwiek znaleźć taką rześkość.

Piwnica jest ogromna i bardzo w niej cicho. Nie ma tu żadnych okien, z zewnątrz nie dochodzi najmniejszy dźwięk. Nie słysząc ptaków, świerszczy, zupełnie nic. Są za to pajęczyny i zakamarki. Pod szarymi i nieprzyjaznymi ścianami stoją wysokie stosy pudeł i równe rzędy wielkich czarnych worków.

- Otworzymy któreś? - pyta Margot. Ale ja już czuję, że serce wali mi w piersi, jakby ktoś dudnił pięścią w drzwi.

Patrzę w górę. Nad moją głową musi znajdować się toaleta, kuchnia, spiżarnia, salon, wszystko. A jeśli to wszystko się zawali?

- Nic się nie zawali - mówi Margot.

Przechodzę na paluszkach za róg i piwnica znów wygląda inaczej. Leżą tu dwie gigantyczne drewniane beczki.

Z przodu mają otwory na tyle duże, żeby można się było wczołgać do środka.

- Wleżę, jak ty wleziesz - zapewnia Margot.

- Przez te pajęczyny? - krzywię się. - Ble.

Szare pajęczyny zwisają jak zasłony z sufitu na beczki i dalej na betonową podłogę. Okropnie tu śmierdzi.

Margot grzebie w stosie pudełek po butach. Na niektórych są napisy, których nie umiem odczytać, ale na jednym z nich, na samym wierzchu, widnieje słowo „STARE”. Pudełko łatwo otworzyć, nie zostało zaklejone taśmą. Jest wypełnione do połowy, a w środku znajdują się starannie ułożone zdjęcia. Z samej góry spogląda na mnie dzidzius, leżący w żółtym koszu na bieliznę. Nie śpi, patrzy prosto na mnie. Ma na sobie małą żółtą sukieneczkę - tak krótką, że nie zakrywa nawet pieluszki. Tłuściutkie dzidziusiowe nóżki wystają spod niej jak pulchne nożyczki. Bobas ma na głowie kępkę pomarańczowych włosów, sterczących w różne strony, zielone oczy z drobinami niebieskiego i brązowego jak w kalejdoskopie. Jak Mamunia.

Przez chwilę trzymam fotografię w ręce, a potem odkładam ją na bok i przeglądam pozostałe. Jest sporo zdjęć dzieci i takich, na których Mamunia jest sama i wygląda na szczęśliwą. Na jednej fotografii Mama stoi nad jeziorem pod ciemnymi chmurami, deszcz siecze z boku, a wiatr szarpie jej włosy w tę samą stronę, w którą rzuca krople. Kilka loków przykleiło jej się do twarzy. Jej włosy to jedy-

na kolorowa rzecz na zdjęciu. Mama jest ubrana w wielki czarny płaszcz i wygląda na złą.

Od ostatniej fotografii coś ściska mnie w gardle, bo jest taka przeraźliwie samotna. Mamunia stoi na szczycie wzgórza, którego nie rozpoznaję. Obok jest ławka, a w tle widać kilka domów o czarnych ścianach i szarych dachach. Jest też fabryka, wypuszczająca dym z dwóch wysokich kominów, a na wzgórzu słup wysokiego napięcia, z wielkim kołem na czubku. W błotnistej trawie u stóp Mamuni przechadza się kilka szpaków. Twarz Mamy jest blada i szczupła, ale policzki ma bardzo czerwone od wiatru. Trzyma dziecko, zawinięte ciepło i przytulone do piersi tak, że widać tylko jego plecki i serdelkowe nóżki. Podejrzewam, że to rudowłosy dzidzius z pierwszego zdjęcia, tylko w zimie. Mamunia odwraca wzrok, zacięcie wbijając go w domy, fabrykę i dym.

Przez długi czas wpatruję się w zdjęcie, starając się je rozgryźć.

- Daj popatrzeć - mówi Margot, zaglądając mi przez ramię. - To Mamunia. Ciekawe, co to za dziecko.

- Właśnie. Podobne do którejś z nas?

- Nie, do żadnej - ocenia Margot. - Może to dzidzius kogoś innego.

- Gdzie ona stoi?

- Chyba nigdzie w naszej okolicy. Może jest na wakacjach.

- A to duże z kółkiem?

- Nie wiem, co to takiego.

Na chwilę milkniemy, żeby móc pomyśleć. Nie możemy zadać Mamuni żadnego z tych pytań, bo dowiedziałyby się, że zeszliśmy do piwnicy, gdzie dzieciom wstęp wzbroniony. Poza tym zdaję sobie sprawę, że drzwi, których nie potrafimy same otworzyć, trzymają się tylko na jednym pudełku i nikt nie wie, że tu jesteśmy. Piwnica nagle wydaje się przerażająca i mroczna od tajemnic.

- Lepiej posprzątajmy - mówię. Ale nie odkładam samotnej fotografii na miejsce. Cieszę się, że wybrałam rano moją radosną, zieloną sukienkę. Wkładam zdjęcie za jedną ze stokrotek. Może będzie mu troszkę różnie.

Mimo że im wyżej po schodach, tym goręcej, to robi się też bardziej rześko i kolorowo. Wychodzimy z domu i zanurzamy się z powrotem w jaskrawym upale. Gorąc odbija się od płyt podwórza i leje się z nieba. Sprawia, że włosy drażnią mnie w kark. Zeszłego lata Mamunia zaplatała mi warkocze, zanim założyłam kapelusz. Sama nie umiem się tak uczesać, choć próbuję upchnąć włosy pod kapelusz, to gorące kosmyki i tak się wymykają, łaskoczą, dokuczają. Ciepło mi w szyję i swędzi. Musimy jak najszybciej schować się w cieniu.

- Znudziło mi się to bieganie - marudzi Margot. -Może polecimy dziś na łąkę?

- O, tak! - zgadzam się.

Podnoszę bagietki, które wcześniej upuściłam, wyciągamy ręce jak samoloty i fruniemy w dół ścieżki najszybciej

jak się da. Przejście przez drogę jest kleiste i nasze sandały mają podeszwy czarne od lepkości asfaltu. Potem pokonujemy furtkę i lecimy na zgrzanych nogach do wody.

Nad strumykiem spotykamy Claude'a. Rzuca Merlinowi patyk aż na drugą stronę, a pies pędzi, by go złapać. Kiedy z chlupotem przebiega potok, moczy sobie boki, co chyba sprawia mu przyjemność. Kiedy zwierzak przynosi panu rzucony wcześniej przedmiot, Claude kuca i uśmiecha się do przyjaciela, drapiąc go za uszami. Gdy się zbliżamy, pies podnosi łeb i węszy w powietrzu, choć jesteśmy jeszcze całkiem daleko. Wyczuwa nas. Rozszczekuje się na powitanie. Claude też podnosi głowę i dostrzega nas.

- Biegiem! - woła. - Dalej, biegiem!

Śmiejemy się i zaczynamy biec polem w dół, a Merlin pędzi na powitanie, cały mokry i merdający. Kiedy docieramy do Claude'a, jesteśmy zasapane, ale bardzo szczęśliwe i trudno nam się zatrzymać. Widzi, że zaraz się z nim zderzymy i upuszcza papierosa, wyciągając rozłożone dłonie. Wpadam prosto w nie i jego palce zaciskają się wokół moich ramion. Jest roześmiany, aż marszczą mu się oczy i ta jego brzydka twarz. Z kącika ust sączy się jeszcze dym. Szorstkość jego palców na mojej skórze przypomina mi Tatusia. Prostuję się z uczuciem, jakby zalała mnie wielka fala, splukując ze mnie całą radość i wciągając ją z powrotem do morza. Claude chyba to zauważył, bo rozluźnia uścisk i wstrzymuje oddech. Merlin uderza mnie ogonem po nogach.

- Jak się dziś miewa Pea? - pyta Claude.
 - Dobrze - odpowiadam.
 - A Margot?
 - Margot też się ma dobrze - mówię, bo to moja rozmowa. - A ty jak się masz?
 - *Impeccably* wyśmienicie - oznajmia Claude. Obracam słowo na języku, jest dla mnie nowe. *Wy-śmie-ni-cie*. Cudnie.
 - Spójrz, co znalazłem - mówi, wskazując na trawę. Spośród zieleni wyglądają małe, brązowe grzybki.
 - Da się je zjeść? - pytamy z Margot jednocześnie. Grzyby są pyszne. Można by zrobić kanapki.
 - Nie. - Claude kręci głową. - Nie wolno jeść niczego, co tu rośnie.
 - Ale ja lubię grzyby - upiera się Margot.
 - Naprawdę lubię grzyby - mówię. - I jestem głodna.
 - Znowu! - prycha Margot.
 - Ciągle jestem głodna.
 - Cóż - mówi Claude - może jesienią wybierzemy się razem i nazbieramy mnóstwo grzybów, ale najpierw zaniesiemy je do apteki, żeby sprawdzić, które są jadalne.
 - A ty nie wiesz?
 - Wiem i nie wiem - mówi Claude.
 - Co to ma niby znaczyć? - pyta Margot.
 - O, proszę, przyjrzyjcie się temu.
- Claude trzyma w ręce mokry patyk i szturcha nim rosnącą w trawie białą kulkę. Nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki unosi się z niej obłoczek dymu.

- Super!
- Purchawka - zdradza Claude. - Tych też się nie je.
- Dopiszę sobie do listy „Niewolnościów” - oznajmia Margot.
- Tylko że robi się strasznie długa. Czy ktoś może mi dać więcej papieru?
- Skąd one się wzięły w tak krótkim czasie? - pytam.
- Muchomory? - pyta Claude. - Burza je przyniosła. A propos, wyschłaś już?
- Margot przetrzepuje palcami włosy, żeby mu pokazać. Robię to samo.
- Brzoskwinie są do niczego - mówię.
- Do niczego?
- Całe podziurawione. Zjadają je mrówki.
- Aha. - Claude kiwa głową. - Och. Ach. To dlatego...
- W nocy była - mówię.
- Pierwsza ją widziałam - włącza się Margot.
- ?
- Właśnie! - przytakuję. - Widziałeś kiedyś taką?
- Nie miałem pojęcia, że w ogóle istnieją nocne tęcze - mówi Claude.
- O, tak - zapewniam. - Jedna była tuż przed naszym domem i miała wszystkie kolory, zupełnie jak w dzień. Widziałam na własne oczy. To było jak czary, to było...
- Urywam, bo Claude znowu dziwnie na mnie patrzy. Jakby widział przeze mnie na wylot i jakby za mną było coś, co sprawia, że się uśmiecha.
- No co? - pytam.

- Pea - mówi poważnie Claude. - Wierzę ci. - O.
- Hm, jak się dziś czuje twoja mama? - pyta.
- Słyszałam cię - mówię.
- Słyszałaś mnie?
- Dobrze wiesz, jak się czuje Mamunia... Byłeś tam, kiedy rzucała brzoskwiniami.
- Twarz Claude'a robi się płaska z zaskoczenia.
- Ach, tak. Słyszałaś.
- Tak - mówię. - Twoje stopy wydają szczególny odgłos, bo dziwnie chodzisz od ugryzienia tygrysa. Mogę spróbować rzucić patyk?
- Oczywiście - zgadza się Claude. - Ja tylko... Podnoszę patyk, śliski od psiej śliny, i ciskam z całej siły. Odbija się od ziemi tuż przy moich stopach i prawie uderza mnie w twarz.
- *Oh la la!* - woła Claude. - Czekał, pokażę ci.
- Kuca za mną, oparty kolanem o ziemię i łapie mnie od tyłu za nadgarstki. Trochę za mocno, ale nie protestuję.
- Hej! - mówi Claude, wykręcając mi rękę, żeby przyjrzeć się starym strupom i nowym zadrapaniom. - Co tu się stało?
- Nie wiem - odpowiadam.
- Jak to nie wiesz? Upadłaś? Czy ktoś cię skrzywdził? Trzeba to odkazić.
- Nie wiem - powtarzam. - Mamunia mówi, że złamałam rękę, kiedy byłam malutka.

- Złamałaś? - Claude przesuwa palec po różowej skórze i wypukłych, czerwonych strupkach. - Ale to? - pyta, dochodząc do krwawiącego miejsca.

Piecze. Wyrywam rękę.

- Swędzi mnie - mówię. - Więc drapałam.

- Nie drap więcej - radzi Claude. - Będzie brzydsze.

- Mogę już rzucić patyk?

- Dobrze - zgadza się. - Najpierw obierz sobie jakiś cel. A pamiętasz tęczę, o której mi opowiadałaś?

-Tak...

- To wyobraź sobie teraz, że patyk musi polecieć takim właśnie łukiem, stąd - tam. Widzisz tęczę?

Pewnie, to łatwe.

- Oczywiście.

- Pokaż ten kształt paluszkami. Rysuję na niebie tęczę.

- Świetnie. Teraz rzuć patyk w górę tęczy, jakbyś chciała, żeby wylądował na czubku. - Łapie mnie za nadgarstek, ciągnie w dół i w tył. - Gotowa? Dawaj!

Puszczą moją rękę, a ja robię zamach i ciskam patyk ze siekniem. Leci troszkę dalej niż za pierwszym razem, ale niewiele. Merlin daje susa po kijek i przynosi go Claude'owi.

Margot wybucha śmiechem.

- Brzmiałaś jak prosiak! - dokucza.

- To nie jest śmieszne - krzywię się.

- Hmm, spróbujmy jeszcze raz - proponuje Claude, podając mi patyk. - Nie spiesz się i cały czas miej przed oczami tęczę.

Znów zaciska palce na moim nadgarstku.

- Możesz mnie puścić? - proszę go. - Chcę to zrobić sama.

Rozluźnia palce. Kiedy Claude się ode mnie odsuwa, czuję na plecach powiew powietrza. Patrzę przez łąkę i zaciskam powieki. Odmalowuję na niebie pełną, wysoką tęczę i pozwalam, by patyk wyfrunął z moich palców. Kiedy znów otwieram oczy, kijek jest wysoko w powietrzu i nadal pnie się w górę. Potem zakręca i leci w dół, łukiem do ziemi.

- Wyśmienicie - mówi Margot.

- Bardzo dobrze! - woła Claude. Uśmiecham się z dumą. - Mogę jeszcze raz? Claude kręci głową.

- Myślę, że już wystarczy - stwierdza. - Merlin się zmęczył. Pies trzyma patyk w zębach, ale nie przynosi go panu.

Zabrał go ze sobą do strumienia i położył się na brzuchu. Żuje drewno z rozkoszą.

- A może teraz wizyta w dziewczęcym gniazdku? -pyta Claude. - Czeka ją przekąska i woda.

- O, tak, prosimy! - wołamy razem.

- Claude, kim ty jesteś? - zwracam się do niego po drodze. Posyła mi dziwne spojrzenie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - mówi.

- No, wiesz. Czym się zajmujesz?

- Byłem kiedyś *gendarme* - zdradza. - A teraz tylko doglądam ogródka. I lubię budować różne rzeczy.

- Dlaczego nie masz normalnej pracy?

- Jesteś już za stary? - dopytuje Margot.
- Nie, nie jestem za stary - mówi Claude. - Ale troszkę zepsuty.
- Przez tego tygrysa - kojarzy Margot.
- Ach, tak - przypominam sobie. - Ten tygrys. Claude a przechodzi dreszcz. Ma minę, jakby miał się zaraz rozpłakać.
- Właśnie - przytakuje. - Ten tygrys.
- Nie smuć się - pocieszam go. - Tygrys pewnie dawno nie żyje.

Claude zaciska usta.

- Ale poza tym - ciągnę - dlaczego nie masz normalnej rodziny? Takiej z czterech osób albo trzech, albo choćby pani i pana? Gdzie masz dzieci, Claude?

Claude przygryza język, więc wiem, że ma coś ważnego do powiedzenia. Sięga po moją rękę, ale nie chwytą jej, tylko wystawia pustą dłoń. Kładę moją rączkę wewnątrz jego dłoni, a on zamyka palce, jeden po drugim.

- Pea - odzywa się. - Wiesz, niektóre pytania potrafią zasmucić dorosłych. Zadawanie ich to nic złego, ale musisz zrozumieć, że ktoś może nie chcieć na nie odpowiedzieć. Bardzo chciałbym mieć moje małe dziewczynki i moją panią. Ale nie mam.

- Przynajmniej masz nas - mówię.
- Tak. Daje mi to wielką radość - przyznaje Claude. Kiedy docieramy do drzewa, opiera się o pień i bardzo ciężko wzdycha. Merlin pada u jego stóp.

- Dalej, w górę - zaprasza Claude, wskazując na gniazdko. -
Może znajdziecie coś smacznego.

Wspinamy się po drabinie, żeby zajrzeć, co dla nas przyszykował. Jest papierowa torba z rogami zwiniętymi w kształt kocich uszu. W środku znajdujemy brioszkę i *pain au chocolat*, pączki i jabłka w cieście.

- Jedno, dwa, trzy, cztery! - liczy Margot.

- Ja zjem tylko jedno - oznajmiam. - Resztę zostawiam na później.

- Radość, radość, radość! Dajemy Claude owi radość - podśpiewuje Margot.

- Szkoda, że jeszcze nie Mamuni - mówię. Moje palce odnajdują w kieszonce samotne zdjęcie.

- Dobrze smakołyki? - woła z dołu Claude.

- O, tak! - odpowiadamy.

- Chcesz jakieś ciastko? - Kołyszę torbą znad krawędzi gniazdko.

- Nie, dziękuję. Ty zjedz. - Claude znów się uśmiecha.

- Claude - zagajam - jeśli coś ci powiem, obiecasz nie wygadać Mamuni?

- Hm - zastanawia się Claude. - Cóż, nie mogę złożyć takiej obietnicy. Wszystko zależy, czy sekret dotyczy, dajmy na to, prezentu, który przygotowujesz dla mamy na urodziny, czy na przykład planu ucieczki z domu, by dołączyć do cyrku.

- Do cyrku? - pytam.

- Nieważne. - Claude macha ręką. - Dobrze, powiedz, o co chodzi.

- Poszliśmy dziś w takie miejsce w domu, gdzie mieszkają tajemnice - zdradzam. - Drzwi były otwarte.

- Z otwieraniem drzwi do tajemnic trzeba bardzo uważać - mówi Claude. - Niektóre tajemnice pozostają tajemnicami, bo to najlepsze rozwiązanie.

- Znalazłam zdjęcie - mówię i wyjmuję je zza stokrotki. Patrzę na nie. Nadal wygląda samotnie. - To Mamunia. Jest w jakimś samotnym miejscu. Wiesz, gdzie to może być?

Wysuwam się z gniazdka, wyciągając do niego rękę z fotografią.

- Nie wychylaj się za bardzo - ostrzega Claude i wyciąga w górę rękę. Wypuszczam zdjęcie z palców, żeby do niego sfrunęło.

Przyglądam się Claude'owi, który wpatruje się w fotografię. Od myślenia porusza mu się twarz - usta wydymają się i skręcają, brwi zjeżdżają w dół, a potem skaczą do góry. Po dłuższej chwili bierze duży wdech i wypuszcza powietrze nosem.

- Strasznie samotne zdjęcie, prawda? - odzywam się. -Zrobiło ci się smutno?

- Rzeczywiście przesycone samotnością - przyznaje Claude. - Ale twoja mama wygląda pięknie, nie sądzisz?

- Mamunia jest przepiękna - mówię. - Jest najpiękniejszą osobą na świecie. Myślę, że tak naprawdę jest królową.

- Może zdjęcie zrobiono w Anglii - zgaduje Claude.

- Ale w takim razie co to za dzidzius?

- Cóż, to musi być... - Twarz Claude'a zamiera w pół zdania jak skuta mrozem. Potem wypływa na nią ciepły uśmiech. - Sam nie wiem. Ale idę o zakład, że w Anglii też mają dzieci.

Po chwili dodaje:

- No, dobra, lepiej posprzątajmy papierki.

Claude pomaga nam przejść z powrotem po kamieniach. Najpierw powolna ja, potem szybka i skoczna Margot.

- A teraz - mówi - sprawdźcie, jak szybko potraficie dobiec do domu. Na pewno mama już odpoczęła i z niecierpliwością na was czeka.

- Dziś latamy, nie biegamy - prostuje Margot.

- W czwartkowe popołudnia zawsze latamy - wyjaśniam Claude'owi.

- Dobrze więc - zgadza się Claude z uśmiechem. - Lećcie do domu, ptaszynki, i do zobaczenia jutro.

Rozdział 9

Na drucie telefonicznym pomiędzy domem a stodołą, na tle błękitnego nieba, siedzi rząd granatowych jaskółek. To letnie maluszki, chude i chwiejne, nie takie wypolerowane jak dorosłe ptaki. Jest z nimi ptasia mama. Co chwilę zrywa się z kabla i zatacza szerokie kręgi, śmigając obok niebieskich żaluzji w naszych oknach, mijając czereśnię i okap stodoły, gdzie wykluły się jej pisklęta. Gniazdka jaskółek są tuż przy wielkiej bliźnie, tam skąd dawno temu trzęsienie ziemi wytrzęsło kamienie.

Obserwuję ptaki, leżąc na brzuchu i patrząc w kałużę, gdzie rosnące do góry nogami drzewa wpadają do głębokiej studni błękitu. Na dnie studni świeci gruby, cętkowany, poranny księżyc, któremu ktoś obciął z jednej strony cienki paseczek. Kiedy ptasia mama wzbija się przy dachu stodoły na wysokość płytki z łapaczem czarów, nie zatrzymuje się, tylko leci jeszcze wyżej, hen w przestrzeń pomiędzy dwoma budynkami, a potem wraca i siada z powrotem na drucie.

- Margot - przerywam ciszę. - Skoro nie ma czarownic, po co mamy kafelek z łapaczem czarów?

- Te ptaki wcale nie mają ochoty latać - zauważa Margot. - Chcą być z powrotem w gnieździe.

- Nie wiesz, prawda? - mówię, odwracając się i patrząc na prawdziwość odbicia, na czerwoną płytkę umieszczoną na czubku dachu jak klejnot w koronie. - Kafelek służy do łapania czarownic. Wstawili go tam dorośli. Z czego wynika, że nawet dorośli wierzą w czarownice.

- Cóż, Mamunia mówi, że one nie istnieją.

- Może Mamunia się myli - sugeruję.

Jaskółcza mama ćwierka na swoje dzieci. „No, dalej! - zdaje się mówić. - Latanie to nic trudnego”. Ale jej maluchy przesuwają się z jednego krańca druta na drugi, przekrzywiając główki i sprawiając wrażenie bardzo stremowanych. Nie są pewne, czy dadzą sobie radę, więc i ja zaczynam się denerwować, że może sobie nie poradzą. Pamiętam je jako świeżo wyklute kruszynki. Ze swojego okna widziałam ich puszyste szare łebki i żółte dziobki wystające znad ulepionego z gliny gniazdka. Darły się o jedzonko. W miarę, jak rosły, było im coraz ciasniej, ale i tak tuliły się do siebie. Gniazdko było pełne lśniących piórek i błyszczących oczek, a mama nadal pakowała jedzenie do rozdziawionych dziobków. Już tego nie robi. Przyszedł czas, że muszą same o siebie dbać.

- Powinny móc zdecydować, kiedy chcą zacząć latać - stwierdzam.

- Racja - zgadza się Margot.

- Fruńcie, fruńcie - ćwierka jaskółcza mama, przysuwając się do swoich dzieci. Pomaga im. Wyobrażam so-

bie, że gdyby miały palce zamiast skrzydeł, trzymałyby się wszystkie za ręce.

- Smutne, że ptaki nie potrafią trzymać się za ręce - zauważam błyskotliwie.

- Nie mogą się nawet przytulić - dodaje Margot.

- Jak myślisz, co robią zamiast tego?

- Przytulają się do siebie w gnieździe.

- To też brzmi miło - mówię.

Nagle coś płoszy ptaki i wszystkie razem zrywają się z kabla - migające biało-granatowe plamki. Mama prowadzi dzieci na wycieczkę wokół podwórka i wszystkie maluchy lecą za nią. Jednak przypomniały sobie, że potrafią frunąć. Druć kołysze się, kiedy lądują - jeden, dwa, trzy, cztery... i pięć. Bracia i siostry, wszyscy razem. Coś ociera mi się o nogi, aż podskakuję. To tylko kot, który wpadł z wizytą. Wtula się we mnie jedwabistym futerkiem i mruczy, ale nie patrzy na mnie, tylko na młode jaskółki.

- Czeka, aż któraś spadnie - rozgryza go Margot.

- Przecież one nie spadają - mówię. - To ptaki. Ptaki latają.

- Nie zawsze - mówi Margot.

- Bzdura - upieram się. - Ptaki nie przewracają się podczas lotu.

Przyglądam się kotu. Nadal śledzi wzrokiem jaskółki.

- Nie spadną! - informuję go.

Na drut przybywa ptasi tata, większy i bardziej błyszczący. Zajmuje miejsce po jednej stronie dzieci, po dru-

giej siedzi mama. Patrzę na jaskółczą rodzinę, siedzącą razem na kablu, i zaczynam czuć, jak całkiem znikąd wlewa mi się do środka ciemność.

- Chyba najlepiej - mówię - jak w rodzinie jest mama i tata.

- To dwa razy więcej osób niż sama mamusia - przytakuje Margot. - Ale mamusie i tak są najlepsze.

Wsuwam palce do kieszeni sukienki, którą znów wybrałam na dziś, i dotykam brzegów samotnego zdjęcia.

- Tatuś mnie kochał - mówię. - Podnosił mnie do góry i robił karuzelę.

- Mamunia też cię kochała - mówi Margot. - Piekłyście razem placki, ciasta i ciasteczka w kształcie gwiazdek.

- To było, zanim umarł dzidzius - zauważam. - Tatuś mnie łaskotał i pozwalał jeździć na traktorze.

- Mamunia jest najpiękniejsza - argumentuje Margot.

- Tata miał duże dłonie i wspaniałe uśmiech - mówię.

- Mamunia pozwalała ci pomagać przy wieszaniu prania - przypomina Margot. - Nawet kiedy upuszczając rzeczy na trawę.

- Pamiętam. Roztrzepywała ubrania i wieszała je na sznurze, a ja podawałam klipsy.

- I Mamunia ci śpiewała - dodaje Margot.

- Razem śpiewaliśmy - prostuję.

- Znałaś wszystkie piosenki - wspomina Margot. - Dla dzieci i dla dorosłych. Francuskie i angielskie.

- I wtedy umarł dzidzius - mówię. - I odebrał jej głos.

- Może i tak, ale już dość, Pea - ucina Margot. - Jesteś gburowata i już mi się to znudziło!

Skacze na mnie, wyciskając ze mnie całe powietrze. Jej buzia znajduje się tuż nad moją, nosek zgniata mój nos, a nasze oczy są tak blisko, że już wcale jej nie widzę, tylko rozmazaną plamę barw.

- Chodź - mówi. - Będziemy naukowcami.

Jeśli obejdzie się nasz dom od najśłoneczniejszej strony, tam, skąd widać góry, wszystko jest bardzo dzikie. Trawy sypią nasionami i drapią. Wszędzie jest mnóstwo pokrzyw. Rosną tu też wielkie osty, wyższe ode mnie, z pięknymi fioletowymi kwiatami, których nie da się zerwać, bo kłujące listki wystają zbyt daleko, żeby dosięgnąć. Można tam wypatrzeć całe mrowie owadów: biedronki, *punaises* pluskwiaki i *gendarmes*. Stoi tu duże drzewo, którego kwiaty zwisają z gałęzi długimi, fioletowymi kępami. Siadają na nich wszystkie motyle. Na ogół się tam nie bawimy, bo nie ma cienia i wszędzie pełno kłujków, ale dziś wczesnie zrywamy się z łóżek i słońce jeszcze tak nie praży.

- Będziemy prowadzić badania naukowe - oznajmia Margot. - Rozglądamy się za odpowiednimi okazami.

- Żywymi?

- Nie, nie wolno przyrodzie zabierać nic żywego. Tylko rośliny i rzeczy, które są nieżywe, ale nie śmierdzą.

- Mam szkło powiększające - mówię.

- Tak, a ja wzięłam stetoskop - informuje Margot. - Ruszajmy. Biało-czarny paż królowej przysiada na jednym z fioletowych kwiatów i spija nektar. Jest też rusałka pawik i brązowo-pomarańczowy motyl, którego nazwy nie znam. Wszystkie są żywe, więc miło na nie popatrzeć, ale nie nadają się na okazy do badań. Stwierdzam, że lepiej szukać na ziemi. Wkrótce trafiam na motyle skrzydło. Jest bardzo delikatne, kremowo-białe, jak mleko. Reszty owada brakuje. Może motyl je odrzucił albo może coś go zjadło, ale bez skrzydła. Odkładam je na duży, płaski kamień i szukamy dalej. Margot za pomocą swojego stetoskopu znajduje białe piórko, a potem wpada nam w ręce kruchy, żółty przedmiot, trochę podobny do piłki. Dźgam go patykiem. Nic się nie dzieje. Przyglądam się uważniej przez szkło powiększające i dostrzegam mnóstwo pustych miejsc.

- Wygląda trochę jak gniazdo os - mówi Margot.
- Musiałyby to być bardzo małe osy - stwierdzam.
- Nie powiedziałam, że to jest gniazdo os, tylko że wygląda podobnie.
- Rzeczywiście - przyznaję jej rację.
- Jak myślisz, skąd się wzięło? - pytam.
- Cóż - zastanawia się Margot, poprawiając na sobie biały fartuch naukowca. - Moim zdaniem okaz ten został wykonany przez bardzo małe osy albo inny rodzaj małych owadów.

Wkładam malutkie gniazdo, piórko i skrzydło do kieszonki i przyciskam dłoń do jej wylotu, żeby skarby nie wypadły. - Zaniesiemy je do dziewczęcego gniazdka -oznajmiam. - Tam będą bezpieczne.

Claude najwyraźniej był już w gniazdku, bo czeka na nas świeża butelka wody i czerwona puszka z obrazkami ciasteczek. Są różowe, żółte i brązowe. Do środka trudno się dostać. Muszę wcisnąć palce pod krawędź, próbując zdjąć pokrywkę. Trzyma się sztywno i ani drgnie, więc denerwuję się okropnie, ale nagle wieczko odskakuje i herbatniki się wysypują. Część ląduje na zielono-czerwonym kocu, reszta na moich kolanach.

- W gniazdku jest czysto - mówi Margot.

- Też mi się tak wydaje - przytakuję.

Jemy kilka ciasteczek-uciekiniów i zamykamy pudełko, ale nie przyciskamy już tak mocno pokrywki. Zaczynam opróżniać kieszonkę. Wyjmuję zdjęcie Ma-muni z maleństwem. Potem wyciągam skrzydło motyla, gniazdko dla bardzo małych owadów i piórko. Trzymam wszystko w złączonych dłoniach. Cztery rodzaje przedmiotów stanowiących skarby. Postanawiam przynosić różne znaleziska do naszego dziewczęcego gniazdka i zrobić kolekcję. W dni, kiedy jest zbyt gorąco, żeby iść na Wietrzne Wzgórze, będę mogła przychodzić tu, podziwiać moje zbiory i czuć się lepiej. Będę trzymać wszystko w puszcze razem z różowymi, żółtymi i brązo-

wymi ciasteczkami, a kiedy zjemy już wszystkie słodyczne, puszka będzie tylko na skarby i nikt nie pomyśli, żeby do niej zajrzeć, bo są na niej obrazki ciastek, a nie zdjęć, piór i skrzydeł.

- Ciekawe badania przeprowadziłyśmy dziś rano -ocenia Margot. - I stwierdziłam, że nasze wyzwanie też powinno być naukowate.

- Uszczęśliwienie Mamuni? Co w tym naukowatego?

- Nauka polega na rozwiązywaniu zagadek, to jasne. Za pomocą mózgu. Musimy więcej używać mózgów.

- No dobrze - mówię. - Ale jak?

- Cóż, Mamunia jest najszczęśliwsza, kiedy nie robimy żadnego hałasu - analizuje Margot. - I kiedy przyrządzamy jej śniadanie.

- Zgadza się. Pod warunkiem, że nic się nie stłucze.

- Tak. Wiemy też o kilku rzeczach, od których robi się smutna.

- Tak - potakuję, kiwając głową. - Na przykład martwe muchy, traktor Tatusia i bałagan.

-Właśnie. Nie powstrzymamy much przed umieraniem i nie przestawimy traktora, ale możemy utrzymywać porządek.

- Margot - mówię z uznaniem - jesteś naprawdę wybitnym naukowcem.

Jestem bardzo podekscytowana pomysłem, więc szybciotko zjadamy jeszcze po jednym herbatniku i schodzimy po drabinie.

Po drugiej stronie strumyka wpadamy na Claude'a z Merlinem.

- Dzień dobry! - wołam. - Już idziemy do domu, żeby uszczęśliwić Mamunię.

- Dzień dobry - odpowiada Claude. - W porządku, chcieliśmy tylko zajrzeć, żeby sprawdzić, czy znalazłyście ciasteczka.

- Tak, dziękujemy! Puszka też jest świetna. Claude się uśmiecha. - Cieszę się.

Merlin kręci się wokół moich nóg, merdając ogonem i podstawiając łeb do głaskania.

- Merlin jest naprawdę kochany - mówię.

- To prawda - przytakuje Claude. - Bardzo go kocham.

Kuca, żeby mocno przytulić psi łeb. Patrząc na ramiona Claude'a tulące psa i radość zwierzaka z tego ogromu miłości, czuję dziwny smutek.

- Naprawdę musimy się spieszyć - ponagla Margot. -Czeka nas masa pracy.

Rozdział 10

Tego popołudnia pracujemy wyjątkowo ciężko. Sprzątamy i szorujemy. Wzięłam z kuchni ściereczkę, zmiotkę i szufelkę. Pozamiatałam schodek przy wejściu i umyłam szybki w tylnych drzwiach wodą z podwórkowego kranu. Teraz zamiataam podwórze, a Margot odkurza powietrze. Wszystko będzie piękne i czyste. Jak już skończymy tutaj, zajmiemy się stodołą i brzoskwiniowym traktorem, chociaż boję się os. Praca na podwórku jest ciężka, bo zmiotka i szufelka są małe, a podwórko duże. Poza tym ciągle spada mi z głowy kapelusz.

- Dość tego - pryham. - Zdejmuję go. I tak jest głupi.

- Jeśli będziesz biegać po słońcu z gołą głową, umrzesz - ostrzega Margot, wyłączając swój odkurzacz.

- To jak mam go utrzymać na głowie i jednocześnie sprzątać? Ależ ten dom brudny! - wzdyham.

- Musisz użyć głowy - mówi Margot, na co wybucham śmiechem. Jest dobra w wymyślaniu dowcipów. Może poza tymi z serii „puk, puk”, bo zupełnie jej się nie udają.

W cieniu dużego, różowego kamienia siedzi skorpion. Jest prawie cały czarny, z wyjątkiem żółtych nóg. Ładnie się błyszczy i trzyma się nisko na nogach, blisko ziemi.

Z początku wcale go nie zauważam - dopiero, kiedy wymiatam go wraz z liśćmi i zaczyna biec.

- Patrz! - woła Margot. - Kolejny okaz.

- Ale jest żywy - zauważam.

- Cóż, no tak, nie możesz go schować w swojej puszcze skarbów, to oczywiste - stwierdza Margot. - Ale mogłybyśmy go trzymać jako nasze zwierzątko.

- Założymy mu smyczkę - mówię - i będziemy wyprowadzać na spacer jak pieska.

Żartuję tylko, bo dobrze wiem, jak groźne są skorpiony. Wiem, że ukąszenie bardzo boli i czasem trzeba nawet jechać do szpitala. Nie wolno ich dotykać. Biorę pusty słoik po dżemie ze skrzynki na zużyte szkło, z której - jak z każdego obecnie miejsca w domu - wysypuje się zawartość. Słoik nie ma pokrywki, ale jest o wiele wyższy niż skorpion i śliski od środka, więc zwierzę na pewno się nie wydostanie. Chwytam patyk i zaganiam skorpiona do słoika. Miota się, próbując się wspiąć po szklanych ściankach, wymachuje szczypcami i zawija ogon nad grzbietem jak haczyk na kiełbasę. Nadal trochę się boję, że wyjdzie i mnie ukłuje. Zaraz przekonuję się, że miałam rację - słoik jest zbyt śliski, a zwierzątko musi siedzieć na spodzie i pozwalać się obserwować. Całe szczęście, że skorpiony nie potrafią latać.

- Postawmy go przy moim łóżku - proponuję. - Wiesz, co jedzą skorpiony?

- Muszę sprawdzić w internecie - mówi Margot.

Siada przy kamieniu stanowiącym jej komputer i wyszukuje w sieci informacji na temat zwyczajów żywieniowych skorpionów.

- Hmmm - mruczy. - Hmmm. Aha, aha, zgadza się.

- Więc czym żywią się skorpiony? - pytam.

- Serem - oznajmia Margot.

Jesteśmy w połowie drogi na górę, kiedy w drzwiach łazienki pojawia się Mamunia. Staje u szczytu schodów jak wielki, ciemny cień.

- Co tam masz? - dopytuje.

Zerkam na słoja po dżemie, gdzie malutki czarny skorpion wciąż próbuje wspiąć się po śliskim szkle, z żądłem wzniesionym nad grzbietem. Obok niego leżą kawałeczki sera, którego nawet nie skosztował. Boję się schować słoja za plecami, żeby przypadkiem go nie przechylić, co umożliwiłoby zwierzątku wylezienie na moją rękę.

- Nic - odpowiadam, patrząc jej prosto w oczy.

- Piwonio, co masz w słoiku?

- Och, to... To tylko... Znalazłam go przy kamieniach i się nim zaopiekuję. Dałam mu trochę serka.

Mamunia zaczyna schodzić po schodach. Na stopniach robi się nagle tłoczno, nie mam jak minąć Mamy i jej brzucha. Staram się zakryć pojemnik dłońmi, tak, żeby nie było widać, co jest w środku. Mały więzień miota się po swojej celi. Cienkie szkło dzieli moją dłoń od jego żądła.

Zerkam przez poręcz w dół, na kuchenną podłogę. Nie mogę upuścić słoja. Rozbiłby się w drobny mak i w kuchni był-

by skorpion. Podwójna katastrofa. Podnoszę wzrok na Mamunię, która już prawie do mnie zeszła. Oglądam się na stojącą za mną Margot, ale tylko wzrusza ramionami, odwzajemniając moje spojrzenie. Znalazłam się w pułapce razem ze skorpionem. Jego złapanie nagle wydaje się bardzo złym pomysłem. Mamunia próbuje zajrzeć do słoika.

- Serek - powtarza po mnie. - Czy to mysz?

- Nie.

- Pająk? - zgaduje, zbliżając się o kolejny stopień i próbując zajrzeć do środka.

- Nie pająk.

- Piwonio - mówi ostro. - Co masz w tym... Wyciąga rękę po słoik. Trzymam go z całych sił. Boję się

go upuścić, ale jest śliski, a nie chcę wsunąć palców do środka, by lepiej go chwycić, chociaż skorpion rozplaszczył się teraz na szklanym dnie. Krople potu kapią mi z karku jak deszcz i spływają obok serca, tworząc kałużę w pępku.

- ...słój - kończy zdanie. Nachyla się w dół ponad swoim brzuchem, jedną ręką trzymając poręcz, drugą sięgając po pojemnik. Zaciska palce na moich, szukając luk, żeby dobrze złapać szkło. Szarpie, a ja wypuszczam słoik.

Mama zbliża słój do twarzy i wtedy skorpion rzuca się w górę, unosząc szczypcę i ogon, gotowy do podjęcia walki.

- Och! - Mamunia z wrzaskiem upuszcza naczynie.

Szklane więzienie odbija się od stopnia pomiędzy naszymi bosymi stopami, a potem stacza się kolejne dwa schodki w dół i znów podskakuje. Odwracam się, by pa-

trzeć na słoik, zobaczyć, jak szkło rozpryskuje się i przekonać, co stanie się ze skorpionem. Słój nie rozbija się jednak. Zamiast tego toczy się stuk, stuk, stuk, i ląduje na boku na kuchennej posadzce.

Oczyrna wyobraźni widzę, jak skorpion ucieka. Mamunia byłaby jeszcze wścieklej sza niż za to, co narobiłam do tej pory. Ruszam biegiem w dół schodów, żeby powstrzymać zbiega, ale po dwóch stopniach czuję ukłucie i palący ból z boku stopy.

- Och, Mamuniu, tu jest! Na schodach! Użądlił mnie! Mamuniu! - wybucham płaczem.

Skorpion czmycha w kąt schodów. Docieram do kuchni i wspinam się na ławę. Wciągam nogi na górę.

- Mamuniu! Weź go! Jest na stopniu!

- Na którym, Piwonio? - Mama boi się zejść po schodach. Ma bose stopy i nie widzi skorpiona. Przeszkadza jej brzuch.

- Mamuniu! Ukąsił mnie! Mamo! Proszę, boli! Stopa już puchnie i robi się czerwona. W kuchni robi

się lodowato jak w środku zimy. Mrok z mojego brzucha rozchodzi się na ręce i nogi. Mama zniknęła ze schodów.

-Nie ruszaj się stamtąd! - krzyczy. - Już idę, trzymaj się! - Pojawia się u szczytu schodów w traktorowych buciorach Tatusia. W ręce trzyma butelkę szamponu i grubą, zieloną strzykawkę. Ciężko tupie po schodach, uważnie patrząc pod nogi. Nagle staje i zaczyna tłuc o stopień

butelką z szamponem, w dodatku kopiąc nogą. Nie sędzę, żeby skorpion przeżył ten atak.

Margot jest ze mną na ławie i oplata mnie ramionami. Zaciskam powieki. Pod spodem jest czarno jak w nocy, ale mienia się kolorowe plamki i błyska białe światło. Stopa mnie pali, więc jeszcze mocniej zaciskam powieki. Margot kołysze się ze mną.

- Nie martw się - mówi. - Boli, ale wszystko będzie dobrze.

Trzęsę się w mroku, wyobrażając sobie, że ktoś mnie przytula, ale myśli przyciąga coraz mocniejszy ból. Wtem pojawiają się ręce, które podnoszą mnie w górę. To już nie Margot, tylko Mamunia. Wynosi mnie na zewnątrz, do światła. Przywieram do jej boku, starając się usiąść jej na biodrze, ale przeszkadza mi brzuch z dzidziusiem, więc zsuwam się coraz niżej, kiedy ona tupie przez podwórko w butach Tatusia. Kładzie mnie na stole i przygląda się mojej stopie.

- Ćśś, Pea, zaraz będzie dobrze - uspokaja.

- Boli! - płaczę.

- Wiem - mówi. - Bądź dzielna.

Podnosi tę wielką, zieloną strzykawkę i przykładą ją do ukłucia w mojej nodze, a kiedy ciągnie tłok, zasysa część stopy, tak, że za przezroczystym plastikiem pojawia się biała bańka mojego ciała. Potem widzę wysysane ze mnie kropelki krwi i robi mi się niedobrze.

- Czekaj tu - rozkazuje Mamunia.

Siedzę zwinięta na stole, starając się wyrzeć poza stodołę, marząc, by sięgnąć wzrokiem turbin.

Nagle Margot podnosi krzyk:

- Czarownice lecą!

- Gdzie? Gdzie? - wrzeszczę, rozglądając się wokół. Wszystko wygląda normalnie, ale więdźmy mogą w każdej chwili wypaść z cienia, a ja tkwię na stole, gdzie rzucam się w oczy.

- Czarownice są wszędzie! Jednak naprawdę istnieją! -Margot drze się wniebogłosy, zanosząc się śmiechem.

- Przestań! - krzyczę. - Przestań!

- Może umrzesz - mówi Margot i przygląda mi się z zaciekawieniem. - Skorpiony są strasznie niebezpieczne - szepcze i znów chichocze.

Kiedy Mamunia wraca, leżę zwinięta w kłębek, łkając. Mama obiera mnie jak pomarańczę. Przyniosła ręcznik pełen kostek lodu. Przykłada mi go do stopy i nowy rodzaj bólu wypycha poprzedni.

- Czyja umrę? - pytam.

- Nie mów tak, Pea - obrusza się Mama i kręci głową.

- Boję się, Mamuniu. Opowiesz mi coś?

Mama siada na plastikowym krześle, które trzeszczy, kiedy wpasowuje w nie pupę, i przytrzymuje lód przy mojej stopie.

- Dawno temu - zaczyna Mamunia.

- Nie chcę zmyślonej bajki - marudzę. - Chciałabym historię z serii „Kiedy bylam małą dziewczynką”. Te są zawsze najkochańsze.

- Kiedy byłam małą dziewczynką - zaczyna od nowa Mamunia - nie było skorpionów.

- A były pająki? - pytam.

- Cóż, no, tak, były pająki, pszczoły i osy, ale skorpionów nie.

- Co jeszcze wtedy żyło? - zaciekawiła się Margot.

- Mieszkałaś w pobliżu gór, jak my? - pytam.

- A, nie. W miasteczku. Ale na wieś było blisko.

- A nad morze?

- Nad morze było dość daleko.

- Czy w okolicy były łąki do zabawy?

- Nie, łąk nie było, Pea, ale mieliśmy taki ogródek z huśtawką.

O.

- A co robiłaś latem? - pytam.

Mamunia się namyśla, rolując lodowaty ręcznik po mojej stopie, tam i z powrotem, pocierając własnymi stopami, jedna o drugą. Włosy leżą jej na plecach jak długi, mokry wąż.

- Bawiłam się w ogrodzie i u przyjaciół. Nasze domy stały w długim szeregu, jeden obok drugiego. Ulice były pełne domów. Ogródki frontowe łączyły chodniczki, ale z tyłu biegły wąskie ścieżki. Przełaziliśmy do sąsiednich ogródków przez ogrodzenia. Mieliśmy też nadmuchiwane baseny, twój jest żółty, a mój był zielony, choć lato było na ogół dość deszczowe. Dzwoniliśmy do siebie i zapraszaliśmy do wyjścia na dwór. Jeśli ktoś z naszej paczki miał pieniądze, szliśmy do sklepu po lody na patyku. Czasem moja

mamusia pakowała mi piknik. A zdarzało się i tak, że mieliśmy wielkie, wielkie szczęście, a wtedy pakowaliśmy się do samochodu i jechaliśmy na plażę.

Spojrzenie Mamuni jest puste, jakby była daleko, daleko stąd.

- Na naszą plażę?

- Nie, kawał drogi stąd. Na inną plażę. Nad inne morze.

- Jest więcej niż jedno morze?

- Cóż, w zasadzie tak - odpowiada Mamunia z nieśmiałym uśmiechem.

- Były tam flamingi? - dopytuję - I *moules-frites*, małże z frytkami?

- Były osiołki, na których można było pojeździć, a morze było okropnie zimne. I były sople do jedzenia...

- Jadłaś sople? - dziwię się.

- Nie takie prawdziwe - kręci głową. - To takie *bonbon* na patyku. Mój dziadek siadał na leżaku i robił nam kapelusze przeciwsłoneczne z chustek.

- Nie da się zrobić kapelusza z chustki!

- Wtedy się dało.

- To musiało być bardzo, bardzo dawno temu - mówię.

- Tak - przyznaje Mamunia. Nagle brzuch jej podskakuje i Mama zwija się wokół niego. - Pea.

-Tak?

- Nie rób więcej takich głupstw. Mam dość zmartwień. Musisz być dużą dziewczynką.

Znienacka dopada mnie smutek i coś podchodzi mi do gardła.

- Przepraszam - mówię. Mamunia powoli wstaje.
- Chce ci się pić? - pyta, a ja kiwam głową.
- Bardzo cię boli? - dopytuje Margot, kiedy Mama w domu przygotowuje napoje..

Patrzę na nią spod zmarszczonych brwi.

- Tak, bardzo boli - mówię przez zęby.
- Myślisz, że powinniśmy już iść się bawić, czy możemy dziś zostać tutaj?
- Mam nadzieję, że możemy zostać - wzdycham. - Nie mam ochoty na zabawę. Może będziemy mogły coś sobie pokolorować.
- A Claude? Będzie się zastanawiał, gdzie jesteśmy.
- Poszłabyś mu powiedzieć? - Patrzę na Margot, siedzącą po turecku na bruku. - Mamunia w ogóle nie zauważyła naszego sprzątanania.
- Była zajęta tobą przez tego skorpiona - wyjaśnia Margot.
- Margot, dlaczego byłaś dla mnie taka okropna, kiedy bardzo cierpiałam?
- Okropna? - dziwi się Margot. - Wcale nie. Wyobraźnia cię poniosła.

Rozdział 11

Drzwi sypialni otwierają się ze skrzypieniem i przestrzeń wypełnia Mamunia z mokrymi włosami i pachnąca swoim mydłem.

- Pobudka! - woła. - Wstajemy, zbieramy się i zaraz wychodzimy!

Wchodzi do pokoju i otwiera okiennice, wpuszczając do środka gorące zapachy, które wlatują, by nas obudzić. Pianie koguta potwierdza, że czas wstawać.

- Dokąd idziemy? - pyta Margot.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam. - Dziś nie ma targu. Może wybieramy się do jakiegoś sklepu albo do lekarza?

- Za wcześnie na sklepy - zauważa Margot.

- Do Mami Lafont?

- E, wątpię. - Margot wywraca oczami.

- Na cmentarz odwiedzić Tatusia?

- Nie wydaje mi się. - Margot kręci głową.

- Masz rację, to nie to. Ale skąd mamy wiedzieć, w co się ubrać?

- Może po prostu wybierzmy nasze ulubione rzeczy? - proponuje Margot, ale moja najulubiejsza zielona sukienka jest już całkiem brudna. Nosiłam ją przez dwa dni.

- Mam lepszy pomysł - oznajmiam. - Ubierzemy się na żółto.
Na nasze wyzwanie.

- O, świetnie! - chwali Margot.

Problem w tym, że nie mam żadnej żółtej sukienki, spódnicy ani spodni w tym kolorze. Na szczęście mam żółty T-shirt. Jest trochę ciasny w szyi, kiedy próbuję przepchnąć głowę, ale w końcu daję radę. Znajduję też żółte majtki.

- Co włożysz na dół?

- Nic. To zepsułoby mój plan kolorystyczny.

- Coś mi się zdaje, że Mamuni zepsuje się humor, jeśli wyjdiesz w samych majtkach. Może jakiś kolor, który pasuje do żółtego?

- Na przykład jaki? Margot wzrusza ramionami.

- Różowy?

Wyszukuję więc i zakładam różowe spodnie, te w odcieniu jogurtu truskawkowego.

- Bardzo ładnie - ocenia Margot.

W kuchni gra radio i stół jest zastawiony do śniadania. Na podłodze czeka spora torba w kratkę i wypadają z niej różności - ręczniki i woda w butelkach, plastikowe pudełka z jedzeniem, kapelusze od słońca i krem z filtrem.

- Idziemy na piknik? - pytam.

- Jedziemy nad morze - mówi Mamunia.

- Teraz? Dziś rano?

- Tak, jeśli się pospieszysz. - Mama ma czerwone oczy, ale się uśmiecha. Włożyła spodnie z podwiniętymi nogaw-

kami i japonki z dużym czerwonym klejnotem na każdej stopie. Pije wodę ze szklanki, na której z zewnątrz osadziły się lśniące kropelki wody.

Pospiesznie jemy śniadanie. Sprzątam ze stołu, a Mamunia wyciera blat. Potem zamykamy drzwi na klucz i wsiadamy do samochodu, z którego prawie nigdy nie korzystamy. Dziś mamy *canicule*. To znaczy, że jest dzień głównie na pływaniu i wylegiwanie się w cieniu. Za gorąco na cokolwiek innego. Klamka w drzwiczkach parzy mnie w rękę, więc szybko cofam dłoń. Wnętrze jest zaparowane i nie do wytrzymania. Bardzo mocno pachnie samochodem. Otwieramy okna i ruszamy, wpuszczając do środka chłodniejsze powietrze. Auto spija je łapczywie.

Droga na wybrzeże biegnie cały czas z górki, ale Mamunia jedzie powoli. Siedzi odsunięta daleko od kierownicy - to z powodu brzucha. Ręce wyciąga ponad nim. Co jakiś czas brzuch podskakuje i wtedy Mama też się podrywa, auto skręca gwałtownie, podrzucając i mnie. Po drodze śpiewam piosenki. Mamunia przyłącza się czasem do refrenu - jest dzisiaj w świetnym humorze. Mój wzrok spotyka spojrzenie Margot i wiem, że myśli to samo, co ja. Zastanawiam się, co sprawiło, że Mama jest taka radosna. Pewnie to nasze sprzątanie. Kiedy tak rozmyślam, wyglądam na zewnątrz, patrzę na przesuwaną się za oknem wioskę. Przejeżdżamy mostem nad szeroką szosą i spoglądam w dół na sunące pod nami pojazdy - ciężarówki, przyczepy i auta. Ciekawe, dokąd pędzi

tyle osób. Kiedy docieramy na drugą, stronę, powietrze pachnie jak na Wietrznym Wzgórzu, tylko bardziej słono. Skręcamy, tak że *étangs* są po mojej stronie, całe w cętki z kępek mchu i żółtej trawy. Nad stawami śmigają mewy, rzucając cienie na pofałdowaną powierzchnię wody. Wypatruję flamingów, ale nigdzie ich nie widać, skupiam się więc na drzewach. Tutejsze drzewa są powyginane na boki, poprzecyłane przez Tramuntanę, nasz wiatr, który pcha je mocno od maleńkości. Jest mi trochę żal drzew. Myślę, że zasługują na odpoczynek. Mamunia zamilkła.

- Wszystko w porządku? - pytam.

- Ze mną? - dziwi się Mama. - Wszystko dobrze. Już prawie jesteśmy.

Kiedy *étangs* się kończą, ustępując plaży, zjeżdżamy z drogi i parkujemy. Już widzę morze, niemogące się doczekać, aż w nie wskoczę, będę się pluskać i pływać. Chcę pobiec prosto na plażę i rzucić się w fale, ale zamiast tego idę powoli przy boku Mamuni. Gdy tylko prowadząca na brzeg ścieżka robi się piaszczysta, zdejmujemy buty i niesiemy je w rękach, wymachując nimi wesoło, podczas gdy piach zeskrobuje nam ze stóp lądowy brud.

Dochodzimy do dużego kwadratu z desek, ze słomianymi parasolkami i hamakami do opalania.

- Siądę sobie tutaj - mówi Mama, odkładając torbę. - Ty idź się bawić. - Kiwa palcem w stronę morza.

- Chcesz zbudować zamek z piasku? - pytam.

- Nie, ty zbuduj. Idź i baw się dobrze.

- A może masz ochotę brodzić?

- Peonio! - rzuca ostro Mama.

Margot kręci głową i bierze mnie za rękę. Plaża jest usiana brzuchami, pupami, ręcznikami i torbami, a kawałek dalej lśni morze. Ruszamy do niego przez tor przeszkód i gorący piach.

Siadam na skraju wody i moja pupa natychmiast robi się bardzo piaszczysta. Fale szumią, płynąc do mnie i ode mnie - małe, białe psiaczki, które liżą mi palce u nóg. Zdrową nogą kręcę kółka w zupowatym piachu, a tę ukąszoną stopę, wciąż spuchniętą i czerwoną, trzymam w zimnej wodzie. Rękami wykopałam głęboki dół, w którym teraz siedzi Margot. Widzimy stąd Mamunię. Siedzi w cieniu, w plażowej kawiarni, czytając książkę. Nie poruszyła się, odkąd przyjechałyśmy. Za to różni ludzie, których wcale nie znamy, skaczą wokół niej, podając napoje i przynosząc poduszki. Chwilę temu przysłała tu do nas jednego z kelnerów z lodami o smaku waniliowym. Znow się zastanawiam, czy naprawdę nie jest królową. Zdecydowanie wygląda na wielką władczynię, z tym klejnotem pomiędzy palcami. Też mam skarby - niewielki stos muszelek, białych i różowych, w tym niektóre z szaroróżowym błyszczącym wnętrzem. Wcześniej zbudowałam ogromny zamek, wykorzystując piach z wykopanej dziury, a moje muszelki służyły za pałacowe dekoracje. Białe

iskierki na wodzie robią się coraz jaśniejsze, bo słońce stoi już wysoko na niebie. Na plaży pojawia się coraz więcej urlopowiczów i wiem, że niedługo będziemy się musiały pakować. Zbieram więc muszelki, żeby później schować je do puszki po ciasteczkach, czekającej w dziewczęcym gniazdku.

- Smutno mi - żalę się.

- Smutno z powodu morza? - pyta Margot.

- Nie, nie z powodu morza.

- To dlaczego?

- A, to nic - mówię.

- Nie, no, powiedz - nie odpuszcza Margot.

- No, więc - zaczynam - plaża jest bardzo fajna. Mamunia jest na wyciągnięcie ręki, z nami. W dodatku się uśmiecha. Woda tak miło obmywa mi palce. W brzuszku cały czas czuję lody, trochę zimniejsze niż cała reszta mnie, co przyjemnie łaskocze. Więc jest mi smutno.

- Aha - kiwa głową Margot. - To taki rodzaj smutku, który się czuje, kiedy jest się szczęśliwym.

- Serio?

- Serio.

- Czyli jestem szczęśliwa? - upewniam się.

- Tak - potwierdza Margot. - Oczywiście, że tak.

W drodze do domu siedzę po drugiej stronie samochodu, żeby znów oglądać *etangs*.

- Jestem głodna - mówi Margot.

- Ja też.

Nawet wpadające przez okna podmuchy nie są już w stanie pokonać upału. Skóra Mamuni jest czerwona i spocona.

Wtem niespodziewanie pojawiają się - flamingi! Niektóre stoją bez ruchu nad wodą, z szyjami zwiniętymi w tył, ułożonymi na skrzydłach, i przyglądają się sobie nawzajem. Inne brodzą i zanurzają w wodzie haczykowate czarne dzioby. Jeden z ptaków trzepocze skrzydłami, ukazując ich zaskakująco czarno-czerwone spody.

- Kiedy będę flamingiem - zapowiada Margot - cały dzień będę chodzić po wodzie.

- Kiedy ja będę flamingiem - oznajmiam - będę latać nisko nad taflą wody, oglądając błyskające iskierki.

- Kiedy będę flamingiem? - mówi Mamunia i wybucha śmiechem, jakbyśmy opowiadały dowcipy.

Skrećamy, oddalając się od wody i teraz widać turbiny wiatrowe kręcące skrzydłami na wzgórzu. Obracają się prawie jednocześnie, ale nie tak równo jak dzieci w naszym zeszłorocznym przedstawieniu w przedszkolu. Wiatraki wydają się mniejsze z tej odległości, ale nadal napełniają mnie spokojem. Pagórki też wyglądają inaczej - skaliste części lśnią w promieniach słońca i zdają się niemal białe, przez co sprawiają wrażenie przyjaźniej szych. Ciemna zieleń pomiędzy bielą wygląda groźniej.

Mijamy chatkę, przed którą na stołeczku siedzi kobieta, a za nią piętrzy się stos arbuzów. Jeden z owoców jest prze-

cięty na pół, ukazując ciemnoróżowe wnętrze, piegowate od pestek, i wygląda niezwykle orzeźwiająco.

- Oj, mogłybyśmy? - wyrywam się, zanim zdążę przemyśleć prośbę. - Kupimy arbuza?

Mamunia prycha.

- Nie sądzisz, że wystarczy atrakcji jak na jeden dzień, Piwonio? - rzuca ostro. - Nigdy ci nie dość?

- Pea, no wiesz! - szepcze Margot. Zamykam oczy i nie otwieram ich do końca podróży.

Planuję. Kiedy dojedziemy do domu - myślę sobie - Mamunia pójdzie na górę, żeby się zdrzemnąć, a ja i Margot pognamy na dolną łąkę, żeby opowiedzieć Claude'owi o naszym przedpołudniu. Będzie chciał obejrzeć moje muszelki i zapyta o głębokość dołu, który wykopałam (bardzo głęboki) i jak piękny był zamek, który zbudowałam (bardzo piękny). Zdamy mu relację z przebiegu naszego wyzwania i powiemy, że musimy jeszcze więcej posprzątać, żeby uszczęśliwić Mamunię. Merlin polize mi dłoń, a Claude będzie taki dumny.

Claude i Merlin siedzą pod morwą. Pies wstaje, gdy tylko słyszy, że się zbliżamy.

- Witaj, Pea - mówi Claude. - Jak się dzisiaj miewasz?

- Świetnie - informuję.

- A jak się ma moja mała Margot?

Margot akurat udaje nieśmiałą, więc odpowiadam za nią:

- Margot też ma się świetnie. A co u ciebie?

To teraz nasza codzienna rutyna. Claude pyta, jak się mam, a ja mówię, że świetnie. Zawsze pyta też o samopoczucie Margot, ona milczy, ale ja odpowiadam za nią. A potem my pytamy Claude a, co u niego, a on zawsze ma dla nas inną odpowiedź. Dziś mówi: „Mam brzoskwinie!”, co jest bardzo zabawne, więc wybuchamy śmiechem.

- Gdzie? - dopytuję.

- Co „gdzie”?

- Gdzie ta twoja brzoskwinia? Teraz i Claude się śmieje.

- Tutaj, o - mówi i wskazuje za swoje ucho. Claude jest pocieszny.

- Zgadnij, gdzie byłyśmy! - wołam. Claude kręci głową.

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale wygląda na to, że zabawa była przednia.

Margot udaje morze, naśladując szumiący dźwięk fal.

- Podpowiem ci - mówię. - To miejsce zaczyna się na literę „P”.

- Pustynia? - zgaduje Claude. - Parówki?

- Parówki to nie miejsce - śmieję się.

Claude wyciąga rękę i strzepuje piasek z mojej nogi.

- Jesteś pewna, że nie chodzi o pustynię? - pyta. -Z całą pewnością pełno tam piasku.

Wyraźnie zaznacza każde „P”, wydymając usta.

- Cóż - odzywa się wreszcie - powiedziałbym „morze”, ale to nie zaczyna się na „P”...

- Na plaży! - krzyczę. A Margot dodaje: - Właściwie to trudna zgadywanka, bo po angielsku.

- Wspaniale - mówi Claude. Ale na jego twarzy wcale nie maluje się radość.

- Nie lubisz morza? - pytam.

- Kiedyś je uwielbiałem. - Claude urywa, bo Merlin przeszkodził mu, trącąc go nosem i liżąc jego dłoń, jakby była gałką lodów. Mężczyzna drapie długą, rudą sierść na psim karku i odzywa się do zwierzaka: - Dziękuję, wiem.

- Merlin nie potrafi mówić! - zauważa Margot.

- Co ci powiedział Merlin? - pytam Claude'a.

- Och, on też lubi plażę - zdradza Claude. - Ale nie latem. Za gorąco i zbyt tłoczno.

- Dzisiaj jest straszny upał.

- Właśnie. Mamy *canicule* - mówi Claude.

- Wiem - chwali się Margot.

- Wkrótce minie. - Claude głaszcze psa po karku. -Merlin będzie zadowolony, co, malutki?

Merlin ziewa w odpowiedzi.

- A wiedziałaś, że słowo *canicule* znaczy „mały piesek”? - serwuje ciekawostkę Claude.

- Merlin jest dużym psem, nie małym pieskiem -mówi Margot.

- Czy małym pieskiem robi się bardzo gorąco? - dopytuję z ciekawością.

Claude uśmiecha się tym swoim krzywym uśmiechem.

- Mama czuje się lepiej?

- Dziś miała chyba dobry dzień. Chciałabym, żeby zawsze tak było.

- To dobry znak - wyrokuje Claude.

- To dzięki temu, że pozamiatałam podwórko, a Margot odkurzyła powietrze.

- Rozumiem. A ty? U ciebie wszystko dobrze?

- Mamy się świetnie, dziękuję. Claude znów się uśmiecha.

-Co?

- Kogoś mi przypominasz - mówi.

- Chcesz pojechać z nami następnym razem? - zapraszam go.

- Nie mogę - odmawia Claude.

- Szkoda. Chciałabym, żebyś mógł.

- Masz sporo marzeń, prawda? Chcesz poszukać przynoszących szczęście koniczynek, żeby życzenia się spełniły? - wpada na pomysł Claude.

- O, tak, bardzo chcemy! - wołamy jedna przez drugą i od razu ruszamy w dół, do miejsca, gdzie rośnie koniczyna, ale zaraz zatrzymuję się i dalej idę już powoli, bo wciąż boli mnie noga.

- Hej! O co chodzi?

Patrzę w dół na spuchniętą stopę.

- Kulejesz - zauważa Claude.

- Ty też - mówi Margot. - Jesteście prawie jak piraccy bliźniacy.

- Co się stało?

- Ty też kulejesz - odbijam piłeczkę. - Co tobie się przydarzyło?

- Ty pierwsza - mówi Claude.

- Skorpion mnie ukąsił - zdradzam.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Gdzie?

- Na schodach do kuchni. Wydostał się ze słoika.

- O nie, Pea, dlaczego trzymałaś skorpiona w słoiku? Nie chcę, żeby dał mi burę.

- Margot go tam wsadziła.

- Wcale nie! - oburza się Margot.

- Właśnie, że tak - upieram się. Margot posyła mi mrożące spojrzenie, ale myślę, że wie, dlaczego nie chcę denerwować Claude'a, więc zamyka buzię, kopiąc trawę czubkiem różowych sandałów.

- Po co Margot zapakowała skorpiona do słoja? - drażny temat Claude.

- Nie pamiętam.

- Gdzie jest teraz ten skorpion?

- Mamunia zabiła go butami Tatusia i butelką szamponu.

- Poważnie? - Brwi podskakują Claude'owi aż na czoło.

- Więc jak to było z tobą? - nie odpuszczam. - Tak naprawdę nie było żadnego tygrysa, co?

- Uderzył mnie samochód - wyjawia Claude.

- Powinieneś się zatrzymać przed jezdnią, rozejrzeć się i nasłuchiwać - poucza Margot.

- Przechodziłeś przez ulicę? - pytam. - Nie popatrzyłeś, czy nic nie jedzie?

- Nie, to nie było tak. Siedziałem za kierownicą i uderzyło w nas inne auto. Jechało za szybko.

- Trafiłeś do szpitala?

- O, tak, na bardzo długo.

- Na zastrzyki? Claude śmieje się.

- Mnóstwo zastrzyków, tak. Lekarze musieli też poskładać moje złamane części.

- Ale już cię naprawili?

- W zasadzie tak.

- Gdzie masz jeszcze nieposkładane części? Claude milczy z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

- Skończ już z tymi pytaniami - karci mnie Margot scenicznym szeptem.

- Przepraszam - bąkam.

- W porządku - mówi Claude. - To nie twoja wina. To dla mnie smutny temat.

- Dlatego, że twoja noga dziwnie się rusza? - dopytuję.

- Nie, to mnie akurat nie smuci - odpowiada Claude.

- Więc dlatego, że masz ten śmieszny łysy placek na głowie? - docieka Margot.

- To może dlatego, że słyszysz nas tylko, kiedy podnosimy głos? - zgaduję.

- Prowadzisz rejestr moich niesprawnych części? - Claude uśmiecha się krzywo.

- Nie - zapewniam, kręcąc głową. - Nie dałabym rady, bo nie najlepiej idzie mi pisanie. Litery wykręcają się zawsze w złą stronę.

Zatrzymujemy się, bo doszliśmy do kępy koniczyny i wszyscy troje siadamy pośród zieleni.

- W zasadzie ledwo co słyszę - wyznaje Claude. -To fakt, ale Merlin w dużym stopniu wyręcza mnie w słuchaniu dźwięków.

- Umie odebrać telefon? - pyta Margot.

- I w sercu wciąż czuję ból - kontynuuje Claude, zwracając się do trawy.

- Jak Merlinowi udaje się podnieść słuchawkę łapami? - Kwestia telefonu bardzo mnie zaciekała.

Claude marszczy brwi. Wygląda na zmieszanego.

- Nie rozmawiamy z nikim przez telefon.

- Czy Merlin mówi po francusku?

- Cóż, w zasadzie wcale nie mówi, ale słucha. Na przykład kiedy słyszy, że się zbliżasz, szczeka, więc wiem, że idziesz. Ostrzega mnie też, kiedy przechodzimy przez ulicę albo gdy ktoś puka do drzwi, choć to akurat rzadko się zdarza.

- A teraz, kiedy rozmawiamy? - pytam.

- Troszkę słyszę, ale przede wszystkim czytam z twoich ust. Margot zatyka uszy palcami i mówi:

- No, dalej, powiedz coś!

Ja też zasłaniam uszy i wpatrujemy się w wargi Claude'a, starając się dostrzec, jak wyglądają słowa, kiedy ich nie słychać.

Jego usta poruszają się, ale nie pojawiają się kształty liter ani słów. Są tylko otwarcia i zamknięcia.

- Nie działa - stwierdzam zawiedziona.

- Trzeba się przyzwyczaić - mówi Claude. Oglądam jego ucho, błyszczące i wygięte.

- Nie prościej byłoby naprawić ci ucho? - sugeruję.

- Nie wszystko, co zepsute, da się naprawić - zwiesza głowę Claude.

- Na przykład złamane serce - wymyśla Margot. Czytała o mieszkającej w wieży Roszpuncie, którą mamusia oddała jako dzidziusia złej wiedźmie w zamian za kilka sałat, ale pękło jej wtedy serce.

- Masz złamane serce? - pytam.

- Miałem - wyznaje Claude. - W szpitalu nie znają na to lekarstwa. Ale bywa, że czas leczy rany.

Claude zagląda do torby i oferuje mi wodę ze swojej butelki. Biorę kilka dużych łyków.

- Margot? - proponuje. Margot kręci głową.

- Margot lubi mleko, nie wodę - informuję. - Może też być lemoniada. Ale dziękuję.

Claude wpatruje się w kępę koniczyny, po czym sięga w zielen i zrywa łydkę z czterema doskonałymi listeczkami. Podaje mi skarb.

- Proszę - mówi. - Pomyśl życzenie. Jeszcze raz zanurza rękę w zieleni.

- Dla ciebie też znajdę, Margot - obiecuje.

Wbijam wzrok w koniczynkę.

- Marzę, aby...

- Ćśśś! - ucisza mnie Claude. - Jeśli wypowiesz życzenie na głos, nie spełni się.

- Claude - odzywam się po chwili. - Czy moja noga już zawsze będzie kulawa jak twoja, nawet kiedy będę taka stara jak ty?

- Skądże! Na początek roku szkolnego noga będzie jak nowa. Masz już buty do szkoły?

Kręcę głową.

- Pewnie kupicie, jak już dzidzius przyjdzie na świat. Margot staje na jednej nodze.

- A tobie co? - pytam ją. - Masz sprawne nogi!

- Zgadza się - przytakuje Margot. - Moje nogi są lepsze od twoich.

- To dlaczego tak stoisz?

- Jestem flamingiem - oznajmia. - I mogłabym tak stać przez sto lat.

Rozdział 12

Budzę się głodna, spragniona i spocona. Widzę, że jest jeszcze bardzo wcześnie, bo niebo dopiero się rozjaśnia, ale nawet o tej porze jest już zbyt gorąco, by zostać w łóżku. Kołdra leży na podłodze, gdzie skopałam ją zeszłej nocy, a na wierzchu wala się piżama. Otwieram okno, żeby wpuścić choć trochę powietrza, zanim słońce stanie wyżej na niebie.

- Dziś znowu mały piesek - informuję Margot.

- Taki hot dog - odpowiada i śmiejemy się z jej żartu. Ustawiam się na czworakach i zaczynam dyszeć i ujadać, ale nagle przypominam sobie, że przecież Mamunia jeszcze śpi, więc szybko wstaję.

- Powinnyśmy dziś znów coś wysprzątać - proponuję.

- Dobrze - zgadza się Margot. - To ubieraj się.

Ale słyszę na zewnątrz samochód Sylvie, więc pędzę na dół, by się przywitać i odebrać pieczywo.

- Dzień dobry! - wołam.

- Dzień dobry, Pivoine - mówi Sylvie. Ma usta różowe od szminki, przez co wargi wyglądają na poszczerbione, jak u potwora, bo szminka cała się pomarszczyła. Sylvie podaje mi dwie bagietki i od razu wgryzam się w jedną z nich.

- Nie zapomniałaś o czymś? - zwraca mi uwagę.
- Dziękuję - mówię szybko.
- Tak, to też, dziękuję. - Sylvie patrzy na mnie uważnie. -
Ale...

- Powinnyśmy dziś zapłacić? - pytam. Zastanawiam się, czy w kuchni znajdę jakieś pieniądze zostawione przez pana od brzoskwiń.

- Nie, nie dzisiaj. Ale Pivoine, gdzie twoje ubranie?

- A, dziś się jeszcze nie ubrałam. Zajmę się tym po śniadaniu -
zapewniam.

Odkręcam kurek i kucam przy kranie, łącząc dłonie i pijąc lodowatą wodę z jeziora, z którego już wycieka cenna ciecz.

- Pivoine, to niezbyt elegancko - poucza Sylvie.

- Przecież jesteś panią - mówię. - Więc co za różnica, czy mam na sobie ubranie.

- Chodziło mi o picie prosto z kranu. Pijemy z filizanek.

- Tak, my też - zapewniam - ale do kranu w kuchni jeszcze nie sięgam.

- Gdzie twoja mama?

- W łóżku - informuję ją. Zastanawiam się, dlaczego ludzie w kółko zadają te same pytania. - Mamunia jest zmęczona, bo dzidzius przez całą noc urządza sobie gimnastykę i...

Sylvie przerywa mi w pół zdania.

- Co ci się stało w nogę? - pyta, kucając przy mojej spuchniętej, czerwonej kostce.

- Skorpion mi to zrobił.
 - Skorpion?
 - To była moja wina, bo zapakowałam go do słoika.
 - Mama pozwoliła ci złapać skorpiona do słoika?
 - Mamunia nic nie wiedziała, była w łóżku.
 - Czy twoja mama w ogóle wstaje z tego łóżka? Mogłabyś ją zawołać, bardzo proszę?
 - Nie mogę jej zbudzić. Sylvie wygląda na zaskoczoną.
 - Nie możesz jej zbudzić? A próbowałaś?
 - Nie. Ale potem sama się zbudzi. Kiedy dzidzius wstanie.
 - Dzidzius?
 - Ta Sylvie jest chyba trochę tępa - szepcze Margot.
 - Cicho! - uspokajam ją. A Sylvie wyjaśniam cierpliwie: - Dzidzius w jej brzuchu.
 - Aha - mówi Sylvie.
 - Ten nowy - tłumaczę, na wszelki wypadek, gdyby jeszcze nie rozumiała. - Nie ten, co umarł.
- Wyszminekowane usta Sylvie otwierają się, ale przez długi czas nie wydobywają się z nich żadne słowa. Wreszcie odzywa się:
- Wszystko u ciebie dobrze?
 - Mamy się świetnie, dziękuję - odpowiadam. - A ty?
 - Miałam na myśli tylko ciebie. Jestem pewna, że mama umie się o siebie zatroszczyć.
 - Mamy się świetnie.
 - Jesteś głodna?

- Byłam - mówię. - Ale teraz mam już pieczywo.
- Może powinnam zapukać do drzwi i porozmawiać z twoją mamą?
- Nie! - Odmowa wymyka mi się w postaci krzyku i zaraz tego żałuję. - Przepraszam. Ale nie rób tego. Mamunia nie lubi, żeby ją budzić.
- W takim razie przekażesz jej wiadomość? Sylvie wyklada dla nas trzecią bagietkę. -To za dużo - irytuje się Margot.
- To na wypadek, gdybyś później zgłodniała - wyjaśnia Sylvie. - A teraz może jednak idź coś na siebie założyć. I powiedz mamie... a w zasadzie nic nie mów.
- Dobrze - odpowiadam. - Do widzenia!
- Dzień dobry - mówi Mamunia, wychodząc bosą na nasze podwórko.
- Przepraszam. Zbudziłyśmy cię?
- Nie, w porządku. Dzidziusiowi chyba podobało się nad morzem. Nie fikał zbyt w nocy.
- Powiedz coś miłego. - Margot jest tuż za mną i syczy mi do ucha.
- Mi też podobało się nad morzem, Mamuniu - mówię. - Dziękuję, że nas zabrałaś.
- Nie ma za co, Pea. A teraz mam dla ciebie zadanie.
- Naprawdę?
- Tak, naprawdę. Będę szykować sałatkę, więc w zasadzie mam dla ciebie nawet dwa zadania.

- Jakie?

- Pierwsza misja to wyruszyć na poszukiwania mięty, potrzebuję jakichś dwóch garści. Wiesz, jak wygląda mięta, prawda?

- Pewnie, że wiem!

- Świetnie. Po drugie, jeśli zajrzysz do spiżarki, znajdziesz tam duży worek grochu, który kupiliśmy na targu. Chciałabym, żebyś wyłuskała wszystkie ziarenka ze strąków i wsypała je do cedzaka. Strąki możesz dać kurom. Poradzisz sobie ze wszystkim?

- Jak najbardziej - zapewniam.

- Ale najpierw - mówi Mama - idź się ubrać i włóż kapelusz na głowę.

- Dobrze, Mamuniu.

- Ach, Pea? -Tak?

- Nie wyjedź całego grochu, mój Groszku! Mamunia z uśmiechem wraca do domu wypić kawę.

Zebrana mięta leży na stole, a durszlak jest już w połowie wypełniony świeżym, słodziutkim groszkiem. Zbliżamy się już do dna papierowej torby ze strąkami, kiedy na ścieżkę podjeżdża samochód Mami Lafont.

Mamunia nie mówi z językiem odpowiednim do tych stron, a przynajmniej nie radzi sobie najlepiej. Teraz staje w progu kuchni, blokując drzwi jak strażnik, złościąc się swoim śmiesznym francuskim. Krzyczy na Mami Lafont.

Stoją obie z rękami skrzyżowanymi na piersi i prawie spodziewam się, że za chwilę wezmą rozbieg i zderzą się brzuchami. Brzuch Mami Lafont nie kryje w sobie dzidziusia, ale i tak jest całkiem spory. Margot i ja zostałyśmy odesłane do domu, więc siedzimy na schodach, obserwując kłótnię.

- Nie możesz sobie tak po prostu wchodzić do mojego domu! - mówi Mamunia swoim złym głosem.

- Twojego domu? - prycha Mami Lafont. - To nigdy nie był twój dom.

- Byłam żoną Amaury ego - odzywa się Mamunia - w każdym aspekcie, z wyjątkiem nazwiska. Nawet nie próbuj mi tego odebrać.

- Zasługiwał na coś lepszego niż ty. - Mami Lafont wypluwa słowa jak kwaśne jabłko.

- Zostaw mnie w spokoju. Nie sądzisz, że dość mam w tej chwili na głowie? - Głos Mamy przechodzi w krzyk.

- Lepiej załatwić to teraz - mówi Mami Lafont - niż przeprowadzać się z niemowlakiem. Dlaczego nie wrócisz do siebie? Nie pasujesz tu, nie widzisz tego?

- Co ty wiesz o tym, gdzie ja pasuję? Tu jest mój dom, głupia kobieto! - wyrzuca z siebie Mamunia. - To jest nasz dom.

- Chodźmy na górę - szepcze do mnie Margot. Pomysł jest dobry z dwóch powodów. Po pierwsze,

Mamunia sprawia wrażenie naprawdę wściekłej i lepiej, żebyśmy nie plątały się jej pod nogami, gdy zakończy się wymiana zdań. Po drugie, jeśli wychylimy się z okna, bę-

dzie lepiej widać. Pędem pokonujemy schody i rzucaamy się otwierać okiennice.

- Sama sobą nie umiesz się nawet zaopiekować! - słyszymy głos Mami. - I co to za bałagan w stodole? Pełno zgniłych owoców, wszędzie kłębią się osy i mrówki, traktor Amaury'ego cały w tym świństwie. Czyś ty zwariowała?

- Chcę, abyś natychmiast stąd wyszła. - Głos Mamuni brzmi obojętnie.

- Brigitte wychodzi za mąż. Będzie nam potrzebna farma - ciągnie niezrażona Mami Lafont. - Dla ciebie gospodarstwo jest o wiele za duże. Tyle pokoi stoi pustych i się marnuje.

- A ja gdzie niby mam się podziać? Wiem, że masz w nosie mnie i Piwonię, ale chcesz pozbawić dachu nad głową własnego wnuka?

- Nie mam wnuków. - Mami uśmiecha się jak ktoś, kto nie chce, żeby mu pstryknęli zdjęcie.

- A to kto? - Mamunia wskazuje na brzuch.

- Cóż - mówi Mami Lafont - to się jeszcze okaże. Ale co zamierzasz zrobić z farmą? Nie dasz rady uprawiać ziemi. Co zrobisz, gdy wyczerpią się pieniądze w banku?

- Znajdziemy rozwiązanie - oznajmia Mamunia. - Nie twoja sprawa.

- Joanno - ciągnie Mami Lafont. - Co z ciebie w ogóle za matka? To dziecko dziczeje. Pije wodę z kranu na podwórku jak jakaś dzikuska. Od miesiący nikt nie ściał jej włosów. Nawet jej porządnie nie karmisz.

- Skąd niby wiesz, jak dbam o swoją córkę? - pyta Mamunia. - Nie widuję cię w pobliżu.

- W wiosce wszędzie są oczy i uszy - odpowiada Mami.

- Oczy i uszy wszędzie! - mówi Margot.

- Na drzewach! - podpowiadam.

- Na ścianach! - podchwytuje Margot.

- Na niebie - dodaję. - Latają sobie wkoło razem z ptakami.

Ale wtem słyszę, jak Mamunia mówi „Au!”. Wychylam się jeszcze odrobinę, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale wtedy Mami Lafont mnie dostrzega i patrzy w górę. Grozi mi tym swoim kościstym palcem.

- Na dowód tego, że mam rację - rzuca - to dziecko zaraz wyleci przez okno, jeśli nie będziesz na nie uważać.

Mamunia robi kilka kroków w głąb podwórka, zmuszając Mami Lafont do cofnięcia się. Mama trzyma się za brzuch i pochyla się lekko. Jest blada jak ściana. Wykręca szyję, by na mnie spojrzeć.

- Piwonio!

- Przepraszam. - Cofam się i wpełzam tyłem przez parapet z powrotem do pokoju. Staję przy oknie, nadstawiając uszu, żeby nie uronić ani słówka. Mamunia zaczęła krzyczeć po angielsku, co wydaje się bardzo dziwne, bo dla Mami Lafont to język całkiem obcy.

- Nie dam rady! - wrzeszczy. - Zostaw mnie! Idź stąd! Zapada cisza. Po minucie słyszę warkot silnika w aucie Mami Lafont i huk drzwi do domu. Serce wali mi jak

młotem. Łup, łup, pod koszulką. Na schodach słyhać powolne człapanie bosych stóp i trzaśnięcie kolejnych drzwi. Potem dom pogrąża się w ciszy, ale wykrzyczane podczas kłótni słowa dudnią mi w głowie.

- No, proszę - mówi Margot.

- Co? - pytam.

- *Tante* Brigitte wychodzi za mąż. - Głos Margot drży z ekscytacji. - Będziemy druhnami!

Czuję, jak rzucone w gniewie słowa i całe mnóstwo pytań ciążą mi w brzuchu niczym kamyki. Jednak z każdym krokiem, który oddala mnie od domu, robi mi się lżej, więc idziemy prosto, nie zbacząc ze ścieżki, żeby było szybciej. Kłótnia nie zrobiła żadnego wrażenia na Margot - myśli tylko o weselach.

- Jakie będziemy miały sukienki? - zastanawia się.

- Dlaczego tak się na siebie złością? - pytam.

- Chyba powinniśmy też nieść kwiaty. Dużo różnych kolorów.

- Dlaczego Mami powiedziała, że nie ma wnuków? Zapomniała o nas?

- Czasem druhnny dostają prezenty - oznajmia Margot.

- Prezenty? Jakie?

- To zależy, o czym marzysz - odpowiada. - Chodź, musimy znaleźć więcej szczęśliwych listków. Trzeba się pospieszyć z wypowiedaniem życzeń, zanim dorośli podejmą całą masę fatalnych decyzji. Potrzebujemy jednej koniczyny na każde marzenie. Pospiesz się!

Idziemy tak szybko, na ile pozwala moja wciąż jeszcze obolała noga, w dół, obok osiołków. Wskakujemy w poletko koniczyny i padamy na brzuszki, zanurzając nosy w kwiatkach. Margot sprawdza każdą łodyżkę. Przeczesuje palcami kępę koniczyny, ogląda każdą roślinkę. Jest bardzo delikatna, przesuwa paluszki leciutko po listkach, ledwo się poruszają. Jest specjalistką od takich zabaw. Jednak dziś nie idzie jej najlepiej.

- Jak igła w stogu siana! - naburmuszą się. Prowadzimy długie poszukiwania, ale nie znajdujemy

ani jednej koniczynki do spełniania marzeń. Zaczynam się martwić, że moja sukienka druhny będzie błękitna albo w jakimś jeszcze gorszym kolorze, i że w prezencie dostanę skarpetki lub zeszyty w linię.

- Trudno, Pea, chodźmy - Margot w końcu się poddaje. - To nie nasz dzień na marzenia. Ale mam ci coś do pokazania.

- Co takiego? - pytam.

- Poczekaj, to zobaczysz.

- Powiedz!

- Jeszcze się nie zdecydowałam, ale to coś świetnego... Więc przenosimy się, podskakując, nad strumień.

- Tutaj! - woła wreszcie.

- Co takiego?

- To - przedstawia Margot z dumnie uniesioną głową, rozkładając szeroko ręce i wskazując na pień drzewa oraz leżącą na ziemi srebrną brzozę, łąkę trawy i kępę mleczy. - Tutaj mieszkają wróżki.

- Naprawdę? Wróżki? Jakie one są?

- Podejź i zobacz sama - zaprasza Margot. - Wróżki są maleńkie, jak tyci stokrotki. Noszą żółte lub zielone sukienki, więc nie rzucają się w oczy. To się nazywa kamuflaż i jest po to, żeby nie padły ofiarą większych stworzeń, takich jak pająki czy jaszczurki. Ale oznacza to również, że musisz się tu bardzo ostrożnie poruszać. Najlepiej byłoby w ogóle tędy nie chodzić. Poza tym wróżki są nieziemsko piękne. Mają rude włosy, spływające im po plecach jak kurtyna i oczy jak mini kalejdoskopy, niebieskie, zielone i błyszczące. Są bardzo miłe, gotują pyszności, a z ich twarzy nie znika uśmiech.

- A śpiewają? - pytam.

- Bez przerwy śpiewają - zapewnia Margot. - Nie słyszysz tego?

Słyszę kukułki, synogarlice i wróble. Odzywa się nawet wilga. Nigdy żadnej nie widziałam, bo są bardzo nieśmiałe, ale poznaję ich melodię, bo Mamunia mnie nauczyła. Wrózek jednak nie słyszę.

- No dobrze - mówi Margot. - Wyciągnij ręce. - Trzyma ręce złożone jak zamknięte pudełko, jakby coś tam dla mnie miała.

Wyciągam złączone dłonie, tak, żeby mogła mi wręczyć to coś.

- Proszę - mówi Margot, przekładając w moje ręce zawartość swoich rączek. - Wróżka. Tylko ostrożnie!

Zamykam dłonie. Czuję, jak wróżka rusza się pod moimi palcami - leciutka, łaskocząca, biała.

- Chce, żebyśmy ją zaniósły do dziewczęcego gniazdka, żeby mogła tam zamieszkać - zdradza Margot.

- Naprawdę?

- Tak, bo to gniazdkowa wróżka. Od dawna na to czekała. Bardzo trudno pokonuje się potok po kamiennych stopniach z dłońmi złożonymi w pojemniczek, choć niby ręce nie mają nic wspólnego z nogami.

- Nie mogłabym jej nieść na barana? - pytam, ale Margot twierdzi, że nie. Postanawiam więc przejść na drugą stronę jak Claude i zanurzam sandałki w zimnej wodzie. Będę musiała je schować przed Mamunią, dopóki nie wyschną. Chłód wody przynosi jednak taką ulgę zgrzanym stopom, że zastanawiam się, dlaczego w ogóle męczyłam się z chodzeniem po kamieniach.

Jestem bardzo zajęta organizowaniem dziewczęcego gniazdka. Wróżka ma nowe łóżeczko w puszcze po ciasteczkach, bo tam najbardziej jej się podobało, więc zrobiłam na nie miejsce, przesuwając niektóre z okazów i skarbów. Posprzątałyśmy też liście, więc w gniazdku aż lśni - tak wypada, skoro mamy gościa. Siedzę i rozmyślam o porannej kłótni w domu, kiedy nagle coś szeleści na dole. Wyglądam przez krawędź gniazdka. W cieniu siedzi Merlin, zamiatając ogonem. Każde merdnięcie szura głośno. Pies nie nadawałby się do zabawy w chowanego.

- Witaj, Merlinie! - wołam. - W naszym gniazdku zamieszkała wróżka!

Nigdzie nie widzę Claude'a.

- Claude! - kieruję głos ku ziemi.

- Tak, Pea? - odzywa się i porusza stopami, zakamuflowanymi dotąd w trawie. Musiał się podkraść niepostrzeżenie. Claude byłby mistrzem gry w chowanego.

- Masz babcię? - pytam jego wystające stopy. Claude się śmieje. Merlin obraca się w koło trzy razy, jakby wykonywał magiczne zaklęcie, po czym z westchnieniem kładzie się w trawie u stóp pana.

- Babcię? - pyta Claude. - Nie, już nie mam, mała pchełko. Umarła bardzo dawno temu. Ale kiedyś miałem dwie.

- Po czym poznać, że ma się prawdziwą babcię? - wołam z góry.

- Prawdziwą? Cóż, *mami* to mama twojej mamuni albo mama twojego tatusia. Często robi przetwory i nosi fartuszek. - Claude układa się tak, żebym dobrze go widziała. Uśmiecha się. - Zwykle zasypują cię gradem buziaków. Dlaczego pytasz?

- Och - mówię. - Ja mam tylko jedną babcię i w dodatku nie wiem, czy jest prawdziwa.

Claude mocno zaciąga się papierosem i rzuca go w trawę. Ostatnia smużka dymu wije się w górę, do naszego gniazdko. Wciągam ją nosem. Polubiłam już zapach dymu Claude'a.

- Robi przetwory? - zaczyna dochodzenie Claude.

- Tak - przyznaję. Rzeczywiście, ciągle je robi, widziałam u niej w kuchni mnóstwo dżemów w słoikach z niewłaściwymi etykietami. - Ale nie zasypuje mnie gradem buziaków.

- Chciałabyś, żeby całowała cię częściej? Zastanawiam się nad tym i kręcę przecząco głową.

- Nie - odpowiadam. - Bo ma wiedźmowate ręce i nigdy nie częstuje nas ciastkami.

- W takim razie wszystko w porządku - wyrokuje Claude. - Zdecydowanie jest babcią, a kwestia całusów w tym wypadku się nie liczy. Na pewno ma fartuch, jak wszystkie babcie.

- Dlaczego ludzie się całują? - pytam. Claude wybucha śmiechem.

- *Uuu la!* - mówi.

- Właśnie, dlaczego? - podchwytuje Margot.

- Cóż, ludzie całują się, kiedy się lubią - tłumaczy Claude. - Poza tym na dzień dobry i do widzenia.

- To dlaczego Mami nas nie całuje?

- Może nie lubi całusów?

- A ty? Lubisz całusy?

Claude otwiera szeroko oczy i usta, ale nie wydostaje się z nich żaden dźwięk, jak u Sylvie. Wygląda to bardzo zabawnie, więc też próbuję zrobić taką minę, ale jakoś mi z tym niewygodnie.

- Powiedz coś więcej o waszej wróżce - prosi Claude.

- Chyba nie dosłyszał - mówi Margot. - To przez tę jego dziwną głowę.

- Masz rację - przyznaję i zlążę na dół z gniazdka, bo czekam na odpowiedź na moje ważne pytanie.

Claude patrzy, jak moje sandałki ślizgają się na stopniach drabinki.

- Dlaczego masz mokre buty? - pyta.

- Niosła wróżkę - odpowiada za mnie Margot - więc nie mogła utrzymać równowagi na kamieniach.

- Nie chciałam upuścić wróżki do rzeki - odpowiadam sama.

Claude kiwa głową ze zrozumieniem, ale tak naprawdę nie wiem, czy uznaje zbieranie wróżek i chodzenie po strumyku w sandałach za niegrzeczne czy nie.

- Wzięłam tylko jedną - dodaję.

Pokazuję Claude'owi, jak chodzi się z dłońmi zamkniętymi w pudełeczko, i że jeśli spróbuje się w ten sposób przejść po kamieniach - udaję, że w wysokiej trawie są kamienne stopnie - człowiek cały się chwieje.

- Uważaj w tym potoku - przestrzega Claude. - Jest ślisko. Najlepiej przechodzić po kamieniach. Może następnym razem włóż wróżkę do jakiejś torebki.

- Świetny pomysł - chwali Margot.

- Nie przyszło mi to do głowy - przyznaję.

- Tak czy inaczej - mówi Margot - zeszliśmy na dół spytać cię o całowanie.

- Właśnie! - podchwytyję. Siadam i opieram się o Merlina, od którego bije wyjątkowe ciepło. - Dlaczego ty nie całujesz nas na powitanie i pożegnanie albo dlatego, że nas lubisz?

- Nie lubisz nas? - docieka Margot.

- My cię lubimy - zapewniam.

Claude podciąga kolana i drapie plecami o korę, jak niedźwiedź, którego swędzi futerko.

- Oczywiście, że was lubię - mówi. - Uważam, że jesteście sprytnie, wesołe, miłe i grzeczne. Ale to nieładnie, kiedy dorosły całuje dziecko pod nieobecność jego rodziców. Taka jest zasada.

- Ale Mamunia jest zawsze nieobecna.

- Właśnie - kiwa głową. - To właśnie dlatego.

- A gdybyśmy posyłał buziaki? - pytam.

- Dobrze - zgadza się Claude. - To możemy robić. Mimo że sama na to wpadłam, pomyśl i tak nie poprawia

mi humoru. Posłany buziak to nie to samo co prawdziwy. Przytulanie i całowanie powinno być czymś autentycznym, nie podmuchem powietrza. Mam dość podmuchów powietrza, braku przytulania i braku całusów. Jestem zaskoczona własnym gniewem, rosnącym we mnie jak czarny balon, aż chce mi się krzyżeć. Nie chciałabym jednak zdenerwować Claude'a i Merlina, więc postanawiam zniknąć.

Wiedzieliście, że jeśli macha się rękami bardzo, bardzo szybko, to przestaje je być widać? Poruszają się tak szybko, że stają się niewidzialne. Zastanawiam się, czy można tak zrobić z całą osobą. Wstaję i zaczynam machać dłońmi, ramionami, potrząsam głową, szybciej, coraz szybciej. Potem rzucam się biegiem, prędej i prędej przez wysoką trawę, z dala od Claude'a, w stronę Mamuni, ale tak naprawdę mam nadzieję, że uda mi się zniknąć gdzieś po drodze.

Siedzimy z Margot przy stole. Nie zniknęłam po drodze do domu i w końcu tak się zadyszałam od szybkiego bie-

gu, że zatrzymałyśmy się nazbierać kwiatki. Wróciłyśmy z kieszeniami pełnymi stokrotek i koniczyn dla Mamuni. Teraz układamy rośliny na brzegu talerza. Będzie mogła zjeść z niego kolację, kiedy się zbudzi. My jesteśmy zbyt głodne, żeby czekać, więc siedzimy przy stole, jedząc chleb, dość już twardy, ale nałożyłyśmy oba rodzaje dżemu, więc jest całkiem chrupiąco-lepko niezły. Zanurzam właśnie łyżkę w dżemie - bo to najsmaczniejszy składnik - ale nie patrzę, co robię. Pozwalam oczom błądzić po kuchni, przez światło z drobinkami kurzu i chłodne, ciemne cienie, poprzez brudne podłogi i spryskane sosem pomidorowym ubrania wiszące nad naszymi głowami. Dzięki temu, że nie wbijam wzroku w dżem, zauważam drgnięcie kraciastej zasłonki, która wisi pod zlewem, żeby zasłonić miejsce, gdzie Mamunia trzyma rzeczy do sprzątnięcia. Nie wolno nam ich dotykać, ale czasem, kiedy zdarzy mi się coś wylać, biorę szmatkę i taki płyn z kwiatkami na butelce, który szczypie mnie w oczy, i sprzątam, zanim Mama się zorientuje. Tylko że płyny do czyszczenia nie powinny się poruszać i powodować drgania zasłonek. Zrywam się z miejsca, zgrzytając ławą o płytki podłogi, i zasłonka znów się rusza. Coś małego i ciemnego czmycha szybko wzdłuż ściany.

Aż podskakuję, ale potem widzę istotę w całej okazałości, kiedy prześlizguje się przez szczelinę między ścianą a drzwiami do spiżarni. To mała, brązowa myszka, z wąsikami i ogonkiem.

- Złapmy ją! - woła Margot. - Będzie naszym ukochanym zwierzątkiem.

- Już zapomniałaś o skorpionie? - oburzam się. - Oj, Margot, czasem potrafisz być bardzo nieodpowiedzialna!

- Ale myszy nie są jadowite - zauważa.

- Czym byśmy ją karmiły?

- Można by spróbować chlebem - mówi Margot. Odłamuję więc kawałek chleba z dżemem i kładę przysmak przy spizarce.

- Mam nadzieję, że Mamunia nie zauważy - wzdycham powoli.

W tej chwili słyszę wrzask Mamuni. Wnętrznosci wywracają mi się w środku, jakby robiły fikołki. Przychodzi mi na myśl, że tak pewnie czuje się Mama, kiedy dzidzius robi gimnastykę. Myśl przelatuje przez głowę jak błyskawica, bo przede wszystkim boję się krzyku Mamuni. Potem myślę, że może jest w kuchni, obserwuje mnie i wścieka się, że karmię mysz. Wtedy słyszę kolejny wrzask.

- Amaury! Amaury! - Jej głos dobiega z piętra, jest głośny i przerażony.

Serce bije mi mocno.

- Woła Tatusia - szepczę.

- Wiem - mówi Margot.

- Myślisz, że zapomniała, że on nie żyje? - pytam.

- Wątpię - odpowiada.

- Może chodzi jej o jakiegoś innego pana o imieniu Amaury? - sugeruję.

- Albo śni jej się koszmar - podsuwa Margot.
 - Tak, to możliwe - przyznaję.
 - Amaury! - Mamunia powtarza wołanie.
 - Powinniśmy jej pomóc - stwierdza Margot.
 - Boję się.
 - Będziemy się trzymać za ręce, chodź. Wchodzimy po schodach, trzymając się mocno za ręce, i na paluszkach pokonujemy hol. Mijamy skrzypiące miejsce i cichutko otwieramy drzwi sypialni.
- Mamunia leży na boku, zwinięta w kłębek, zagrzebana w poduszkach, ze spoconymi włosami odgarniętymi z twarzy. Twarz ma mokrą - nie wiem, czy to od potu, czy łez. Wiatrak jest wyłączony i powietrze stało się wilgotne jak zimą podczas kąpieli. Mamunia mocno zaciska powieki, jedną rękę ściska w pięść i przykłada do czoła, drugą obejmuje brzuch.
- Amaury! - krzyczy znów, aż obie się wzdrygamy. Odwracam się do ucieczki, ale Margot ciągnie mnie za rękę do łóżka. Brzuch Mamuni faluje jak morze.
 - Mamuniu - szepczę.
 - Nie! - jęczy.
 - Mamuniu, to ja, Pea. Tatuś nie żyje. -Nie!
 - Mamuniu?
 - Musisz głośniej - mówi Margot.
 - Mamuniu! - mówię najgłośniej, jak potrafię, nie krzycząc. Chwytam jej dłoń i ściskam mocno.

Wtedy zaczyna się wycie. Brzmi jak wycie wilka - jak wtedy, kiedy ciskała brzoskwiniami w traktor.

- Mamo! - wrzeszczę na całe gardło. - Zbudź się! Ciało Mamuni wzdryga się gwałtownie. Podrzuca ręce

w górę i krzyczy, jakby spadała. I nagle otwiera oczy. Z początku są czarne, ale po chwili czerń się kurczy i wraca kolor, a Mama przygląda mi się, jakby się dziwiła, co w ogóle robię w domu.

- Ja... - odzywa się. Nie mówię nic. -To...

Stoimy ramię w ramię, czekając, by się przekonać, czy zrobiłyśmy dobrze, czy źle.

Mamunia zwiesza nogi z łóżka i zmusza ciało, by usiadło. Brzuch niemal dotyka jej kolan. Mama omiata wzrokiem sypialnię. Większość jej ubrań leży na podłodze. Stoją tam też kubki po kawie i talerze z okruszkami po grzankach.

- Jeśli masz ochotę - mówię - na dole czeka na ciebie specjalny talerz na kolację. Ze stokrotkami.

Mamunia patrzy się na mnie, ale milczy. Jej twarz jest ściągnięta w wielki znak zapytania, ale ja nie znam odpowiedzi. Znowu rozgląda się po pokoju.

- Szukasz Tatusia? - pytam. - Bo on...

- Włącz mi proszę wiatrak, jak będziesz wychodzić -mówi.

Rozdział 13

Ledwie świta, ale budzi mnie jakieś zamieszanie na zewnątrz, a teraz dźwięki przenoszą się do kuchni. Skradam się na dół w piżamie, żeby sprawdzić, czy myszka wróciła. Ale to nie mysz, to Mamunia. Zabiła kurę. Siedzi przy kuchennym stole z szeroko rozwartymi nogami i zakrwawionymi rękami. Pochyla się nad pniakiem do rąbania drewna i tnie kurczaka na odpowiednie kawałki dużymi nożycami o czarnych rączkach. Nożyce przecinają skórę i gruchoczą kości. Chrup. Ciach. Mamunia mruczy coś pod nosem.

- Nie pouczaj mnie, jak wychowywać dzieci - mamrocze. - Nie zjawiaj mi się tu z workiem gróźb i złych zamiarów. Poczekaj no tylko, jeszcze się przekonasz.

Chrup. Ciach.

- Dzień dobry, Mamuniu - mówię szeptem. Podnosi oczy.

- Dzień dobry - odpowiada, po czym znów odwraca wzrok. Na fartuchu ma plamy krwi.

Siadamy z Margot przy stole i udajemy, że robimy rakiety z rolek po papierze toaletowym, a tak naprawdę obserwujemy Mamunię. Cząsteczki martwego kurczaka poprzyklejały jej się do zakrwawionych rąk. Co jakiś czas wyskubuje

piórko lub dwa. Reszta piór leży w stojącym obok kubelku. Kurze pióra nie są zbyt ciekawe. Krew i krojenie są okropne. Za to wiem, co stanie się potem. Mamunia upiecze nam kurczaka na obiad i będzie wspaniale. Zjemy go z pomidorami i pieczywem - pycha. Na kościach ugotujemy zupę albo ryż. Mamunia gotuje zupy nawet latem, ale na ogół robi je z cukinią lub pomidorami i podaje na zimno, prosto z lodówki, posypane z wierzchu zieloną cebulką. Cieszę się, że Mamunia się wyspała i że wstała wcześniej, żeby przyrządzić nam coś pysznego. Za to nie możemy sięść do śniadania, bo stół jest cały w piórach i kurzych flakach.

- Mamuniu - mówię. - Czy mogę wziąć prysznic, zanim przyjdzie pora na śniadanie?

Mamunia nie podnosi głowy.

- Tak, dobrze - odpowiada. - Tylko nie narób bałaganu.

Patrzę, jak siedzi przy stole w tej całej czerwieni oraz w pieprzu i zastanawiam się, jak straszego bałaganu mogłabym narobić przy użyciu prysznicza i kostki mydła, ale nie spieram się.

Kiedy schodzę z powrotem do kuchni, orzeźwiona wodą i pachnąca owocami, nie ma już piór, łapek ani głowy z dziobem, a jadalna porcja kurczaka leży w oleju, soli i pieprzu, gotowa do pieczenia. Mamunia, wymyta, popija kawę.

- Mamuniu?

- Słucham, Pea.

- Jesteś naprawdę bardzo piękna - mówię. Mamunia się uśmiecha.

- Dziękuję - odpowiada.

- Czekamy z Mamunią, aż przyjadą bagietki, żebyśmy mogły zjeść śniadanie - mówi Margot. Jak gdyby ją usłyszała, Sylvie z chrzęstem parkuje pod domem. Mamunia powoli wstaje i wychodzi na zewnątrz. Idziemy za nią.

- Dzień dobry - mówi Mamunia bez uśmiechu.

- Dzień dobry - odpowiada Sylvie. Patrzy najpierw na Mamunię, a potem na mnie, świeżutką spod prysznic i pachnącą owocowo. Potem z powrotem przenosi wzrok na Mamę. Na jej twarzy maluje się zdziwienie.

- Jak się Pani ma, *madame*⁷. - pyta. Mamunia nadal się nie uśmiecha.

- Od dziś proszę zostawiać pieczywo u dołu ścieżki - mówi.

Sylvie podaje mi bagietki. Dwie.

- U dołu ścieżki? - powtarza.

- Tak będzie dobrze. - Mamunia odlicza monety z czerwonej portmonetki.

- Nie uważa pani - odzywa się Sylvie - to znaczy, no, nie będzie pani wygodniej, w tym stanie...

Wyszminekowane na różowo usta Sylvie zwijają się w ciasny supełek, a brwi spotykają się pośrodku czoła. Boi się Mamuni. Ale i tak się z nią kłóci, co jest poważnym błędem. Mamunia trzyma dłoń z monetami w taki sposób, że Sylvie musi podejść, by je zabrać. Dziewczyna wyciąga rękę jak najdalej może, żeby tylko nie podchodzić zbyt blisko, jakby odbierała psu kość.

- W tym stanie? - cedzi Mamunia przez zęby.

- Już niedużo zostało - mówi Sylvie, robiąc uradowaną minę. -
Przynajmniej tyle.

- Przynajmniej tyle? - Mamunia powtarza jak papuga. -
Przynajmniej tyle? - Wpada w straszny gniew.

- Oj, będzie masakra - komentuje Margot.

- Przepraszam, nie chciałam... - Sylvie wypuszcza powietrze.

- Myślałam po prostu, że musi pani być ciężko. Małe dzieci
bywają męczące, kiedy jest się w ciąży. Moje są już dorosłe,
ale doskonale to pamiętam. Chciałam dobrze.

Wyrywa monety z ręki Mamuni i cofa się.

- Chcieć dobrze to znaczy być pomocnym. A nie oznacza to
wtykania nosa w nie swoje sprawy.

Mamunia mówi to cicho, jej głos przypomina warkot, w
dodatku wszystko jest po angielsku. Kiedy warczy, wskazuje
na czubek swojego nosa. Sylvie wygląda na zmieszaną.

- Nie rozumiem - mówi.

- W tym rzecz - mówi Mamunia, wciąż po angielsku. -
Niczego pani nie rozumie.

Sylvie patrzy na Mamunię, potem na mnie i kręci głową.
Posyłam jej uśmiech - taki mały, troszkę przeproszający.
Mamunia jest dziś bardzo przykra, a jej pomysł z pieczywem
fatalny. Teraz będę musiała biegać po bagietki na dół, do drogi,
zanim będę mogła je zjeść. Sylvie układa usta w linijkę. Nie
jest to prawdziwy uśmiech, ale widać, że się stara. Wsiada do
auta i trzaska drzwiczkami. Jeszcze raz przygląda mi się przez
okno. Stoję bez ruchu z chlebem w rękach, odwzajemniając jej
spojrzenie. Nie wgryzłam się jeszcze

w bagietkę. Słońce suszy mi włosy, zakręcając je w loki. Mamunia stoi obok z założonymi rękami opartymi na brzuchu. Palce naszych stóp stoją w równym szeregu.

- Miło widzieć, że jesteś dziś ubrana, Pivoine - rzuca Sylvie i odjeżdża.

Po śniadaniu Mamunia przenosi się do sypialni.

- Jestem zmęczona - mówi.

- W porządku - odpowiadam, choć wcale tak nie jest.

- Jak myślisz, dlaczego Mamunia wściekła się na Sylvie? - pytam.

- Zawsze zostawia za dużo pieczywa - wyjaśnia Margot. - Straszne marnotrawstwo.

- Powiedziała, że wtyka nos nie tam, gdzie trzeba - przypominam.

- Właśnie - Margot. - To bardzo niehigieniczne.

- I dość dziwne - dodaję.

- Nieważne - mówi Margot. - Hej, Pea, mam świetny pomysł.

Potem szepcze mi do ucha i rzeczywiście, okazuje się, że pomysł jest świetny. Szczególnie po tym, co powiedziała Mami Lafont. Bierzemy z kuchni wszystko, co będzie nam potrzebne, po czym cichutko wracamy do naszego pokoju i zamykamy drzwi.

- Ja pierwsza! - woła Margot.

Podaję jej potężne nożyce o czarnych rączkach, którymi ciach-ciacha w powietrzu. Ostrza lśnią miękko w trójkącie światła wpadającym przez okiennice.

- Wspaniale! - ocenia. Potem chwyta spory pukiel swoich włosów, przysuwa go przed oczy, żeby widzieć, gdzie ciąć, i zamyka nożyce z głośnym ciachnięciem.

- Nie dam rady - skarży się. - Ty tnij.

Odbieram od niej narzędzie. Jest ostre, a ciachanie sprawia mi niezwykłą przyjemność. Przycinam włosy Margot, jakbym była prawdziwą fryzjerką, i rozmawiam z nią o tym, co mi ślina na język przyniesie. Kiedy kończę, jej włosy są bardzo krótkie, ale fryzura piękna - może nie jak u księżniczki, ale u gwiazdy pop na pewno. Kolej na mnie.

Margot chwyta nożyce i pyta:

- A zatem, *madame*, jak sobie pani życzy?

- Poproszę ładnie i króciutko - mówię. - A do tego diadem, jeśli łaska.

Kiedy jest po wszystkim, przyglądam się rozsypanym, obcięтым włosom. Nie bardzo wiem, jak je posprzątać, więc wpycham wszystko, z wyjątkiem jednego doskonałego pukla, pod poduszkę. Nożyczki też tam chowam, żeby były bezpieczne.

- Zabiorę go do dziewczęcego gniazdka - informuję Margot, pokazując lok.

Margot stoi z wzrokiem wbitym w poduszkę.

- Ciekawe, czy jak wrócimy, okaże się, że jesteśmy bogate, bo odwiedziła nas włosowa wróżka.

- Wątpię, czy ona naprawdę istnieje. Gdyby tak było, wszyscy byliby okropnie bogaci, bo co jakiś czas obcinaliby sobie trochę włosów.

- A jeśli jednak istnieje?

Postanawiamy, że lepiej będzie zostawić tylko część włosów pod poduszką - w ramach eksperymentu - a resztę schować pod dywanem. Jeśli wróżka się dziś zjawi, to co noc będziemy wykładać dla niej nową porcję i wkrótce będziemy miały dość pieniędzy, żeby kupić Mamuni naprawdę ładny prezent.

- Jak myślisz, co by chciała dostać? - pytam Margot.

- Może pieska? - podpowiada.

- Może. Albo różową szminkę z błyszczącymi drobinkami?

- Jak Sylvie? E, nie sądzę.

- To może żółty kapelusz pod kolor do żółtej sukienki.

- Albo nowe poduszki na łóżko? Zaciskam palce na ostatnim puklu.

- Chodź, idziemy.

Staramy się nie chichotać zbyt głośno.

Gdy Claude nas szuka, co chwilę schyla się, by się podrapać. Na owłosionym odcinku nóg pomiędzy górą skarpetek a spodem szortów widać siatkę skaleczeń.

- Nie drap tego! - syczy Margot, więc szybko ją uciszam. Claude stoi pod drzewem z dziewczęcym gniazdkiem.

Patrzy w górę, w lewo i w prawo, strasznie hałasuje.

- Gdzie one mogą być? - pyta Merlina. Pies merda ogonem, szumiąc nim w powietrzu.

- Tam nie... - Claude kręci głową. - Tam też nie... Może w ogóle dziś nie przyszły?

Wystawiam głowę i wołam: „A kuku!”. Claude nie podskakuje, ale wybucha śmiechem.

- Witaj, Pea - mówi.
 - A kuku! - woła Margot.
 - Cześć, Margot - wita się z nią Claude, zezując w koronę drzewa i machając w złym kierunku. - Jak się dziś macie?
 - Ja mam się świetnie i Margot też. A co u ciebie?
 - U mnie też świetnie, jak najbardziej. Widzę, że masz nową fryzurę - zauważa.
 - To w ramach naszego wyzwania - mówię. - Mami Lafont była zła na Mamunię, że nikt mnie dawno nie ostrzygł. Ale Mamunia jest zajęta. Więc poradziłam sobie sama, nożycami do cięcia kurczaka. To niespodzianka.
 - A tiarę ma dlatego, że jest księżniczką - wyjaśnia Margot.
 - Podrapałeś sobie nogi - zwracam uwagę.
 - Znowu - przyznaje Claude. - Ale opowiedz mi jeszcze o tych nożycach.
 - Tylko je pożyczyłyśmy - uspokajam.
 - Byłyśmy bardzo ostrożne - zapewnia Margot.
 - Hmm - mruczy Claude. - A gdzie one teraz są? Macie je ze sobą?
 - Schowałyśmy pod poduszką.
 - Nie sądzisz, że mama będzie się niepokoić, kiedy odkryje, że ich nie ma?
 - Nie wydaje mi się, żeby odkryła.
 - A jeśli jednak się zorientuje?
- Claude ma rację. Mamunia martwi się o wszystko i jeśli nie będzie mogła znaleźć ani nożyc, ani mnie, będzie sobie wyobrażała, że pewnie razem wpadamy w kłopoty.

- No dobrze - mówię, schodząc z gniazdka. - Pójdę je odłożyć na miejsce.

- Grzeczna dziewczynka - chwali Claude.

Nie zapomniałabym, gdyby nie pieczony kurczak. Kiedy wracamy do domu, panuje cisza, ale mięso musiało dopiero co zostać wyjęte z piekarnika, bo całą kuchnię wypełnia zapach masła i estragonu. Kawałki kurczaka czekają w porcelanowej misce, zabezpieczone przed muchami. W brzuchu burczy mi jakby grzmiało - aż boję się, że hałas zbudzi Mamunię. Wyjmuję dwa talerze i nakładamy sobie porcje. Jemy palcami - kurczak jest słony i przepyszny. Potem wynoszę kości i kawałeczki tłuszczu na podwórko dla kocich gości kiedy napchają sobie brzuszki, przejdzie im ochota na spadające z nieba jaskółcze pisklęta.

W środku nocy, w kompletnych ciemnościach, dociera do mnie, że jest mi bardzo niewygodnie. Pierwsza myśl to taka, że naprawdę odwiedziła mnie włosowa wróżka i napchała pod poduszkę stos monet. Ale to nie to. To nożyce do kurczaka, razem z garścią włosów. Zastanawiam się, czy nie odnieść ich do kuchni. Myślę o pustce nocnego domu, rozciągającej się poza progiem mojego pokoju. Myślę też o tym, co Claude powiedział o Mamuni i jej martwieniu się, ale skoro przeleżała w łóżku całe popołudnie, to chyba nie zauważyła braku narzędzia. Chyba najlepiej będzie zatrzymać nożyce pod poduszką do rana.

Budzę się na podłodze. Wypadłam z łóżka, choć wcale tego nie pamiętam. Margot się ze mnie śmieje. Jest już

ubrana - ma na sobie czerwoną sukienkę ze srebrnym paskiem, a na głowę włożyła srebrną tiarę.

- Jestem Królową Amazonii - oznajmia, a ja mówię: „Dzień dobry”.

- Spożyjmy śniadanie - mówi Królowa Amazonii.
-Przygotowałam ciasto, arbuza i czekoladę do smarowania kanapek.

- Brzmi pysznie - doceniam.

Ciasto, arbuza i czekolada są na niby. Ale naprawdę mamy dżem. Biegniemy w dół ścieżką po pieczywo.

- Szalenie niewygodne - krytykuje Królowa Amazonii.

- Przykro mi - mówię. - Wszystko przez to, że Sylvie nie mówi po angielsku. I boi się Mamuni.

- Trochę jakbyśmy były w zoo - porównuje Margot, która znów jest Margot (ale wciąż ma na głowie tiarę).

- Trochę tak - przyznaję, choć chyba nie do końca nadażam za jej tokiem myślenia.

- To jak z tygrysami, którym trzeba rzucić mięso, żeby nas nie pogryzły. Sylvie musi rzucać nam bagietki, żeby jej nie zaatakowała Mamunia, która jest groźna i dzika. Choć gdyby naprawdę rzuciła bagietką, to ta by się złamała i ubrudziła. Mamunia dopiero byłaby zła.

- Więc musi zostawiać pieczywo tu, przy znaku - mówię.

- Właśnie tak - przytakuje Margot, bardzo zadowolona z siebie.

- Jak w zoo - przyznaję. - Jeśli to jest zoo, to ja jestem jednorożcem.

- Nie istnieją - mówi Margot.
- Jak dinozaury?
- Jak czarownice. Aha.
- No to żyrafą.
- A ja kangurkiem! - woła Margot i wraca na wzgórze w podskokach.

Po powrocie do domu siadamy na schodku na podwórzu i jemy w milczeniu. Gdzieś pod okapem albo w stodole są wróble. Słyszę, jak ćwierkają.

Mamunia idzie na dół i zaczyna sprzątać w kuchni. Wygania nas, sio!, dalej na zewnątrz, a sama zamiata okruszki.

- Dokąd dziś... - zaczyna Margot.
- Na dolną łąkę - wpadam jej w słowo. - Chodź. Gdy docieramy do drogi, widzimy stojącą przy bramce

Josette. Karmi osiołki chlebem, marchewką i oklapłymi liśćmi czerwonej i zielonej sałaty. Zatrzymujemy się przed jezdnią, rozglądamy się i nasłuchujemy, a potem przebiegamy przez drogę, żeby się przywitać.

Josette odwraca się do nas z uśmiechem, ale wesoła mina szybko rozplywa się w zmarszczkach. „*Mon Dieu!*” - woła. Potem odwraca się i wbija wzrok w nasz dom, jakby bardzo nabroił. „Chodź ze mną!” - ciska trzymane warzywa osiołkom i bierze mnie za rękę. Wiedzie nas z powrotem przez jezdnię i prowadzi drogą z dala od wioski, do małej chatki zrobionej z *bonbons* i piernika. Tak naprawdę domek jest

zbudowany z kamienia i ma czerwony dach, jak wszystkie w okolicy. Ale jest śliczny.

Stoimy przy furtce, patrząc, jak kobieta odchodzi. Kiedy orientuje się, że nie idziemy za nią, odwraca się do nas.

- No dalej, śmiało! Zapraszam!

Ogród Josette jest zielony i pełen kwiatów. Po dużych, ciemnych belkach na ścianie domu pnie się winorośl, a pod nią stoi stół z krzesłami. Zielone winogrona zwisają nad blatem.

- Gdybyśmy stanęły na stoliku, dosięgnęłybyśmy owoców - mówi Margot.

- Zaczekaj tu, Obdartusku. Tylko żadnego obrywania winogron, bo jeszcze nie dojrzały.

- Jakby cię słyszała! - szepczę do Margot. Czekamy przy stole pachnącym kapryfolium i bananami.

Zapach kapryfolium nie zaskakuje, bo przy rogu domu rośnie potężny krzak obsypany biało-żółtymi kwiatami. Zagadkę stanowi zapach bananów. Nigdzie nie widzę bananowca. Wraca Josette. Niesie żółtą, plastikową miskę i nożyczki.

- Nie ruszaj się teraz - mówi, siadając przy mnie. Josette jest okropnie stara. Ma bardzo długie włosy koloru

metal, nosi je upięte w kok, przytrzymany długą, czarną igłą. Nigdy nie dotknęłam jej włosów, ale są pewnie jak druty i drapią. Nigdy nie widziałam też twarzy z tyloma zmarszczkami. Wygląda jak wyssana do czysta pestka brzoskwini. Ma głęboko osadzone oczy, które błyskają jak ciemne sztuczne ognie na białym niebie. Josette pachnie fiołkami i osiołkami.

Patrzę na nożyczki oraz miskę i wcale mi się to nie podoba.

- Zrobi z ciebie sałatkę? - zgaduje Margot.

- A może ciasto z włosów?

Josette zakłada mi miskę na głowę. Margot wybucha śmiechem.

- Jesteś wiedźmą? - pytam. - Zrobisz ze mnie placek? Josette się uśmiecha.

- Nie jestem Babą Jagą - zapewnia. - Tylko starszą panią. - Sięga po nożyczki i zaczyna strzyc włosy, które wystają spod naczynia.

Chatka nie jest z piernika i *bonbons*, Josette nie ma wiedźmowatych palców, ale to wszystko może być jeden wielki podstęp, więc odskakuję do tyłu. Nożyczki omal nie kłują mnie w twarz.

- Siedź spokojnie! - nakazuje Josette.

- Nie chcę! - buntuję się.

- Pivoine - mówi Josette uśmiechniętym tonem. - Co się stało z twoimi włosami?

Zastanawiam się - skłamać czy nie. Margot kręci głową, ale to może oznaczać zarówno: „Nie kłam”, jak i: „Nie mów prawdy”. Wzruszam ramionami.

- Obcięłaś je, prawda? - W tej chwili pojawia się zwinny, czarny kotek, który zaczyna ocierać się o nogi stołu.

- Ona naprawdę jest czarownicą - szepcze Margot. Czuję, jak ściskają mi się wnętrzności. Postanawiam, że w tym przypadku lepiej nie kłamać, bo wiedźmy posługują się magią i pewnie umieją stwierdzić, czy ktoś mówi prawdę.

- Tak - mówię szeptem.

- W porządku. Postarajmy się trochę poprawić fryzurę - proponuje.

- Dobrze.

- Czy twoja mama już to widziała?

- Jeszcze nie.

- Hmm. - Josette robi króciutkie ciach-ciach przy mojej głowie. - Staram się, żebyś znów była piękna - tłumaczy.

Zerkam w górę na jej skupioną twarz, a ona uśmiecha się do mnie wszystkimi miękkimi, brązowymi kreseczkami.

- Proszę bardzo. Gotowe - oznajmia.

- Według mnie było ładniej, gdy ja obciąłam - ocenia Margot. Josette nie zwraca na nią uwagi i strzepuje mi ścięte włosy z ramion na trawę.

- Jadłaś śniadanie? - pyta.

- Zjadłam piętke bagietki - odpowiadam. - Musiałam po nią iść aż do drogi, bo Mamunia naburczała na Sylvie.

Josette kiwa głową.

- Chodź - zaprasza i prowadzi nas do kuchni, która jest żółto-biała i pachnie ciastem. Na stole leży świeży chleb i kiełbasa. Josette kroi wędlinę w okrągłe plasterki, okrągłe jak różowo-białe monety. Potem odkrawa grubą pajdę białego chleba. Kładzie ją na talerzu i układa buzię. Kromka jest twarzą, z kiełbasy są oczy i nos. Dodaje plaster pomidora, żeby zrobić usta, i nalewa mleka do szklanek.

- Twój dom różni się od naszego - mówię z pełnymi ustami.
- Na czym polega różnica?
- Masz czyste talerze, a poza tym pachnie kwiatami i ciastem -
mówię.

Josette podchodzi do mnie i całuje mnie w czubek głowy.

- Wszystko będzie dobrze, *Petite*, Malutka - mówi. Zastanawiam się, czy w ogóle zrozumiała, co powiedziałam.

- Nie wolno ci mnie całować pod nieobecność Mamu-ni -
pouczam ją.

- Kto tak powiedział?

- Claude.

- Claude?

- Tak - potwierdza Margot.

- No dobrze - mówi Josette. - Czas do domu. Mama będzie się
martwić.

- Nie będzie - prostuje Margot.

- I trzymać mi się z dala od kłopotów! - upomina Josette.

- Josette ma bardzo rozbrykane gardło - stwierdza Margot po
drodze do domu. - Zauważyłaś?

- Rozbrykane? - dziwię się.

- Tak. Rusza się tam i z powrotem, jak mówi. .

- To pewnie ze starości.

- Kiedy ja będę stara - zapowiada Margot - będę miała chatkę
pachnącą kwiatami i ciastem.

- Kiedy ja będę stara - mówię - będę całować wszystkich
ludzi, którzy lubili całować mnie, gdy byłam mała.

Nie ma znaczenia, jak cichutko zamykamy za sobą drzwi, bo Mamunia patrzyła już na nas, gdy szłyśmy ścieżką. Stoi z założonymi rękami opartymi na brzuchu, a w dłoni trzyma nożyce do cięcia kurczaka, które zostawiłam pod poduszką. Omiata wzrokiem moją fryzurę, po czym patrzy mi w oczy. Staram się patrzeć wszędzie, byle nie na nią. Nie działa, zdaje się dziś wypełniać całą przestrzeń. Wyciąga w naszą stronę rękę z nożyczkami.

- Nawet nie wiem, od czego zacząć - cedzi przez zęby. - Co masz mi do powiedzenia?

Margot ściska moją dłoń. Zwieszamy głowy.

- Mamuniu, bardzo przepraszam - mówię. Mamroczę słowa do podłogi. Mamunia gotuje się ze złości.

- Za co przepraszasz? - krzyczy.

- Za to, że obcięłam sobie włosy - mówię.

- Włosy? Co mnie obchodzą twoje włosy! Możesz się ogolić na лыso, wszystko mi jedno!

- Nie rozumiem - odzywa się Margot.

- Nigdy, ale to nigdy nie dotykaj moich nożyc - wrzeszczy Mamunia. - A jak urodzi się dzidzius, to co? Wydaje ci się, że będziesz sobie mogła wtedy paradować z nożyczkami po domu?

- Nie - odpowiadam.

- Nie - wtóruje Margot.

- Mamuniu, tak mi przykro. To miał być świetny pomysł i miałyśmy mieć dużo pieniążków od włosowej wróżki. Naprawdę bardzo przepraszam.

Mamunia pada na krzesło. Kładzie głowę na stole i przykrywa ją dłońmi.

- Nie dam rady - mówi.

W ponurych nastrojach wychodzimy na zewnątrz. Gdyby Tatuś tu był, przytuliłby mnie. Tata miał pieśczoć na każdy dzień - wesoły czy smutny. Patrę na Margot. Ma gadane, ale niespecjalnie nadaje się do przytulania, a przecież są chwile, kiedy słowa nie wystarczą.

- Pójdziemy na Wietrzne Wzgórze - mówi Margot. Umie jednak czytać w moich myślach.

Idziemy bez słowa aż na Wietrzne Wzgórze. Tu moje wewnętrzne supełki zaczynają się rozplątywać. Jest późno. Słońce za moimi plecami wypycha mój cień naprzód jak obcą, dużo wyższą osobę. Turbiny wiatrowe stoją na baczność, jak strażnicy, ale tylko jedna kręci skrzydłami. Wszystko dziś idzie źle. Czuję, jak zaciska mi się żołądek, jakby ktoś zgniatał mnie od środka. Nie wiem, czy jeden wiatrak wystarczy. Jeśli turbiny się nie kręcą, w nocy zabraknie prądu i będę musiała spać w ciemnościach. Stojące nad szarobłękitnymi *etangs* nadmorskie domki lśnią w słońcu, błyskają bielą jak klejnoty z maleńkimi czerwonymi dachami. Księżyc już wisi na niebie - odbijająca się w wodzie cętkowana cytryna. Gdyby się pospieszyła, mogłaby pocałować księcia-słońce zanim zajdzie, ale nie - spóźniła się. Słońce znika za moimi plecami, zabierając ze sobą mój cień.

Rozdział 14

Wyłaź z łóżka! - woła Margot. Dzień znów wstał rozgrzany do czerwoności. Powietrze w pokoju jest za gorące i zbyt lepkie. Okiennice są otwarte i światło razi mnie nawet przez zamknięte powieki. Przyciskam rękę do oczu i tam, gdzie powinien być świat, błyskają czarno-czerwone iskierki.

- Jestem zbyt zmęczona - burczę. - Zostaję tutaj.

- Nie wygłupiaj się - mówi Margot. - Tu jest za gorąco. Wstawaj.

- Zostaw mnie w spokoju - nakazuję. I przewracam się tak, żeby mnie nie widziała.

Margot znowu się rządzi.

- Pysznic szumi - zauważa. - Słyszysz? Nawet Mamunia dzisiaj wstała, jest dzień targowy.

-1 co z tego? - pryham. - Nie zmrużyłam oka. Potrzebuję Chwili Spokoju.

- Ale jest Dzień Targowy - upiera się Margot, rysując słowa palcem wskazującym w powietrzu, jakby pisała grubą kredką.

- Nie lubię dni targowych - mówię. - Są Nudne. Nudne pisane grubą kredką i w dodatku podkreślone.

- Darmowe jedzenie - kusi Margot.

Odwracam się w jej stronę i wyglądam zza horyzontu ramienia.

- Jakie jedzenie? - pytam.

- Z całą pewnością oliwki, a jak się nam poszczęści, to kielbasa, może ser. Może namówimy Mamunię, żeby kupiła paellę.

- Nigdy nie kupuje paelli. Jeśli już, to, Mamunia przyrządza ją sama.

- Kiedy ostatni raz ją ugotowała?

- Nawet nie pamiętam.

- Lubisz paellę? - Margot zakłada ręce na piersi i porusza brwiami, czekając, aż powiem, że tak, bo dobrze wie, że lubię paellę, a nie lubię kłamać. Uwielbiam paellę, a szczególnie krewetki. I żółte ziarenka ryżu, kleiste i rybne. Tak, dużo, dużo ziarenek kleistego, rybnego, pysznie słonego ryżu, jedno po drugim, powolutku... Oj, lubię paellę.

- Tak, lubię paellę - przyznaję.

Ślinka mi cieknie, tu, w łóżku. Powinnam wstać i zrobić śniadanie.

Drzwi otwierają się z rozmachem i w progu staje Mamunia, z mokrymi włosami upiętymi do góry, cała w bieli, bosa stopy, piegi.

- Co się guzdrasz? - pyta. - Raz-dwa, wstawaj, dziś dzień targowy.

Margot wyskakuje z łóżka i prześlizguje się za Mamunią, pierwsza do łazienki, jak zwykle.

Na targowisko idziemy powoli. Mamunia mówi, że nie chce się przemęczyć. Wlokę się noga za nogą. Mur wokół ogrodu Claude'a mijamy jakby ukradkiem, zaglądając cichutko, żeby sprawdzić, czy nie ma właściciela. Ciężko cokolwiek wypatrzyć przez lawendę, wylewającą się obficie przez murek. Unoszą się nad nią tłuste jak kolibry ćmy, spijając nektar długimi trąbkami. Jest mi gorąco, prażą-co, piekąco w kark. Próbuję przysłonić skórę włosami, ale włosów nie ma. Nic nie kołysze się na karku i teraz mi żal, że w ogóle ścięłam sobie loki.

Dziś na targu ludzie przyglądają nam się bardziej niż zwykle. Gapią się na brzuch Mamuni, kiedy przepycha się przez tłum bez cienia uśmiechu na twarzy. Mijamy wszystkich, krocząc gdzieś w przestrzeni pomiędzy tubylcami a przyjezdnymi, aż nagle przy stoisku z przyprawami Josette zastępuje Mamuni drogę. Josette ma na sobie najbardziej kwiecistą sukienkę, jaką w życiu widziałam i nadal pachnie fiołkami. Pszczoły bzyczą wokół niej, sprawdzając, czy nie da się z niej wyssać nektaru. Odgania owady brązową dłonią i staje tak, żeby zagrozić nam przejście. Podnosi wzrok na Mamunię, która jest od niej o wiele wyższa.

- Dzień dobry, *madame* - wita ją.

Mamunia cofa się o krok, puszcza ręce i kładzie dłonie na brzuchu. Odsuwając się od Josette, wpada plecami na starszą panią, która szła tuż za nami, bo Mamunia posuwała się naprzód bardzo powoli. Nawet teraz, kiedy rzadko gotuje, Mamunia nie potrafi przejść szybko obok

stoiska z przyprawami. Aromat, który płynie ze straganu, jest jak zimowe dni w kuchni, z tadżinem, piernikiem i grzanym winem. Barwy wyrastają jak piramidy z brązowych papierowych toreb o zwiniętych brzegach - czerwienie, brązy, żółcienie i pomarańcze, ale to nie kolory kredek czy kwiatów, tylko różne odcienie ziemi. Sprzedawca przy stoisku z przyprawami nie zachwala krzykiem towaru, tak jak robią to ludzie od brzoskwiń, bransoletek i koralików, czy terek do sera. Przyprawy krzyczą same, choć nic w ten sposób nie mówią, a ludzie dają się przyciągnąć ich zapachom. Zanim podziało się to całe umieranie, nogi Ma-muni same niosły ją do tych woni i przywierała do stoiska jak obrazki z piórek do drzwi lodówki. Trzeba było ciągnąć naprawdę mocno, żeby ją oderwać. Po dłuższej chwili patrzenia i wachania, prosiła o zapakowanie do brązowej papierowej torebki porcji tego czy owego magicznego proszku, który potem rozstaczał zapach stoiska w naszej kuchni. Mamunia mieszała przyprawy, podsmażała je na patelniach wraz z podskakującymi nasionami i skwierczącym olejem. A potem siadaliśmy wszyscy razem przy stole i kosztowaliśmy, cała nasza rodzina w komplecie.

Starsza pani, która została potrącona, chwieje się lekko, ale na szczęście łapie ją kolejna osoba. Obie kobiety obrzucają nas nienawistnym spojrzeniem i pchają się dalej w korku drogowym ciał.

- Dzień dobry, *madame* - odpowiada Mamunia na powitanie Josette.

- Mieszkam na końcu waszej alei - informuje Josette. - Mam na imię Josette.

- Wiem - mówi Mamunia.

Josette wpatruje się w Mamunię przez dłuższą chwilę - tak długą, że brak wymiany jakichkolwiek miłych słów w tym czasie wydaje się nieuprzejmością. Jej oczy zwężają się w szparki w pomarszczonej twarzy. Nagle uśmiecha się, pokazując brązowe zęby i odgarniając pasma siwych włosów, które wymknęły się spod spinek. Kieruje wzrok w dół, na mnie.

- Witaj, Obdartusku - mówi.

- Dzień dobry, Josette - odpowiadam.

Mamunia patrzy na mnie ciemnym spojrzeniem pełnym złych uczuć, po czym przenosi wzrok na Josette.

- Miłego dnia - żegna Josette po francusku. A potem rzuca do mnie po angielsku:

- Piwonio, ruszaj się.

I z powrotem do Josette:

- Proszę nam wybaczyć.

Popycha mnie, żeby obejść Josette, więc patrzę na staruszkę i mam nadzieję, że widzi, że mi przykro. Josette woła jeszcze za nami:

- Niech pani uważa. Jeśli nie będzie pani ostrożna, wszystko pani straci.

- Skąd znasz tę panią, Piwonio? - pyta Mamunia, nie zwalniając kroku.

- Uwaga! - ostrzega Margot. - Ani słowa o strzyżeniu.

Staram się zebrać myśli, ale kłębią mi się w głowie. Przed oczami widzę wyłącznie strzyżenie i śniadanie z buzią o kielbasianym uśmiechu. Próbuję też zaglądać do koszyka, kiedy tak maszerujemy w pośpiechu, żeby nic nie wypadło. Wszystko leży bezpiecznie w środku, niczego nie stracimy. Nie rozumiem, o co chodziło Josette.

- Osiołki - mówi Margot.

- Piwonio! - podnosi głos Mamunia. - Zadałam ci pytanie.

Margot wzrusza ramionami. Jej nigdy nikt nie słucha. Poza mną, oczywiście.

- To dlatego, że masz dopiero cztery latka - wyjaśniam.

- Słucham?

- Osiołki - mówię. - Osiołki, które pasą się na dolnej łące, tam, gdzie się bawimy, należą do Josette.

- Osiołki - powtarza Mamunia.

- Osiołki - potwierdzam.

- Uważaj, żeby cię któryś nie kopnął.

- One nie kopią. Skubią tylko trawę.

- Jasne.

- Och, patrzcie, paella! - woła Margot i rzeczywiście, ma rację. W półciężarówce, po drugiej stronie placu, w okrągłej, płaskiej patelni, dymi tęczowa góra paelli, przynosząc pod nasze nosy zapachy morza. Słone, rybne, żółte zapachy. Burczy mi w brzuchu. Margot wybucha śmiechem.

- No, dalej - mówi Margot. - Na pewno potrafisz załatwić trochę.

Zastanawiam się, co takiego mogłabym powiedzieć, żeby przekonać Mamunię do kupna paelli. Układam w głowie listę. Pachnie cudnie, ale nie mamy zbyt dużo pieniędzy. Nie musiałyby gotować, ale w zasadzie ostatnio i tak mało co je. Lubi żółty. Zawsze lubiła małże, ale nie teraz, kiedy ma w brzuchu dzidziusia. Tatuś uwielbiał paellę.

- Ta paella pachnie smakowicie - odzywam się wreszcie.

Mamunia zatrzymuje się i patrzy na wielką, czarną patelnię pełną ryżu, krewetek, papryki i lśniących czarnych muszelek. Kładzie ręce na brzuchu.

- Jeszcze! - naciska Margot.

- Tatuś lubił paellę - podsuwam.

Mamunia wpatruje się w patelnię z jeszcze większą mocą. Ludzie cały czas przepychają się obok niej. Są źli, że tarasuje im przejście, dopóki nie obchodzą jej od przodu i nie widzą jej wypchanego dzidziusiem brzucha, który unosi się i opada od jej ciężkiego oddechu (w górę i w dół, w górę i w dół) i jej wbitych w paellę oczu, z których strumienie łez płyną jak strugi deszczu.

- Podaj mi miskę - proszę Margot.

Dziś nawet w kuchni jest gorąco. Jedyne części mojego ciała, które są chłodne, to spody stóp oparte o płytki podłogi. Na górze, przy wiatraku, Mamunia i dzidzius odrywają sjęstę. Razem z Margot postanowiłyśmy wynagrodzić Mamuni to, że doprowadziłyśmy ją do łez na targu,

i przygotowujemy lunch, żeby był gotowy, kiedy wstaną z dzidziusiem. Musiałyśmy wykorzystać to, co znalazłyśmy w lodówce i spiżarni. Oto, co uzbierałyśmy:

Ser, trzy różne rodzaje. Mleko. Korniszony. Dżem. Zimny kurczak. Tapenada. Zielona sałata. Cukinie. Suszone morele. Są też parówki i wieprzowina, ale nie możemy ich użyć, bo nie są ugotowane.

Mamy też pieczywo z targu i pomidory.

- Potrzebujemy dobroci i smaku - mówię.

- Koloru i konsystencji - dodaje Margot.

- I miłości - dorzucam. W czasach, kiedy Mamunia śpiewała, bardzo dużo gotowała i uczyła nas o składnikach różnych przepisów. Trzeba dysponować wszystkimi niezbędnymi rzeczami, ale niezbędna jest też różnorodność, a poza tym podczas przyrządzania potrawy należy się uśmiechać, bo inaczej danie nie wyjdzie.

- Możemy zrobić sałatkę - proponuję.

- Można jeść dobroć - mówi Margot - ale nie da się przełknąć niegrzeczności.

Rozważam jej słowa i rzeczywiście ma rację. Nie ma niegrzeczności jedzenia.

Nie wlewam mleka, bo jest zbyt mokre i nie dodaję dżemu, bo jakoś nie pasuje do pozostałych smaków.

Rwę sałatę na kawałki i wkładam do miski sałatkowej. Nie dosięgam do zlewu w kuchni, więc wynoszę miskę na zewnątrz, do podwórkowego kranu. Wypływająca stąd woda jest ciepła, prawie gorąca i sałata trochę wiotczeje,

ale szybko przechylam miskę i wylewam wodę, więc chyba wszystko będzie w porządku.

Margot znalazła już tarkę do sera i położyła ją na stole wraz z deską do krojenia.

- Dziękuję - mówię.

- Ależ proszę, nie ma za co - odpowiada. Dziś jesteśmy superuprzejme.

Ucieram cukinie na tarce wprost do miski z sałatą, a potem rozdrabniamy resztki kurczaka i dorzucamy do warzyw. Wyszukujemy kurzy mostek i próbujemy go wyjąć, ale jest zbyt tłusty, więc odkładam kość na bok, żeby wyschła. Nie wolno mi używać ostrych narzędzi, więc wyciągam z szuflady nóż do smarowania, żeby pokroić pomidory i ser. Korniszony mogą zostać w całości.

Pieczyno nie chce się dać pokroić takim nożem, więc kruszę wczorajszą bagietkę na kawałki i wykładam je na tacy, żeby wyschły na słońcu. To sposób Tatusia. Wybiło południe i na podwórku jest gorąco jak w piecu, bo mury domu i stodoły łapią, a potem zatrzymują ciepło, przez co robimy się całe różowe. Mam ochotę zrzucić z siebie ubranie, ale wiem, że tylko bym sobie zaszkodziła. Mój typ skóry się do tego nie nadaje. Mam skórę Mamuni. Za to usta mam po Tatusiu. Tak słyszałam.

Musimy zostać na zewnątrz, żeby odpędzać jaskółki i mrówki od opiekane go słońcem chleba. Będziemy mieć *croûtons*, grzanki. Na zmianę pełni my z Margot służbę. Jedna z nas chłapie sobie wodę z kranu na twarz, szyję

i dłonie, podczas gdy druga odgania jaskółki i psuje szyki pochodowi mrówek. Kiedy kładzie im się na drodze jakąś przeszkodę, na przykład gałązki, liście albo okruchy chleba, to wszystko im się miesza. Śmiesznie na to patrzeć. Potem się zamieniamy. Zostajemy na zewnątrz tak długo, jak jestem w stanie wytrzymać, aż w końcu mam wrażenie, że sama zaraz zostanę grzanką, więc oznajmiam, że już dobrze, powinno wystarczyć. Niestety taca rozgrzała się tak bardzo, że nie da się jej dotknąć. Wbiegam do domu po nową miskę i zbieram do niej kawałki pieczywa. Smarujemy je masłem i tapenadą i dorzucamy do pozostałych składników. Wlewam oliwę, doprawiam solą i pieprzem. Sałatka wygląda naprawdę pięknie. Jestem dumna z naszego dzieła. Kusi mnie, żeby iść na górę i zbudzić Mamunię, ale jednak decydujemy się poczekać.

Czekamy, siedząc przy stole i bawiąc się w „uklep ciasto”, aż wreszcie dobiega nas dźwięk otwieranych drzwi sypialni, a potem wody płynącej z kranu w łazience.

- Szybko! - podrywa się Margot. - Nakryj do stołu! Rozkładałam dla nas nakrycia i czekam, aż Mamunia

zejdzie na dół. Znowu ma na sobie tę żółtą sukienkę i spływa w dół po schodach z różowymi policzkami i czerwonymi oczami.

- Jest sałatka na lunch - mówię.

- Sałatka, jak cudnie - mówi, nalewając sobie szklankę wody.

- Ma w sobie dobroć i smak - zachwalam.

- Kolor i konsystencję - dodaje Margot.
- I miłość - dorzucam, choć troszkę się wstydzę. Mamunia zagląda do miski. Sałatka nadal wygląda wspaniale, choć nie tak pięknie jak na początku, bo jednak stała przez jakiś czas na stole w rozgrzanej kuchni i liście sałaty zwiotczały i oklapły pod ciężarem oliwy.

- Nie dodałam dżemu - informuję. - Jakoś nie pasował.
- Wygląda cudownie - mówi Mamunia. - Ale nie jestem teraz głodna. Chyba zjem tylko owoce.

Wyjmuje z miski brzoskwinię i myje ją pod kranem. Woda wsiąka w skórę i owoc ciemnieje.

- Dlaczego skórka brzoskwiń przepuszcza wodę? - pytam.
- Nie tak jak jabłka - robi spostrzeżenie Margot.
- Nie tak jak nasza - mówię.
- Nie wiem. - Mamunia wzrusza ramionami. - Każdy ma inną skórę. Ty masz skórę po mnie.

- Wiem - odpowiadam. - I usta po Tatusiu.
- Co? - Mamunia gwałtownie odwraca się, by na mnie spojrzeć.

- Nic, nic. - Patrzę, jak zatapia zęby w żółtej brzoskwini.
- Co masz w planach na dzisiejsze popołudnie? - dopytuje mnie.

- Będę się bawić na łące - informuję. - Nie martw się o mnie, będę uważała na osiołki.
- Załóż kapelusz.
- Dobrze, Mamuniu. Chyba że wolisz, żebym tutaj posprzątała?

- Posprzątała?
- Gdybyś chciała?
- Co miałybyś sprzątać?

Zerkam na Margot. Udaje, że myje mopem podłogę.

- Może podłogi?
- Piwonio, masz pięć lat. Dlaczego miałabym oczekiwać, że będziesz szorować podłogi?
- Przepraszam, tak sobie tylko pomyślałam.
- No, dalej, zmykaj. Mam robotę.
- Dobrze.

Razem z Margot szybko wyjmujemy z miski kurczaka i chowamy go do lodówki na później.

- Gotowanie nie wyszło - odzywam się, gdy idziemy w dół przez sad.

- Sałatka rzeczywiście nie podziałała.
- Ale powiedziała, że mam nie sprzątać.
- To akurat mało istotne - mówi Margot. - Dorośli czasem sami nie wiedzą, czego chcą.

Claude jak zwykle siedzi w trawie w cieniu morwy, paląc papierosa i wsłuchując się w głosy ptaków. Jedna jego noga leży wyciągnięta, drugą ma zgiętą. Obok leży Merlin, dysząc ciężko. Jest mokry.

- Czy Merlin dobrze się czuje? - pytam.
- Jest stary - odpowiada Claude. - Ale taki szalony jak ty, biega i biega, ani trochę nie zwalnając, nawet w taką pogodę. To dla niego niezdrowe. Lepiej już pójdziemy.
- Ale my dopiero przyszliśmy - protestuję.

- Przykro mi - mówi Claude. Może pobawicie się w dziewczęcym gniazdku? Merlin też jest moim przyjacielem i musi iść do domu odpocząć.

- Może zrobimy dla was przedstawienie? - Margot wpada na świetny pomysł.

- Mogłybyśmy wystąpić dla was na scenie - mówię. -Będzie nawet lepiej niż poprzednim razem.

- Może jutro - Claude nie daje się namówić. Siadam w cieniu morwy, z dala od Claude'a i Merlina.

Zakładam ręce na piersi i robię naburmuszoną minę. Claude mi się przygląda.

- Widziałem cię tu w zeszłym roku. Chowałaś się pod tym drzewem.

- Też cię widziałam - odpowiadam.

- Wcale się nie bałyśmy - mówi Margot.

- Wcale się nie bałyśmy - małpuję ją.

- A ja tak - mówi Claude. - Odrobinę. Myślałem, że się na mnie rzucisz.

- Gdybyś wtedy podszedł bliżej, to byśmy się rzuciły!

- Lepiej będę ostrożny!

- Teraz już nie!

- Dlaczego już nie?

- Bo już cię znamy - wyjaśniam ze śmiechem.

Brwi Claude'a przesuwają się w górę i w dół, ale nic nie mówi. Margot też porusza brwiami w górę i w dół, co znowu mnie rozśmiesza.

- Lubię, kiedy się śmiejesz - mówi Claude.

- Znam świetne kawały - chwali się Margot. - Też będziesz się śmiał. Puk, puk?

- Nie słuchaj dowcipów z serii „Puk, puk”, kiedy Margot je opowiada - ostrzegam. - Są beznadziejne.

- No, dobra, Pea. Chcesz nas odprowadzić do bramy? - Claude wstaje i Merlin też się podnosi, mrużąc z niezadowoleniem.

- Pewnie - mówię.

Gdy wspinamy się na wzgórze, łapię Claude'a za palec. - Jestem zmęczona, musisz mnie wciągnąć na górę -oznajmiam. Nie zabiera palca. Idziemy tak aż do drogi. Margot trzyma mnie za palec drugiej ręki, a Merlin wlecze się za nami, kryjąc się w naszych cieniach.

- Au! - krzyczy Claude, kiedy mijamy chaszczę na ścieżce. Jego nogi są takie duże, że nie mieszczą się na dróźce, poza tym zawsze chodzi w krótkich spodenkach. Długie gałęzie zaplątały mu się w skarpetki i na nogach rysują mu się świeże, czerwone zadrapania. Schyla się i wybiera ze skarpetki kolce, po czym ściąga ze ścieżki długą, kłującą roślinę i wrzuca ją z powrotem w chaszczę.

- Nic ci nie jest? - pytam.

- Codziennie zbieram nowe zadrapania od tych krzaków - skarży się Claude. - Lepiej, żeby te jeżyny były warte mojego cierpienia.

Przyglądam się krzewom. Ostrężyny dojrzewają. Czerwone owoce już są prawie czarne. Myślę, że za kilka dni można już będzie je skosztować. Zielone *punaises*, zaczy-

nają ustawiać się w kolejce na liściach. Kiedy jeżyny dojrzeją, ruszy wyścig.

W miejscu, gdzie ścieżyna rozszerza się i przechodzi w pastwisko, wyprzedzają nas kłusem osiołki. Podnoszę wzrok i widzę Josette, stojącą przy bramce z torbą pełną obierek. Dostrzegła nas, ale nie macha. Claude wysuwa palec z mojego uścisku.

Macham do Josette, na co podnosi z furtki jedną rękę. Nie można tego nazwać właściwym pomachaniem, ale przynajmniej wiem, że mnie widzi. Wtedy osiołki, pchając się do pani po przekąskę, zasłaniają ją oślimi zadkami.

- To Josette zrobiła mi fryzurę - mówię Claude'owi. Patrzy na mnie, ale nie zatrzymuje się jak zwykle, żeby przykucnąć i wysłuchać, co mam do powiedzenia,

- Josette ścięła mi włosy! - powtarzam, podnosząc głos. Tym razem Claude w ogóle nie słucha, tylko przyspiesza kroku. Merlin truchta przy nim, skomląc.

- Nieważne - rzucam. - Kiedy indziej ci opowiem.

- Dzień dobry, Josette - wita ją Claude.

- Dzień dobry, Claude - odpowiada Josette, otwierając przed nami bramkę. - Jaki ładny dzień.

Mówi, że dzień jest ładny, ale wcale się nie uśmiecha.

- Dzień dobry, Josette - mówię i ja.

- Witaj, Obdartusku - odpowiada, odgarniając mi włosy z czoła.

- Mam już tyle imion, że aż się gubię. Większość osób nazywa mnie Pea - tłumaczę jej.

- Co robisz na łące, Pea? - pyta Josette.

Stoi pod słońce, więc stanowi tylko fioletowy cień i muszę mrużyć oczy, żeby w ogóle na nią patrzeć.

- Codziennie się tu bawimy - mówię jej. - Jest fajniej niż w domu. Nie dokuczamy osiołkom, a one nas nie kopią.

- Mam cztery latka, a Pea pięć i pół - odzywa się Margot. - Jesteśmy dużymi dziewczynkami. Umiemy znaleźć najgłębszy cień i wiemy, gdzie mieszkają wróżki.

Josette unosi brwi.

- A ty, Claude?

- Spaceruję z psem, skoro pytasz - odpowiada Claude. Brzmi na zezłoszczonego. Dotąd tylko raz słyszałam

złość w jego głosie - kiedy groziło nam niebezpieczeństwo. Zakładając, że Josette nie jest wiedźmą, a uznałyśmy, że nie jest, nic nam nie grozi. Nie rozumiem, o co chodzi.

- Merlin jest czarodziejskim psem - zdradzam Josette, żeby sprawdzić, jak zareaguje.

- Czarodziejski pies, coś takiego! - kręci głową. - No, dobrze już, biegnij do domu. Na pewno mama się martwi. Przeprowadzę cię przez jezdnię.

To nie pytanie. Pozwalamy więc, żeby przeszła z nami na drugą stronę, po czym ruszamy biegiem w górę. Po chwili słyszymy za plecami krzyk Josette.

-Stój!

Odwracamy się, ale to nie do nas woła. Claude i Merlin zmierzają do domu, a Josette biegnie za nimi z krzykiem.

- Zatrzymaj się w tej chwili! - Claude nie zwraca na nią uwagi, ale i tak go dogania. Jak na staruszkę biega naprawdę szybko. Zaczynają się kłócić, tam, przy płocie. Osiołki patrzają, my patrzymy. Merlin leży w trawie. Upał jest dla niego zbyt męczący. Claude wymachuje rękami. Josette też wymachuje. Ich ramiona poruszają się w górę i w dół.

- Co im się dzieje? - pytam Margot.

- Jakaś sprawa dorosłych - mówi. - Dorośli kłócą się o różne głupstwa.

- Hm - komentuję tylko. - Jestem strasznie głodna, a ty?

- Umieram z głodu - przyznaje Margot.

- Lepiej nie ruszajmy brzoskwiń - mówię. - I tak mało co zostało na drzewkach.

- Cóż, w lodówce jest coś pysznego - przypomina sobie Margot.

- Ach, tak - mówię. Zapomniałam o naszej potrawie. Jestem wykończona.

- Myślisz, że Mamunia zauważy, jak zjemy w łóżku?

- Wątpię.

Rozdział 15

Moją sypialnię spowija granatowy półmrok. Żaby rechoczą i cykają świerszcze, ale słysząc już też jaskółki i pianie koguta. Tatuś się rozplywa.

Zaciskam powieki najmocniej, jak potrafię. „Zostań, zostań!” - mówię na głos, ale rozmywa się w szarości - jego uśmiech, jego zapach. Było doskonale. Sen trwał tak długo. W kółko budziłam się i z powrotem zasypiałam i śniło mi się to samo. Tatuś, pachnący przestrzenią, deszczem, sianem, smarem do traktora. Tata stojący w drzwiach u podnóża schodów, z ramionami otwartymi szeroko specjalnie dla mnie, schylający się, by mnie złapać, gdy wpadam w niego biegiem. Jego ramiona oplatają mnie mocno i unoszą wysoko w górę, na buziaka. Czuję zapach jego skóry, kładę głowę na jego ramieniu. Próbuję przedłużyć sen, przeciągnąć go, by rano nie przestał trwać, chcę schwytać zapachy. Niestety, im bardziej walczę, by zatrzymać sen, tym bardziej się budzę.

- Tatusiu, zaczekaj! Nie zdążyłam ci opowiedzieć o dziewczęcym gniazdku i Claudzie. Tatusiu, twój traktor jest cały w brzoskwiniach...

- Gdzie są moje buty do pracy na traktorze? - pyta Tata. - Gdzie moje buty do pracy na traktorze?

- Mamusia założyła je, żeby zabić skorpiona.
- Gdzie jest Mamunia?
- Śpi.
- Gdzie twoja mama?
- Nie wiem.
- Chyba ją zgubiliśmy, Pea. - Głos Tatusia rozmywa się w barwy pod moimi powiekami.
- Przepraszam, Tatusiu. Nie umiem jej znaleźć - mówię. Tata zniknął. Nawet się nie pożegnał. Otwieram oczy, ale widzę tylko pokój i jest mi trochę wstyd.
- Odwracam się twarzą do ściany i z powrotem zaciskam powieki. Chcę zasnąć, ale kogut pieje i jaskółki ćwierkają, i akurat w tej chwili jestem na nie wściekła. Swoim hałasem i rozpaloną bielą zabierają chłodny, pusty mrok. Odbierają mi Tatusia, który już do mnie nie wróci.
- Czuję w sobie ciemność, ciężką, jakbym połknęła wielki, zimny głaz, który drapie mnie od środka, sunąc w dół. Zaczynam się trząść, łkanie rodzi się w moim brzuchu i wydostaje się ustami. Zwijam się w ciasny kłębuszek, a płacz wstrząsa mną, na dobre odganiając sen.
- Po chwili budzi się Margot. Chociaż leżę plecami do pokoju, czuję, że już nie śpi, więc odwracam się, żeby popatrzeć. Siedzi po turecku na łóżku.
- Nie smuć się, moja pchełko - mówi, a ja się uśmiecham. Brzmi jak Claude, co od razu poprawia mi nastrój.
- Śnił mi się Tatuś - mówię.
- Tak? - interesuje się Margot. - Co mówił?

- Nie pamiętam.
- Mnie się śniło, że gram w tenisa na plaży - mówi Margot. - Miałyśmy pomarańczowe rakietki, ale brakowało piłeczki, więc było bardzo śmiesznie.

- Faktycznie brzmi śmiesznie - przyznaję.
- Gdzie dziś pójdziemy?
- Na dolną łąkę - decyduję. - Chodźmy do dziewczęcego gniazdka sprawdzić, co tym razem przyszykował Claude.

Nagle zza drzwi wygląda głowa Mamuni. Włosy opadają jej na twarz i ma zaspane oczy.

- Co to za krzyki? - pyta.
- Przepraszam - mówię. - Miałam koszmar. Mamunia przysiada na skraju łóżka, które skrzypi pod jej ciężarem. Kładzie dłoń na mojej nodze i patrzy na mnie.

- Co ci się śniło? - wypytuje.
- Nic.
- To nie mogło być nic.
- To był miły sen - wyznaję. - Przestraszyłam się, kiedy się skończył.

Twarz Mamuni się budzi. Patrzy wprost na mnie.

- Mam takie sny - mówi. - Dobrze już.
Łóżko znów skrzypi, kiedy Mamunia dźwiga się na nogi. Ma już tak wielki brzuch, że zaraz naprawdę ją przeważy. Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli się przewróci, co jest nieco niepokojące.

- Ubierz się - mówi Mamunia. - Śniadanie.
- Ostrożnie - upominam.

Mamunia uśmiecha się półgębkiem i mówi:

- Dobrze, Pe, będę ostrożna. W co chciałabyś się ubrać? Wzruszam ramionami. Skończyły mi się już czyste ubrania. Mamunia zagląda do szafy i wyjmuje sukienkę w kolorze bzu - moją ulubioną z zeszłego roku.

- Tę najbardziej lubisz, prawda? Załóż.

Uśmiecham się, odbierając od niej sukienkę. To ubranie na czteroletnią mnie. Wciskam się w nią, choć jest za mała, ale i tak dobrze się w niej czuję.

Podczas śniadania zza zasłonki, tuż za Mamunią, wybiega mysz. Wstrzymuję oddech. Margot wydyma policzki. Lubimy myszkę. Ale dorośli nie przepadają za gryzoniami i pewnie Mamunia będzie chciała się jej pozbyć.

Mamy rację. Mamunia dostrzega zwierzątko kątem oka i wstaje od stołu, żeby przynieść ze spiżarni pułapkę. Zdejmuje kielbaskę ze spiczastego haczyka, ze zlewu bierze ostry nóż. Wyciera go. Następnie odcina koniec kielbaski razem z metalowym klipsikiem i wiszącym sznurkiem, i montuje przynętę w pułapce. Myszy w naszym domu lubią kielbaskę.

Mamunia odsuwa zasłonkę, żeby umieścić za nią pułapkę, ale uderza nas płynący stamtąd dziwny smród. To nie zapach myszy, które w zasadzie nie pachną jakoś szczególnie. Pachnie bardziej jak z kosza na brudną bieliznę, pełnego wilgotnych ręczników i brudnych ubrań, niemogących się doczekać prania.

- O, nie. Nie wierzę! - wzdycha Mama.

- Co się stało, Mamuniu?

- Cieknie - mówi. - Zlew przecieka.

Śledzimy jej twarz, żeby przekonać się, co zrobi. Mina nie zdecydowała się jeszcze, czy będzie miną waleczną czy łzawą.

- Piwonio, przyniosłabyś mi ze stodoły klucz francuski?

- Okej - mówię, zeskakując na ziemię.

- Wiesz, jak wygląda klucz francuski?

- Taka duża metalowa kość dla psa?

- Mniej więcej.

Drzwi stodoły są otwarte, więc omijamy lepką maź, po której łażą mrówki i muchy. W środku panują cień i chłód, a w kącie stoją szuflady z narzędziami Tatusia, zawsze czystymi i ułożonymi w porządku.

- Górna, środkowa czy dolna? - pytam Margot.

- Środkowa.

Otwieram szufladę i okazuje się, że Margot ma rację.

- Bingo! - chwale.

Bez trudu znajduję klucz. W sumie znajduję nawet trzy - mały, średni i duży, ale kiedy zamykam szufladę, ten najmniejszy wyslizguje mi się z ręki i z brzękiem uderza o ziemię. Kiedy się po niego schylam, dostrzegam, że nieopodal coś leży w białej smudze światła. Wygląda jak dłoń.

- Aaa! - wydaję okrzyk i odskakuję w tył.

- To nie dłoń - mówi Margot.

- Więc co?

- Rękawiczka.

Przyglądam się palcom i reszcie dłoni aż do końca, gdzie widać szorstkie zapięcie na nadgarstek.

Rękawiczka. Rękawiczka Tatusia. Podnoszę ją i zaciskam na niej palce, jakbym trzymała Tatę za rękę. Rękawiczka jest zbyt miękka i oklapła, ale ma właściwy zapach.

- Zachowam ją - oznajmiam. Ukrywam znalezisko pod kamieniem przy stodole. Potem przeprowadzi się do dziewczęcego gniazdko.

W kuchni zastaję Mamunię klęczącą na podłodze, a jej sukienka robi się całkiem brudna. Mamunia ma za duży brzuch, przez co nie jest w stanie sięgnąć pod zlew i naprawić rury.

Jej mina wreszcie się decyduje i Mamunia wybucha płaczem.

- Mogłybyśmy zadzwonić po kogoś, kto by to naprawił - sugeruję.

- I czym mu zapłacimy?

- Nie wiem - przyznaję. - Przepraszam.

Upuszcza klucz francuski przy zlewie i zaciąga z powrotem zasłonkę. Pułapkę na myszy zostawia na boku.

- Nie dotykaj tego - nakazuje i ociężale wchodzi po schodach.

Dość długo nie wstajemy od stołu, sądząc, że Mamunia niebawem wróci. Wpatruję się w pułapkę, z nadzieją, że myszka jej nie widzi. Czas mija, nic się nie dzieje. Zegar tyka, aż dochodzi do ósmej i robi ding.

- Wpadłam na świetny pomysł - oznajmia Margot. Wyraźnie widać, że ma coś bardzo ważnego do powiedzenia. Jakieś ogłoszenie. Czeka, aż skupię na niej całą uwagę.

- Okej - mówię. - Co wymyśliłaś?

- Wiem, jak doprowadzić wyzwanie do sukcesu -mówi Margot. - Potrzebujemy nowego taty i może nim zostać Claude.

Uśmiecha się z dumą. To bardzo ważne ogłoszenie.

- Nowy Tatuś? Można sobie tak po prostu znaleźć tatę?

- Wydaje mi się, że każdy może być tatą. Potrzebny nam ktoś, kto potrafi naprawiać usterki w domu i kto sprawiłby, że Mamunia znów będzie się uśmiechać. Gdybyśmy miały Tatusia, musiałyby gotować jak należy, żeby móc podawać mu obiady.

- Codziennie - mówię.

- Tak, codziennie.

- Naprawdę myślisz, że Claude by się sprawdził?

- Myślę, że nadaje się doskonale.

Ptaki bardzo dziś hałasują. Kilka siedzi na drzewie tuż nad naszymi głowami, ćwierkając i terkocząc. Dzieciół wystukuje dziury. Dla Claude'a jest jeszcze pewnie za wcześnie, więc czekamy na niego, bawiąc się w sklep.

- Będę sprzedawczynią - zgłasza się Margot. - A ty u mnie kupujesz.

- Dobrze, niech będzie. - Zgadzam się. - Dzień dobry, pani sprzedawczyni.

- Witam. Czego sobie pani dziś życzy?

- A, poproszę kawałek sera. Margot kręci głową.

- Niestety, skończył nam się.

- W takim razie poproszę kredki.
 - Nie mamy w sprzedaży.
 - A ma pani jajka?
 - Jajka? - dziwi się Margot. - A co to jest? Obie wybuchamy śmiechem.
 - Co pani w ogóle ma w tym sklepie?
 - Mnóstwo różnych różności - odpowiada Margot. - Prawie wszystko, o czym można zamarzyć.
 - Jest marchewka?
 - Nie ma. - Margot wystawia język i znów się śmiejemy.
 - To co jest?
 - Mamy ośmiornicę, klipsy do wieszania prania, oliwki i cebulę - wymienia Margot i machnięciem ręki wskazuje wystawę swojego sklepu. - Proszę spojrzeć, wszystko wyłożone, wprost przed pani oczami.
 - W takim razie poproszę ośmiornicę i kilka klipsów do bielizny.
 - Dziewięćdziesiąt dziewięć euro - kasuje mnie Margot. Zna duże liczby, więc się popisuje.
- Dość długo bawimy się w sklep, aż słońce jest w połowie drogi na szczyt nieba i powietrze rozgrzewa się nawet w cieniu.
- Pójdźmy trochę brodzić - proponuje Margot. Nawet nie czeka, co powiem, tylko zsuwa się z drzewa i rusza biegiem z powrotem przez wysoką trawę, prosto do strumienia. Kiedy dobiegam na brzeg, Margot siedzi już na korzeniu po drugiej stronie.
 - Ślamazara! - woła.

Nie mam dziś ochoty, żeby ktoś mi dokuczał, więc postanawiam się nie spieszyć. Mój wzrok przyciągają wiesiołki, które kiedyś uznałam za podstawione przez czarownice, kiedy jeszcze nie wiedziałam o Claudzie. Nazbieram bukiet dla Mamuni. Choć kwiatki są bardzo delikatne, mają grube łodygi, które trudno złamać. Wreszcie kończę wykręcać i rwać, i trzymam w rękach pięć długich łodyg, na których jest ponad dziesięć kwiatów i mnóstwo podłużnych, zielonych liści.

- Piękne - chwali Margot. - A teraz chodź już!

Uśmiecham się do niej i wchodzę wprost do potoku w sandałkach. Woda jest dziś dość wysoka i obmywa mi łydki cudownym chłodem. Przez chwilę stoję w jednym miejscu, na zmianę kopiąc nogami, chlapiąc wokoło. Wpatruję się w nurt. Nie widzę swoich stóp, tylko własne różowo-fioletowe odbicie i żółte odbicie kwiatów. Ciekawe, czy Mamunia uśmiechnie się na ich widok. Przypomina mi się nasz ciekący zlew, pułapka na myszy z kiełbaską, brak pieniędzy i potrzeba nowego tatusia.

- To będzie nie lada wyzwanie - mówię.

- Może nie musimy same wszystkiego naprawiać.

- Ale jeśli nie naprawimy wszystkiego, Mamunia pozostanie nieszczęśliwa.

Margot robi zamyśloną minkę.

- Uważam, że jeśli załatwimy tatę, i może jeszcze sprzątanie - mówi - to wystarczy.

- Dobrze - przytakuję. - Więc chodźmy od razu po Claude'a.

- To szybko!

Przestaję kopać i ruszam na drugą stronę strumienia. Dno jest jednak kamieniste i śliskie, dlatego omal się nie przewracam.

-Ojej!

- Idź po kamiennych stopniach, głuptasie! Wyciągam rękę jak akrobata i robię maleńkie kroczki, żeby dojść do kamiennych stopni.

- Hurra! - wołam. - Udało mi się!

Staję na pierwszym zielono-brązowym głazie, potem stawiam stopę na drugim.

- Nareszcie - mówi Margot.

W zasadzie nie wiem, co się dzieje potem. Stopy ześlizgują mi się z kamieni. Walczę obiema nogami, by złapać równowagę. A potem moje stopy i pupa lądują w strumieniu. Jestem mokra. To pierwsze ważne spostrzeżenie - że moja pamiątkowa, czteroletnia sukienka oraz majtki są mokre i zimne. Myśl tę szybko spycha na bok ból, który czuję w nodze. Nie w tej od skorpiona, tylko w tej drugiej. Kiedy próbuję nią poruszyć, żeby wstać, boli jeszcze bardziej. Macam palcami pod wodą. Stopa ugrzęzła pod kamieniem. Staram się go popchnąć, podnieść, rozkołysać, ale bez skutku.

- Margot! - wołam. Podnoszę wzrok, ale nigdzie jej nie ma.

Przeszywający chłód potoku zaczyna mi sprawiać większy ból niż zgniecenie przez głaz, więc opracowuję sposób, by wstać, wykręcając kostkę i naciągając kolano. Ciemnofioletowa mokość sukienki rozchodzi się już w okolicę pasa, na partię o odcieniu bzu. Czuję się bardzo samotna. Brzegi

strumienia porastają cieniste krzewy i jestem przekonana, że widzę kryjące się w nich potwory Mam ochotę się rozplakać, ale zamiast tego wybieram krzyk. Wzywam Claude a, Merlina i Josette. Krzyczę najgłośniej, jak potrafię, a potem milknę, żeby nasłuchiwać, czy nikt nie idzie. Potem znów drę się wniebogłosy. Powoli zaczynam się bać, że nikt się nie zjawi.

Wydaje mi się, że słyszę szelest trawy. Kiedy podnoszę głowę, widzę Margot. Wróciła i usadowiła się na brzegu jak żaba.

- Nie martw się - pociesza. - Wszystko będzie dobrze.

- Margot - mówię. - Co ty tam wiesz.

- Naprawdę będzie dobrze.

- Claude! Merlin! - W moim krzyku dźwięczy panika. - Claude!

Pierwszy zjawia się Merlin. Już z daleka słyszę jego szczekanie, a potem pies wbiega do rzeki. Nie pędzi galopem, jak to zwykle ma w zwyczaju, tylko biegnie kłusikiem. Nie spieszy się, choć przecież utknęłam. Podpływa do mnie, więc przestaję krzyczeć, żeby go nie przestraszyć. Kładzie się w potoku, brzuchem w wodzie, i spogląda na mnie smutnymi oczami.

- Nie smuć się, Merlinie - pocieszam go. - Nie umarłam, zrobiłam sobie tylko trochę krzywdę.

Wkrótce za Merlinem zjawia się Claude. Ma bardzo poratane ręce i nogi, z zadrapań sączy się krew. Nawet na twarzy ma kropkowane czerwone kreski, w których zbierają się krwawe kropelki. Najwyraźniej pędził przez chaszczę, nie zważając na kolce. Bez słowa wpada do strumienia. Schyla się, jedną ręką chwyta mnie w pasie, drugą zanurza w wo-

dzie. Spycha kamień z mojej stopy i wyjmuję mnie. Wynosi na brzeg i sadza po stronie dolnej łąki. Wciąż trzymam w garści kwiaty. Merlin podchodzi i obwąchuje mi twarz, przyciskając łeb do mojej szyi. Drapię go po sierści. Claude siada obok i bierze w ręce moją stopę. Zdejmuje mi buta i przyciska dłonie do skóry. Są tak gorące, że aż parzą.

- Jesteś zamarznięta - mówi. - Co się stało?

- Nie wiem - odpowiadam.

Mam wrażenie, że w stopę kłuje mnie sto igiełek. Wcale mi się to nie podoba. Claude wstaje.

- Dasz radę iść? - pyta.

Nie jestem pewna, czy dam radę iść, ale bardzo mocno się trzęsę. Tak bardzo bym chciała, żeby mnie przytulił. Wieszam mu się na nogach, oplątam je ramionami i trzymam mocno. Patrzę w górę. Marzę, żeby mnie przytulił. Próbuje mnie odczepić, ale przywarłam do niego jak małpka.

Claude wygląda na niezadowolonego.

- Puść, Pea - prosi. Nie chce mnie przytulić, nawet kiedy stała mi się krzywda, bo nie jest moim tatą. Margot ma rację.

- Claude - mówię. - Muszę ci zadać ważne pytanie.

- Szalenie ważne - dodaje Margot.

- Dobrze - zgadza się Claude, siadając z powrotem w trawie. -

Pytaj.

- Będziesz naszym nowym tatą?

- Nie jestem waszym tatą.

- Ale my potrzebujemy nowego tatusia - mówi Margot.
- Byłbyś dla nas najlepszym tatusiem. Nie musisz z nami mieszkać, jeśli wolisz zostać we własnym domu.
- To co byłby ze mnie za tata?
- No, musiałbyś robić tatowe rzeczy - informuję.
- Oto nasza lista - mówi Margot, udając, że rozwija długi zwój papieru. Tak naprawdę ma puste ręce.
- Po pierwsze! - oznajmia.
- Tata musi sprawić, że Mamunia będzie się uśmiechać i śpiewać - mówię.
- Po drugie! - zapowiada Margot.
- Tatuś musi sprawić, że Mamunia będzie wstawiała z łóżka i gotowała nam pysznie jak kiedyś.
- Po trzecie! - wylicza Margot.
- Tata musi nas przytulać i czytać bajki na dobranoc.
- Po czwarte! - ciągnie Margot.
- Tata musi naprawić cieknący zlew w kuchni, bo inaczej zaleje ją woda i się potopimy.
- Po piąte - nie ustaje Margot.
- Tatuś musi...
- Potopicie się w kuchni? - reflektuje się Claude. - Ile punktów ma ta lista?

Wygląda na zniecierpliwionego, a na jego twarzy już maluje się słowo „nie”.

- Niełatwo być tatą - mówi Margot. - Ma się wiele obowiązków.

- Najważniejszy jest pierwszy punkt - podkreślam. Nie chcę, żeby Claude myślał, że bycie naszym tatą jest zbyt męczące.

- I przytulanie - dodaje Margot.

- Tak, przytulanie byłoby miłe - przyznaję.

- Tęsknisz za tatą, co? - pyta Claude. Kiwam głową.

Claude nachyla się i mnie przytula, ale pieszczota jest sztywna, jakby był wykrochmalonym ubraniem złożonym w szufladzie.

- Robisz się za chuda! - zauważa. - Trzeba cię trochę podtuczyć.

- Jak w bajce o Jasiu i Małgosi? Żebyś mógł mnie schrupać?

- Gdybym cię schrupał, kto by ze mną gawędził? - pyta Claude.

- Nie miałbyś nikogo, więc nie możesz mnie zjeść i już! - chichoczę.

Claude uśmiecha się i znów mnie przytula, już bardziej miękko, choć niewiele.

- Jak zostaniesz naszym tatą - zapowiadam - będziesz musiał poćwiczyć przytulanie. Jak na pierwszy raz było nieźle, ale mogłoby być lepiej.

- Merlin lepiej spisuje się w tych sprawach ode mnie - mówi Claude. - Hej, Merlinku, chodź się wtulić w Pea i Margot!

Pies wstaje i podchodzi do nas. Kładzie się przy mnie z cichym jękiem i opiera głowę na moich kolanach. Margot

i ja drapiemy go po brzuchu i głaskamy rudą sierść na łbie i uszach. Kłapciaty ogon delikatnie uderza o wilgotną trawę.

- Lubicie kiełbaski? - pyta Claude.

- Uwielbiamy kiełbaski! - woła Margot.

- Uwielbiamy! - potwierdzam.

- To mamy umowę - oznajmia Claude. - Przyjdziecie tu później i pomożecie mi zjeść kiełbaski, a w zamian obiecuję, że was nie schrupię.

Merlin uderza ogonem o ziemię.

- Tak, pewnie - mówi Claude. - Dla ciebie też się znajdują.

Gdy docieramy do domu, zostawiam sandałki na zewnątrz, w słońcu, i zanoszę kwiaty dla Mamuni do środka. Ale żółte główki smutno zwieszają płatki. Kładę je na stole i staram się wykombinować, co zrobić, by ładnie wyglądały. Dzwoni telefon, ale nie mam siły go odebrać. Chyba już rozumiem Mamunię, kiedy mówi, że jest zbyt wykończona, by coś zrobić. Nie chodzi nawet o to, że moja ręka nie ma siły sięgnąć po słuchawkę, ale uszy są zbyt zmęczone, by słuchać. Więc telefon dzwoni i dzwoni. Wreszcie słychać skrzypnięcie łóżka na górze i drzwi Mamuni otwierają się z rozmachem, z hukiem uderzając o ścianę.

- Nie możesz odebrać - krzyczy, tupiąc po schodach - zamiast czekać, aż mnie obudzi? Wydaje ci się, że dość się już dziś wyspałam?

- Nie - odpowiadam. - Przepraszam.

Zerkam na Margot, kopiącą sandałkiem w kuchenną podłogę, ze wzrokiem wbitym w palce u nóg.

- Myślałam, że to znowu Mami Lafont i że lepiej nie odbierać. Mamunia patrzy na nieszczęśliwe kwiaty na stole.
- Może gdybyśmy włożyły je do wody? - sugeruję.
- Nie żyją - ucina. - Wyrzucić je do śmieci.
- Nie mogłabym ich zasadzić na zewnątrz?
- Piwonio, one umarły. Po prostu je wyrzucić. Chwytam kwiaty i wybiegam na dwór, a drzwi trzaskają za mną. Mamunia zostaje w środku.

Idziemy za stodołę, gdzie siadamy w cieniu, opierając plecy o chłodne, twarde kamienie. Przytulam do siebie kwiaty, ale żółte płatki już opadają. Płaczę, choć nie ma nikogo, kto by mnie zobaczył i spytał, co się stało.

- Co się stało? - pyta Margot. Siedzi przy mnie, a teraz przysuwa się jeszcze bliżej, aż nasze pupy się stykają, a jej rączka łapie mnie za kolano.

- Mamunia kazała mi je wyrzucić, bo nie żyją.
- Są jak maki - mówi Margot. - Nie powinnyśmy ich zbierać, bo zaraz robią się oklapłe i więdną.

- Nie wiedziałam - mówię. - Nie chciałam ich zabić.
- Może je pochowamy? - proponuje Margot. Wspaniałe pomysły. Margot ma dopiero cztery latka, ale miewa świetne pomysły. Kiwam głową.

Idziemy pod granatowiec i wciskamy kwiaty w ziemię, tak, by zmieściły się do dziury, którą wygrzebałyśmy palcami. Posypujemy martwe roślinki czarną ziemią.

- Z prochu w proch - mówię.

- Straszna tragedia - ogłasza Margot.
- Przepraszam - zwieszam głowę. - To moja wina. Potem płaczę jeszcze trochę, aż kończą mi się łzy. Margot czeka.

Kiedy kończę oplakiwanie kwiatów, rzuca:

- Może kielbaski?

Już w drodze przez sad brzoskwiniowy czuję w ustach smak pieczonego mięsa. Pomiędzy drzewami wije się zapach palonego drewna, prowadząc nas ku domowi Clau-de'a. Burczy mi w brzuchu i cieknie mi ślinka. Jestem głodna. Naprawdę głodna jak wilk. Ruszamy biegiem. Szybciej, coraz szybciej pomiędzy drzewami. Kiedy docieramy do kanału z wodą, pokonujemy go jednym susem i przeskakujemy przez dziurę w żywopłocie. Claude stoi twarzą do przejścia i od razu nas dostrzega.

- W samą porę - mówi, wyjmując z ust papierosa, żeby móc się do nas w pełni uśmiechnąć.

Claude nakrył już do stołu. Są pomidory pokrojone w okrągłe plasterki i rzodkiewka, do tego masło i wielki bochen chleba. Patrzy, jak pożeramy wzrokiem jedzenie.

- Macie ochotę na kromkę - oferuje - podczas gdy kielbaski się pieką?

- Tak, prosimy! - wołamy jednym głosem i wyciągamy ręce. Claude odłamuje i podaje nam dwie chrupiące piętki. Siadamy na trawie przy grillu.

- Nie dotykać!

- Wiem, gorące.

- Grzeczna dziewczynka.

Kiełbaski pieką się dość długo. Im dłużej to trwa, tym więcej kiełbaskowego zapachu wkrada mi się do nosa, a dym troszkę piecze w oczy. Merlin nie zbliża się do jedzenia, ale leży w cieniu pod drzewem. Claude postawił przy nim miskę z wodą, żeby mógł się napić. Pies jednak leży tylko w trawie, na wpół drzemiąc, a trochę łypiąc na nas jednym okiem. Zwykle rozmerdany ogon dziś jakoś oklapł. Merlin wydaje się tak smutny, że porzucam smakowite zapachy i idę go przytulić.

- No, dobrze - odzywa się wreszcie Claude. - Chyba są gotowe.

Pierwszą kiełbaskę przynosi Merlinowi, machając widelcem w powietrzu i dmuchając na mięso, by ostygło.

Zwierzak unosi łeb i przygląda się smakołykowi. Ogon odmachuje odrobinę radości - pac, pac, pac w piasku - ale pies nie wstaje, by skosztować lunchu.

Claude marszczy brwi. Kuca przy Merlinie.

- Proszę, weź - namawia. Ale Merlin odpowiada tylko: „Auuuu” i kładzie głowę z powrotem na ziemi. Claude zostawia kiełbaskę tuż przed psim nosem i wszyscy patrzymy, co będzie.

- Może to przez ten upał - mówi cicho Claude.

Rozdział 16

Mam już dość poplamionych ubrań - oznajmia Margot. - Ja też - przytakuję. Nie mam ani jednych czystych majtek, ale tam, wysoko, wisi jedna wyprana para. Wyprana i pochlapana sosem pomidorowym, ale jakoś temu zaradzimy.

- Wyczyścimy je - zapowiada Margot. - Dziś wreszcie pokonamy wyzwanie, mówię ci.

Wspinamy się na drewniany stół. Stoję, bo najdalej sięgam ręką, ale i tak muszę wspiąć się na palce, co nie jest proste, bo bolą mnie obie stopy. Ta ukąszona przez skorpiona wciąż trochę boli, a druga, która dopiero co utknęła między kamieniami, boli bardzo. Staram się dosięgnąć ubrań, ale kręci mi się w głowie. Margot klęka przy mnie i trzyma mnie mocno za kolana, patrząc w górę, by obserwować, jak mi idzie.

Zdejmuję klipsy z kolejnych upstrzonych sosem ubrań i pozwalam im sfruwać na blat. Wszystko idzie doskonale, dopóki nie strącam łokciem rondelka, który spada z suszarki z wielkim brzękiem. Spieszę się, by móc powiedzieć Mamuni, że nie wiem, skąd ten hałas. Podnoszę garnek i próbuję odwiesić go z powrotem na miejsce, ale jest bar-

dzo podstępny i nie chce dać się zaczepić na błyszczącym metalowym S o ostrych końcach. W końcu i haczyk spada na ziemię. Odbija się od stołu, robiąc w blacie małe wgłębienie. Mam nadzieję, że Mamunia go nie zauważy.

- Ups - szepczę. - Przepraszam.

Na szczęście Margot nic się nie stało.

Złazę na dół, biorę pełne ramiona ubrań i zanoszę rzeczy do pralki stojącej w *buanderie*. Wlewam do środka płyn do prania i zamykam wieko.

- Którym guzikiem się uruchamia? - pytam Margot.

- Może spróbuj tym - mówi, wskazując na przycisk z obrazkiem dłoni zanurzonych w misce. - Wygląda jak pranie.

- Dobrze - mówię i wciskam guzik. Nic się nie dzieje.

- Spróbuj innym - podpowiada.

Przesuwam palce po przyciskach, włączając wszystkie. Kiedy pralka wreszcie ożywa ze stękiem, aż podskakuję, choć przecież powinnam się spodziewać reakcji maszyny.

- Mamunia będzie zadowolona - stwierdza Margot.

- Mam nadzieję.

Pralce wcale się nie spieszy. Praca zajmuje jej więcej czasu niż nam nakarmienie i napojenie kur, a nie możemy iść się bawić, dopóki nie wywiesimy ubrań, więc postanawiamy potańczyć. Kamienie, którymi wyłożone jest podwórko, parzą nas w stopy. Tańczę powoli, a Margot naśladuje moje ruchy. Wykonujemy ten sam taniec, mimo że muzyka gra tylko w naszych głowach.

- Pięknie tańczysz - podziwia Margot.

- Dziękuję - odpowiadam. - Ty też.
- Może zostanę baletnicą, gdy dorosnę - rozmyśla Margot.
- Nie tancerką flamenco?
- Będę tańczyć jedno i drugie - decyduje. - A ty? Unoszę ręce nad głową i obracam się w koło. Kapelusz spada, ale nie przestaję wirować, aż kręci mi się w głowie i robi mi się niedobrze.

- Nie wiem - mówię.
Kosz na bieliznę jest zbyt duży, bym dała radę go unieść i zbyt głośny, by ciągnąć go po ziemi. Poza tym nie sięgam sznura do suszenia, ale trudno. Wpadam na świetny pomysł. Biorę mokre ubrania po kilka sztuk naraz, wynoszę je na podwórko i rozwieszam na krzesłach.

- Powinnyśmy znaleźć Claude'a - oznajmiam Margot - i opowiedzieć mu o udanym poranku.

- Zdecydowanie - przytakuje. - Jesteśmy specjalistkami od prania.

- A jak wrócimy, Mamunia zdąży się już ucieszyć - dodaję.
- Zgadza się - mówi Margot. - Dziś ty masz dzień na dobre pomysły.

Na dolnej łące nic się dziś nie zgadza. Osiołki stoją przy brzegu pastwiska, ale nie podchodzą, gdy przełazimy przez bramkę. Bardziej interesuje je trawa. Nie ma morelowej pajęczycy, a jej sieć jest zniszczona. Świerszcze co prawda nie zniknęły, skaczą hip-hop po moich sandałach, ale jest ich tylko garstka i ani jeden nie ląduje mi na skórze.

Nie mam ochoty sama przechodzić przez strumień, ale od rana byłyśmy zbyt zajęte, żeby zjeść śniadanie, więc chcę zobaczyć, co zostawił dla nas Claude. Trzymamy się za ręce i ostrożnie, pomalutku, przechodzimy na drugą stronę. Ale w gniazdku też jest coś nie tak. Przy pniu nie czekają na nas butelki z wodą, a na górze nie ma rodzyneków, herbatników - nie ma nic! Jest pusto i źle. Nie chce mi się nawet otworzyć puszki, żeby nacieszyć się skarbami. Siedzimy na ziemi, oparte plecami o pień drzewa i czekamy, aż trawa rozstąpi się, ukazując Merlina, a za nim Claude'a.

Czekamy bardzo długo, aż robię się tak spragniona i głodna, że nie mam siły się bronić przed ogarniającym mnie smutkiem.

- Claude'a jeszcze nie było - mówię. - Chyba już nie przyjdzie.
- Podejrzana sprawa. Już prawie pora lunchu.
- Niemożliwe, żeby zapomniał. Pewnie się na nas gniewa.
- Lubi nam przynosić smakołyki. Na pewno da się to jakoś wyjaśnić.
- Może nie spodobało mu się, że powiedziałyśmy, że powinien zostać naszym nowym tatą?
- Powinien się cieszyć - stwierdza Margot. - Miałby prawdziwą rodzinę.
- Może zezłościł się, że powiedziałam, że beznadziejnie przytula?
- Przecież beznadziejnie przytula.

- Ale może nie spodobało mu się, że to powiedziałyśmy? -
Może Claude jest dziś niewidzialny. Obserwuje, jak bawimy się w sklep i śmieje się z nas, tylko nie jesteśmy go w stanie zobaczyć.

Claude chyba nie ma czarodziejskich mocy, ale Merlin tak, więc może rzeczywiście coś w tym jest. Przez chwilę się nad tym zastanawiam. Rozglądam się w poszukiwaniu jakichś śladów.

Ziemia pod drzewem jest rozkopana, jakby ktoś w niej grzebał.

- Kto to zrobił? - pytam. - Może Merlin?
- Merlin nie przepada za kopaniem dziur.
- Nie. - Margot ma rację. - Może to tylko króliki?
- Mogły to zrobić króliki? Margot szeroko otwiera oczy.
- Duże króliki?
- Albo potwory, próbujące się dostać do naszego gniazdka, by nas dopaść?

- Nie! - Przyglądam się śladom wokół drzewa.
- Kto wie.

Czuję, jak wypełnia mnie ciemność.

- Chcę iść na Wietrzne Wzgórze, teraz, zaraz - mówię.

Trawa jest tu wysoka i pełno w niej kwiatów - koniczyny, trybuli i jaskrów, różowych, żółtych i niebieskich. Pocieszają mnie, gdy idziemy nad strumień, więc mimo, że spieszę się z powodu potworów, zrywam sobie bratka. Nie zbieram jednak żadnych wiesiołków.

Mam już spory bukiet i prawie skończyłam zbieranie, kiedy nagle słyszę za plecami szelest trawy i aż krzyczę ze strachu. Odwracam się, żeby sprawdzić, co tam się czai, ale uszkodzona w potoku stopa nie jest do końca sprawna i przewracam się, lądując na plecach.

-Och!

- Przepraszam. - To Margot. - Nie chciałam cię wystraszyć.

- Margot! - mówię, patrząc na nią z naganą.

Cieszę się jednak, że nie jest potworem. Wysoko nad naszymi głowami krążą dwa myszołowy. Wyciągają pal-czaste skrzydła, jakby chciały mnie wziąć za rękę, ale nie mogły dosięgnąć.

- Kiedy będę ptakiem, będę tak latać.

- Ja też - mówi Margot. - Dalej, wstawaj.

Nad samym strumieniem, kiedy już mamy przechodzić z powrotem na dolną łąkę, dostrzegam pod jednym z drzew dużą, szarą kępę. Idę sprawdzić, co to, i znajduję więcej piór, niż kiedykolwiek w życiu widziałam. Są szare i puszyste, ten typ, który daje ptakowi ciepło, nie ten do latania. Są też, jedna czy dwie, brązowe lotki. Ciekawe, jaki ptak zostawił tu tyle pierza. Nagle wpada mi w oko leżące pośrodku maleńkie piórko w jaskrawo-błękitne paseczki. Sójka! Potem widzę następne. Niebieskie piórka są porozrzucane jak klejnoty wśród szarości. Rzucam się wybierać je wszystkie, przeszukując pierzysko w poszukiwaniu ukrytego pod spodem skarbu.

Nagle pod puszystością trafiam palcami na coś mokrego, więc szybko cofam rękę. Jest cała we krwi. Przez chwilę przyglądam jej się, czując, jak od środka zalewa mnie znów mrok, ale wreszcie używam patyka, żeby odepchnąć pióra na bok. Ukazuje się fragment ptasiej główki, jeszcze z dziobkiem i kawałkiem mięsa.

- Ten ptak został zamordowany - ocenia Margot. Wybucham płaczem. Próbuję wytrzeć krew z palców o sukienkę. Trochę schodzi, ale na rękach mam wciąż czerwone plamy.

- Mamuniu!

Słowo wyrywa się ze mnie samo. To dziwne, że moje usta je wypowiedziały. Reszta mojej głowy dobrze wie, że nigdy jej przy mnie nie ma.

Wracamy do domu i nalewamy sobie picie, ale upał i fatalny poranek rozłożyły mnie na łopatki. Ubrania na podwórku wyschły, ale marzę tylko, żeby wejść do środka i odpocząć. Postanawiam pozbierać je później, po drzemce.

W łóżku jest za gorąco, więc kładę się z poduszką na podłodze. Budzę się zamroczone i spocone. Mam wyschnięte gardło.

Margot też już nie śpi. Przesuwa palcem po wzorach na deskach podłogi, po sękach w drewnie. Oczywiście wszystkie zlicza.

- Wiesz, skąd wzięły się wzory w drewnie? - pyta.

- Nie wiem - przyznaję.

- Wy tłumaczę ci - mówi. - Kiedy to drewno było jeszcze drzewem, ktoś rzucił w nie kamieniem i zrobiły się te falki.

- Ale kiedy rzuci się kamieniem do rzeki, falki zaraz znikają - zauważam.

- To dlatego, że rzeka jest zrobiona z wody, a nie z drewna - poucza Margot. - Drewniane falki zostają na zawsze.

- Gdybyśmy cisnęły kamienie w deski podłogi, powstałyby nowe falki? - dopytuje.

- No coś ty. Falki można zrobić tylko, kiedy drzewo jest żywe.

- Aha - kiwam głową. Wiodę powoli palcem po martwo-drewnianych falkach.

- Czujesz zapach zimy? - pyta Margot.

Węszę w powietrzu i rzeczywiście, ma rację. Przez okno wpadają zimowe zapachy. Otwieram okiennice na oścież, żeby sprawdzić, skąd taka niespodzianka i cofam się, zaskoczona. Zza stodoły wyziera dymowy potwór, czarny i kłębiasty. Niesie ze sobą tak mocny zapach, że czuję w ustach smak spalenizny, jakbym się jej napiła.

- O, nie!

- Biegnę się przyjrzeć - mówi Margot.

- Nie wolno, to zbyt niebezpieczne.

- Będę ostrożna - rzuca. - Może będę musiała wezwać strażaków.

- To już lepiej pójde z tobą - postanawiam. - Zbiegamy po schodach na paluszkach, bo Mamunia jeszcze nie

wstała. Wypadamy na zewnątrz kuchennymi drzwiami, zamykając je za sobą z cichym kliknięciem.

Obiegamy dom i stajemy pod granatowcem. Wieje wilczy wiatr, wyjąc w przestrzeniach pomiędzy budynkami i pośród drzew. Liście trzepoczą jak stado ptasich skrzydeł. Choć zapach spalenizny jest blisko, dym jest dalej, niż nam się wydawało. Nie kryje się tuż za stodołą, ale okropnie go dużo i zmierza w naszym kierunku. Powietrze trzaska.

- Na Wietrzne Wzgórze! - wołam. - Szybko!

Całe zbocze stoi w płomieniach. Nie nasze, ale jedno z tych za wiatrakami. Turbiny się kręcą, a ich białe skrzydła pojawiają się i znikają w obłokach dymu. Na spodzie czarnych kłębow widać jęzory pomarańczowych płomieni.

- Halo - odzywa się Margot. Nie mówi do mnie. Rozmawia przez telefon. - Tak, tu Margot i Pea. Dzwonimy, żeby zgłosić pożar. Może pan przysłać kogoś, kto go ugasi?

Patrzy na mnie i wystawia do góry kciuk.

- Proszę się pospieszyć - mówi do słuchawki. A potem dodaje jeszcze: - Dziękuję.

- Już jadą - mówi mi.

- Całe szczęście - wzdycham z ulgą.

- Poprosiłam, żeby się pospieszyli.

- Mam nadzieję, że się postarają - mówię. Boję się, że jeśli nie przyjadą na czas, ogień zaatakuje turbiny.

- Słuchaj! - mówi Margot i w oddali słyszę „iii-ooo-iii-ooo” wozów strażackich. Naprawdę jestem zdziwiona.

- Jak to zrobiłaś? - chcę wiedzieć. Margot uśmiecha się i wzrusza ramionami.

- Jestem czarodziejką - mówi.

Wtem na niebie rozlega się warkot. Spoglądamy w górę, ale samolot znalazł się akurat na tle słońca i jest zbyt jaskrawobiało żeby patrzeć, nawet przez zmrużone powieki. Wreszcie wylatuje w błękit. Zmierza prosto w dym.

- To chyba niezbyt rozsądne - ocenia Margot.

- Też tak myślę - zgadzam się z nią i razem śledzimy wzrokiem samolocik pchający się wprost w pożar. Znika za wzgórzem, ale nadal słychać warkot silnika.

- Musimy się dostać tam - decyduje Margot, wskazując w dół ponad stertę gałązów i gąszcz krzaków. - Żeby lepiej widzieć.

Pożar nie zbliża się do nas aż tak szybko. Wydaje mi się, że dałybyśmy radę uciec, gdyby było to konieczne, więc zgadzam się na jej plan. Przez krzewy kokosowe i lawendę prowadzi coś na kształt ścieżki, gdzie ziemia jest mniej kamienista, więc tędy podążamy. Dróżka prowadzi nas przez gęste krzaki obsypane kwiatami przypominającymi jajka sadzone. Drobne zwierzątka uciekają przed nami, szeleszcząc pośród liści.

- Ciekawe, co się stanie z samolotem, jak się zapali -mówię, nie przerywając marszu. Suche dębowe liście o barwie skórek chleba chrupią nam pod nogami.

- Zniknie - odpowiada Margot.

- Ale gdzie się podzieją te zniknięte części?

- A - mówi Margot. - Tego nie wiem. Sprawdzę potem na Internecie.

- Nie da się tak, żeby coś najpierw było, a potem tego nie było.

- Jak to nie? - dziwi się Margot. - Z mnóstwem rzeczy tak się dzieje.

- Ale muszą gdzieś zniknąć.

- Wcale nie - upiera się Margot. - W Internecie jest napisane, że znikają i już. Zastanów się. Gdyby wszystkie umarłe i zepsute rzeczy musiały trafić w jakieś miejsce, to nasza planeta byłaby jedną wielką hałdą umarłych i zepsutych rzeczy. W dodatku, musiałybyśmy się cały czas po tym wspinać.

- W takim razie co z nieżywymi drzewami, z których ułożona jest nasza podłoga?

- Zadajesz strasznie dużo pytań - poddaje się Margot.

Ścieżka doprowadziła nas do rosnących na niewysokim pagórku sosen, gdzie trafiamy na coś naprawdę niezwykłego. Stoi tu domek dla bardzo małej osoby, cały z kamieni. Ale nie takich, jak nasz dom. Budynek jest z czterech gładkich - ogromnych niczym spłaszczonych skał. Wyższe niż dorosły człowiek. Mają zaokrąglone krawędzie, jak małe kamyczki, ale nie są gładkie, tylko chropowate. Jeden gładki stanowi tył chatki, dwa służą za boki. Ale najdziwniejszy jest dach, który jest po prostu wielkim, płaskim kamulcem, opartym na niepłaskich szczytach pozostałych trzech towarzyszy.

- Oto - przedstawia Margot - gdzie ludzie w dawnych czasach chowali się przed tygrysami.

- Nie bali się, że dach zawali im się na głowę?

- Bardziej przerażały ich tygrysy niż dachy. Napieram na górny kamień. Ani drgnie.

W środku panuje chłodny półmrok i jest jak w jaskini. Wysokość jest akurat w sam raz, żeby mogła się wyprostować, nie uderzając głową w sufit. Na ziemi leżą sosnowe igły i sterta szyszek, ale nic poza tym.

- Szkoda, że nie ma stolika i krzeseł - mówi Margot.

- Może nikt już tu nie mieszka - zgaduję. - Może mogłabym tu przynieść puszkę po herbatnikach i wtedy nie musiałybyśmy już przechodzić przez strumień. Miałybyśmy własną dziewczęcą grotę na Wietrznym Wzgórzu. Możemy tu przychodzić nawet, kiedy jest gorąco, będziemy mieć schronienie przed burzą i przyprowadzimy Claude'a z Merlinem na piknik. I nikt przenigdy nas tu nie znajdzie. Ooo, patrz na to!

Na jednej ze ścian widać dużą, czerwoną plamę. Przesuwamy po niej palcami, żeby sprawdzić, czy zejdzie, ale zostaje. Ciekawe, co ją zrobiło.

- Potrzebowałybyśmy tylko porządnych drzwi, żeby nie wpuścić tygrysów i krokodyli - zauważam. - I okna, żeby nie było zbyt ciemno, kiedy zamknie się drzwi.

- I jeszcze rondla - dodaje Margot. - I zlewu, do którego same byśmy sięgały.

- No i prądu na noc. I książki do czytania.

- Racja - przyznaje Margot.

Siadam przy wejściu i podziwiam widok. Wszystko stąd widać, wszystkie wzgórza, turbiny wiatrowe i jeszcze dalej niż etangs. Wiatraki wciąż szybko się kręcą, znikając w czarnym dymie i z powrotem się pojawiając. Zbliża się warkot. Samolot odlatuje znad pożaru i wcale nie jest spalony. Lecąc, polewa wodą płomienie.

- Fruwający wóz strażacki! - wołam.

- Tak, kazałam im taki przysłać - mówi Margot, na co wybucham śmiechem.

Samolot lata tam i z powrotem, wylewając na pożar morze wody, ale wzgórze dalej płonie. Część zbocza jest czarna, pusta i już bez płomieni, ale spora część pagórków pochłania pomarańczowy ogień i czarny dym.

Kiedy samolot jest na miejscu, oglądamy, jak zrzuca wodę, a kiedy go nie ma, rozglądamy się po naszej nowej jaskiniowej kryjówce i okolicy. Jest tu mnóstwo ciekawych rzeczy. Na przykład na najbliższej sośnie wiszą duże kule z pajęczyny. Wyglądają w sam raz na mieszkanie dla olbrzymiego pająka, ale to nie tak. Wiem, czym są, bo są niebezpieczne i Mamunia bardzo mnie przed nimi ostrzegła. To tu mieszkają maszerujące gąsienice. Są tłuste i włochate. Wyobrażam sobie, jak wszystkie naraz wylażą z pajęcznych kul i maszerują długim, wijącym się szeregiem, po pniu w dół i naprzód po ziemi. Zmierzają wprost pod moje nogi. Ciekawe, co by było, gdybym się nie odsu-

nęła. Może włochate gąsienice wlażyłyby mi prosto na stopę i wspięły się po nodze w górę. Potem przeszłyby mi przez włosy i zeszły na ziemię z drugiej strony, jakbym była mostem. Mogłyby mnie ukąsić, zatruć i zabić. Czy zniknęłabym na zawsze, czy też zostałabym tu, tylko nieżywa, tak że nikt już nie byłby w stanie zrobić na mnie żadnej falki?

- Ciekawe, co tak właściwie się pali - zastanawia się Margot.

- Wszystko - odpowiadam. - Lepiej chodźmy sprawdzić, czy wszystko w porządku z Mamunią.

Kiedy docieramy do domu, zastajemy Mamunię na podwórku z durszlakiem pełnym posiekanej cebuli. Obiera warzywa przy stole, siedząc pod parasolem i mocząc stopy w wiadrze zimnej wody. Wszędzie wokół niej pełno skarpetek i majtek, wysychających w słońcu na wiórek. Okno kuchenne jest otwarte, a w radiu grają piosenkę o błękitnej pani.

- Wyspałaś się, Mamuniu?

- Tak, dziękuję.

- Widziałaś pożar?

- Tak - odpowiada. - I czułam jego zapach.

- Dlaczego siedzisz tu w tym smrodzie?

- W domu jest jeszcze gorzej. - Mamunia wierzchem dłoni ociera z oczu cebulowe łzy.

- Przynieść ci coś do picia?

Mamunia podnosi wzrok i posyła nam uśmiech.

- Dziękuję - mówi. - Byłoby cudnie.

W lodówce nie ma nic do picia i coś mi się wydaje, że zewnętrzny kran to nie najlepszy pomysł, więc muszę znaleźć sposób, by sięgnąć do zlewu. Przysuwam sobie krzesło, wspinam się na nie i nalewam szklankę wody. Mamunia widzi mnie przez okno i uśmiecha się. Odwzajemniam jej uśmiech. Potem wstaje niezgrabnie, jakby brała udział w tej zabawie, kiedy trzeba iść z balonem pomiędzy nogami i go nie upuścić.

- Co ona robi? - pyta Margot.

- Nie mam pojęcia.

Mamunia niesie wiadro do stodoły, zostawiając mokre ślady przez całe podwórko. Przy stodole podnosi miotłę do zamiatania na dworze. Zanurza ją w wodzie i zaczyna ciągnąć za sobą.

- Mamuni odbiło - diagnozuje Margot.

- Może sprząta podwórze - sugeruję.

- Użyłaby węża.

- Hm, no tak.

- Pisze litery miotłą.

- Litery?

-Tak, litery. K... O...

Mamunia pisze wodą na kamieniach podwórka. Odczytuję kolejno stawiane przez nią litery. KOCHAM CIĘ

Kończy i patrzy na mnie. Uśmiecha się zupełnie jak Merlin wracający do Claude'a z wyjątkowo daleko rzuconym patykiem.

Rozbłyskam w środku jak poranek po burzowej nocy i wypadam z domu, żeby ją uściskać. Mamunia opiera się na miotle i wygląda na szczęśliwą. Ale kiedy się zbliżam, mina jej kwaśnieje. Chwyta mnie za ramiona i bada wzrokiem moje ubranie.

- Coś ty zrobiła z sukienką?! - woła. Spoglądam w dół.

- Ach, to. To krew martwego ptaka - odpowiadam. -Z rana.

- Krew ptaka? Co, u licha, robiłaś, że masz... Zresztą, nieważne. Nie chcę wiedzieć.

Cebula z palców Mamuni szczypie mnie w oczy.

- Idź na górę - wydaje polecenie. - Doprowadź się do porządku.

Z okna sypialni zerkam w dół, na podwórze. Napis wyparowuje w słońcu. Palcem w powietrzu wiodę po zanikającym CIE, ale po chwili jest już tak, jakby nigdy tego nie napisała.

Atmosfera podczas kolacji jest dziwna. Mamunia zrobiła *ratatouille*. Nakłada nam obu góry żółtego kuskusu i polewa go tęczowym sosem. Jedzenie jest zbyt kolorowe, by pasowało do naszego nastroju. Mamunia chyba też tak myśli. Nawet nie tknęła swojej porcji, siedzi tylko u szczytu stołu i wachluje się podkładką pod talerz. Mamy szklanki z wodą i kostkami lodu, które topią się, trzaskając i podzwaniając o szkło.

- Cicha jesteś - odzywa się Mamunia.
- Nie było dziś po południu nic ciekawego na łące
- odpowiadam. - Przepraszam, że wybrudziłam sukienkę.
- Kiwa głową.
- Dziękuję za wypranie pozostałych ubrań.
- Nie ma za co - mówię.
- Zastanawiam się, jak długo będę musiała siedzieć przy stole, zanim będę mogła iść do łóżka.

Rozdział 17

Pobawiłyśmy się w chowanego. Pogrzebałyśmy trochę w ogródku wróżek. Znalazłyśmy czterolistne koniczynki - dwie! - i brodziłyśmy w strumieniu. Zrobiłyśmy pistolety z łydgy babki i strzelałyśmy do siebie. Jest upał i chce nam się pić. Wspięłyśmy się na drzewo i schrupałyśmy kilka jabłek, trochę kwaśnych, ale niezłych. Soku nie starczyło jednak, żeby ugasić pragnienie. Przeczesaliśmy krzaki jeżyn i wreszcie znalazłyśmy kilka dojrzałych owoców. Zjadłyśmy całą garść. Słodkie, miękkie, ale i tak za mało soku. Znalazłyśmy kilka garści jagód dzikiego bzu, ale smakowały jak cytryny i jeszcze bardziej chce mi się od nich pić. W dziewczęcym gniazdku znów nic nie ma. Żadnej wody. Całkiem nic. Ani śladu Merlina. Ani śladu Claude'a. Za wcześnie, żeby wracać do domu.

- Co robiłyśmy, zanim zaprzyjaźniłyśmy się z Claude'em i Merlinem? - pytam Margot.

- Byłyśmy tylko ty i ja.

- No tak, ale co robiłyśmy?

- To i tamto - odpowiada. Margot nie jest dziś zbytnio zabawna.

Na łące jest pusto bez Claude'a. Czekamy cały dzień.

- Ciekawe, dlaczego się na nas obraził - zastanawiam się.
- Może jest chory - sugeruje Margot.
- Może - przytakuję. - Albo umarł.
- Właśnie - zgadza się Margot - to jest to. Musimy podjąć decyzję. Co, jeśli Claude potrzebuje pomocy, a nikt mu nie pomaga? Może tylko my dwie wiemy, że znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.
- Dobrze. - Kiwam głową. - Musimy przeprowadzić dochodzenie.

Ostrożnie przechodzimy przez jezdnię i idziemy wzdłuż drogi aż do furtki Claude'a. Żar bije od szosy i leje się z nieba. Asphalt lepi mi się do podeszew sandałków i lśni w słońcu. Bramka jest otwarta. Wchodzimy i zamykam za nami zasuwkę. Na podjeździe stoi samochód tego samego koloru, co piórka sójki. Wygląda staro, ale jest czysty. Pasuje do Claude'a. Kiedy przechodzimy, przejeżdżam palcem po karoserii.

- Auto jest wskazówką - mówi Margot. Przy drzwiach oparto szpadel. Brudny.

- Szpadel jest wskazówką - zaznacza Margot. Sięgam po metalową kołatkę i stukam trzy razy. Nikt się nie zjawia.

Stoimy przed drzwiami Claude'a i waham się, co dalej. Już od trzech dni nie pojawia się na dolnej łące.

- A jeśli Claude naprawdę nie żyje? - myślę na głos. - Nie będzie miał się kto opiekować Merlinem. Jeśli Claude nie da mu jeść i pić, Merlin umrze.

- Może Merlin ma dla nas wskazówkę - podsuwa Margot. ~
Rozumiesz, co mówi? - pytam. - Bo ja nie.

- Mogę spróbować się z nim dogadać - mówi Margot. Więc
wołam psa.

- Merlin!

Nie słysząc szczekania. Wołam głośniej.

- Merlin! To ja, Pea!

Głucha cisza. Tak głucha, że dom Claude'a wydaje się trochę
straszny.

- To jest bardzo duża wskazówka - mówi Margot. Coś jest
bardzo nie w porządku i czuję rodzącą się
w brzuchu ciemność.

- Musimy zrobić coś dorosłego - postanawia Margot. - Może
zadzwonimy na policję?

- Jak się dzwoni na policję? - pytam.

- Tak w sumie to nie wiem - przyznaje Margot.

Pozostało tylko jedno wyjście. Same musimy sprawdzić, czy
Claude żyje. Jeszcze raz pukam kołatką - trzy razy, a potem
znów trzy, jeszcze mocniej. Walę z całej siły. Nikt nie
przychodzi.

Zastanawiam się, czy Claude'a nie dopadli jacyś źli ludzie, a
może... Na ścianie przy drzwiach wejściowych głośno ląduje
modliszka. Odwraca głowę, by się nam przyjrzeć. Ma oczy jak
nieprzyjazne, czarne koraliki. Podnosi pierzastą nogę, a ja
odskakuję do tyłu. Nie podoba mi się ten przybysz. Tak bardzo
mi się nie podoba, że wolałabym być w domu z ciszą niż na
zewnątrz z tymi oczami. Ciem-

ność już i tak we mnie jest i będę ją niosła, gdzie nie pójdę. Chwytam za klamkę, drzwi się otwierają.

- Ty pierwsza - mówię do Margot. Choć to ja jestem większa, ona jest odważniejsza.

W środku śmierdzi. Jak u Mamuni w pokoju, kiedy przez kilka dni nie otwiera okna. Jak ser pozostawiony na stole w ciepłej kuchni, rozmiękły i cuchnący. Jak zbyt bliskie ciała ludzi na targu w lecie i ich owłosione pachy. Kwaśno. Zimna kawa w kubku. Swędzi mnie kość. Drapię ramię, tak mocno, że rozrywam stare strupy, a reszta skóry robi się czerwona i spuchnięta. Dom przynajmniej wygląda normalnie. Zaraz za drzwiami nie ma kuchni, rozciąga się hol. Na ścianach wiszą obrazki. Z podłogi wyrastają cztery zwierzęce łapy, na których oparty jest okrągły blat stolika. Stoi na nim duży telefon, prawie cały przykryty stertą kopert. Wygląda jak stos w naszej kuchni, tylko mniejszy. Są też schody, które prowadzą w górę, wysoko, wysoko. Mają czarną metalową balustradę i poręcz. Pewnie wiodą do sypialni i łazienek. Margot rusza naprzód korytarzem. Po drodze sunie dłońmi po ścianach.

- Jakież nowe wskazówki? - szepczę.

- Żadnych. - Margot kręci głową.

Zatrzymuje się przy końcu korytarza. Jest tu dwoje zamkniętych drzwi, jedno po jej lewej ręce, drugie po prawej.

- Ty wybierz - mówi.

Ciemność zaplata się w ciasne supły. Zacieśnia się i wsysa moje wnętrzności. Do gardła podchodzi mi smak

wymiotów, więc szybko przetykam ślinę, spychając go z powrotem w dół. Gorąco tu i śmierdzi. Na zewnątrz czai się modliszka. Chcę jak najszybciej mieć to z głowy. Zamykam oczy. Wybieram drzwi po lewej. Zaciskam palce na klamce i już mam ją nacisnąć, kiedy rozlega się muzyka, spokojna i smutna. Płynie zza tych drugich drzwi.

- Zrobisz to ze mną? - proszę Margot. Kiwa głową i razem sięgamy po klamkę.

Stajemy w progu, ramię przy ramieniu. Przed nami roztacza się salon - żółty, ale mroczny, bo żaluzje są zaciągnięte. Claude siedzi na stołeczku przy pianinie. Stołek ma lwie łapy i złote guziki w siedzisku. Claude jest ubrany w pasiastą piżamę, choć to nie poranek, czas sjesty ani pora, by kłaść się spać. Włosy sterczą mu jak palma. Palce przesuwają się po klawiszach, jakby były bardzo zmęczone. Przynajmniej nadążają za tykaniem zegara. Stoi przy pianinie, jakby przyglądał się muzykowi, a wahadło kiwa się, tykając głośno. Claude przyciska klawisze w tym samym rytmie, wydobywając z instrumentu smutne tony. Na pianinie stoją zdjęcia w ramkach. Cały pokój jest pełen zdjęć. Leżą na stolikach, półkach i podłodze. Kilka oprawionych wisi na ścianach. Na większości widać małe dziewczynki, na jednym jest jakaś pani. Claude płacze, mocząc pianino.

- Claude!

Pierwsza wypowiadam imię, stawiając po nim wykrzyknik (wtedy słowo nabiera emocji), ale Claude mnie

nie słyszy, więc powtarzam je trochę głośniej, a wreszcie nabieram powietrza i wrzeszczę z całych sił.

Claude podskakuje na stołku i odwraca się twarzą do nas. Na nasz widok płoszy się, jakbyśmy były ogromnymi potworami. Wygląda na tak przerażonego, że sama zaczynam się bać i cofam się o krok. Margot mocno ściska moją dłoń. Claude ma otwarte usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

- Może to jednak nie był najlepszy pomysł - mówi Margot.

- Przepraszam - bąkam. - Chcę go przytulić, żeby pokazać, jak bardzo mi przykro, że go przestraszyłam i żeby stał się z powrotem Claude'em, a nie płaczącym człowiekiem w piżamie. Rozkładałam szeroko ręce i podchodzę do niego powoli, tak jak robi się ze spłoszonymi końmi.

- Nie! - krzyczy, a jego wrzask uderza mnie jak cios w brzuch. Patrzy w zasłonięte okno. Przenosi wzrok na drzwi za naszymi plecami - otwarte, puste. Potem znów spogląda w okno. Zaczyna machać rękami, żeby nas wygonić, sio, z powrotem przez drzwi, ale rozprasza go pasiasty rękaw piżamy, powiewający podczas ruchu. Spogląda po sobie i wstrząsa nim dreszcz. Robi krok w tył i zmienia zdanie, zaganiając nas dla odmiany do środka. Ma czerwoną, zalaną łzami twarz. Okropnie cuchnie.

- Zostań tu! - mówi i wychodzi z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Stoimy tak w ciemnym, śmierdzącym pomieszczeniu. Claude nie umarł, ale zrobił się dziwny.

W zasadzie zmienił się w Mamunię. Ukrywa się w mroku, brzydko pachnąc i płacząc.

- Nie jest dobrze - mówię do Margot. - Claude jest nam potrzebny. Nie może nam tego zrobić.

- Może tatuś mu umarł - podsuwa Margot. - A może będzie miał dzidziusia.

- Mężczyźni nie mogą mieć dzidziusiów.

Słyszę trzaśnięcie drzwi i zmierzające na górę kroki. Dwie nogi, kulawe nogi. Raz-DWA, raz-DWA, raz-DWA. Margot zaczyna się nagle obracać w koło, rozglądając się bacznie.

- Gdzie - pyta - jest Merlin?

Zapomniałam o Merlinie. Nie ma Merlina. Dwie nogi, nie sześć. Raz-DWA zamiast raz-DWA-stukot-klekot. To nie jest normalne. Merlin jest zawsze z Claudeem, jak czujny cień. Jest najlepszym przyjacielem Claude'a. Straszne przecucie wypełza z mojego brzucha i oblewa skórę, kark i buzię, pełznąc aż do miejsca, gdzie z głowy wyrastają włosy. Robi mi się naraz gorąco i lodowato. Słowa więzną mi w gardle.

- Chodzi o Merlina, prawda? - mówi Margot. Lekko wzruszam ramionami. Ale łyżę już pieką mnie pod powiekami. Bo wiem, że właśnie o niego chodzi.

Siadam na płytkach, odpychając na bok stos zdjęć, i przytulam do siebie nogi. Czuję się troszkę lepiej. Czekać na Claude'a, zerkam na fotografię, rozsuwając je palcem. Małe dziewczynki. Mnóstwo zdjęć małych dziewczynek. Dziewczynki w ogrodzie, tu, u Claude'a. Dziewczynki wspinające się na jabłonki. Dziewczynki na kucykach -

białym i czarnym - na Wietrznym Wzgórzu. Wiatr wyciąga im spod toczków czarne włosy. Za ich plecami kręcą się skrzydła aniołów. Dziewczynki w domku na drzewie, ale innym, nie naszym. Dwie dziewczynki na dwóch lśniących, czerwonych rowerkach.

- Wskazówki! - mówi Margot. - Ogrom wskazówek.

Pełno małych dziewczynek i żadna z nich nie jest żadną z nas. Ciekawe, dlaczego nas Claude nie sfotografował. Dlaczego te dziewczynki jeździły na czerwonych rowerkach, a my jeszcze nie miałyśmy okazji? Dziewczynki mają ciemne oczy, jak Claude. Uśmiechają się do nas ze zdjęć. Może to ich oczy. „To my jeździmy na rowerach - mówią. - Nas bardziej kocha”. W najmniejszej ramce, na stole, przy krześle, widać fotografię kobiety. Jest bardzo podobna do Mamuni, kiedy jeszcze była szczęśliwa, kiedy żył Tatuś. Klamka powoli się porusza. Pomału, pomalutku. Drzwi otwierają się odrobinę, potem bardziej, lecz nadal powoli. Jest Claude. Założył ubranie. Pomięte. Uczesał się. Patrzy na mnie, siedzącą na podłodze.

- Przykro mi, Claude - mówię.

Claude schyla się i zaczyna zbierać zdjęcia. Delikatnie wyjmuję mi jedno z rąk. Nadal okropnie pachnie. Bierze ode mnie zdjęcie, to z rowerami. Składa fotografię, jakby to były jeżyny: ściśniesz za mocno, to zgniotą się i rozpadną w palcach.

- Dobrze się czujesz? - pytam. Claude wzdycha, jego ramiona poruszają się w górę i w dół, usta są mocno zaciśnięte. Czekamy.

- Merlin - mówi wreszcie. - Umarł. Więc jest mi smutno.

- Wiem - mówię. - Mi też jest smutno.
- Wiesz?
- Znalazłyśmy wskazówki - zdradza Margot.
- Zorientowałyśmy się po śladach - mówię.
- Och. Nie powinnaś tu była przychodzić, Pivoine. Kolejny cios w brzuch. Claude nie chce nas tutaj. Mamunia nie chce nas tam. Claude mówi na mnie „Pivoine”.
- Bo nie byłyśmy zaproszone? - pytam.
- Bo to... to nie... - Claude płacze się w zdaniu i potrząsa głową.
- Claude - zbieram się na odwagę. - Wiem, że jest ci bardzo smutno, ale proszę, nie przestawaj się z nami bawić. Proszę, nie zamykaj się w pokoju.
- Słucham? - Claude nachyla się bliżej.
- Jak Mamunia. Lubimy, kiedy bawisz się z nami na łące.
- Tak - mówi. - Wiem. Potrzebowałem trochę czasu dla siebie. Tak się zdarza, że ludzie muszą zmierzyć się ze swoim smutkiem w samotności.
- Jak Mamunia. Claude kręci głową.
- Tak i nie - mówi.
Muszę sprawić, żeby Claude poczuł się lepiej.
- Margot twierdzi, że ludzie umierają, by zrobić miejsce dla nowych ludzi - mówię. - Może z psami jest tak samo. Może Merlin zrobił miejsce dla szczeniaczka?
Na twarzy Claude pojawia się cień uśmiechu i Margot wystawia w moją stronę dwa kciuki. Dobrze powiedziane.

- Na pewno, na pewno tak - zgadza się Claude. - Ale Merlin był moim przyjacielem. Będzie mi go brakowało.

- Kiedy będę psem, nigdy nie umrę - zapowiada Margot.

- Może ci się zdarzyć.

- Nie. Zdecydowanie nie. Będę takim typem psa, który żyje wiecznie.

- Słucham? - mówi Claude.

- Nic, nic - odpowiadam. Wskazuję na plik zdjęć, który trzyma w ręce. Na samym wierzchu widać dziewczynki w ogrodzie Claude'a. Mają lśniące ciemne włosy i błękitne sukienki.

- Kto to? - pytam. - I dlaczego mogły jeździć na twoich rowerkach?

Claude ma minę jak Mamunia, kiedy dowiedziałyśmy się, że Tatuś zmarł. A kiedy jest się tak smutnym, to mówi się, że komuś pękło serce.

- Dobrze - wzdycha Claude. - Opowiem ci pewną historię. Stoi pośrodku pokoju, ze wzrokiem wbitym w okno.

Siedzimy na białych płytkach u jego stóp.

- Dziewczynki mają na imię Emeline i Sophie, a te dwa czerwone rowerki? Należały do tych dwóch dziewczynek. Pewnego razu żył sobie syn farmera, całkiem przystojny, który zakochał się w prześlicznej księżniczce. Wzięli ślub i księżniczka urodziła dwie córeczki, Emeline i Sophie. Były to najpiękniejsze dziewczynki w całutkim królestwie i mężczyzna wraz z rodziną byli bardzo szczęśliwi. Mieszkali w niewielkim pałacu z cudnym ogrodem, w którym księżniczka z radością sadziła kwiaty i warzywa. Mieli wszystko, czego dusza zapragnie.

Claude'a mówi cichym głosem. Otwieram buzię, żeby zadać pytanie, ale przerywa mi.

- Pewnego dnia, latem, postanowili wybrać się na piknik na plażę. Emeline i Sophie miały na sobie granatowe sukieneczki z białymi falbankami przy kolanach. Na tym zdjęciu mają te same sukienki, tylko nie widać pasków na dole. To było wspaniałe lato, z mnóstwem przyjezdnych urlopowiczów. Na drogach panował duży ruch, niektórzy za bardzo się spieszyli. Miał miejsce poważny wypadek, w którym rozbiły się samochody, i dwie małe dziewczynki nigdy nie dotarły na plażę.

- Zostały ranne?

- Zginęły. I piękna księżniczka również. A mężczyzna już nigdy nie był sobą.

- Czy dziewczynki miały dużo lat? - dopytuję. Claude płacze. Jeszcze nigdy nie widziałam dorosłego, który by tak płakał. Jest cały pomięty, jak zgnieciona kartka papieru.

- Nie miały dużo lat - odpowiada. Wszystko się zgadza, bo ich rowery też nie były duże.

Podchodzę do Claude'a i obejmuję jego nogi. Kuca obok mnie, tak, że znajduję się pomiędzy jego kolanami, i przytula mnie w całkiem właściwy sposób. Bardzo mocno przytula. Klepię go delikatnie po plecach, jak robił Tatuś, kiedy pocieszał mnie. Ciałem Claude'a wstrząsają dreszcze, jakby wyszedł na mróz, i rozluźnia uścisk. Podchodzi do okna.

- To zdarzyło się bardzo dawno temu - mówi. - Kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie. Gdyby żyły, dziewczynki byłyby już paniami, niewiele młodszy od twojej mamy. Może miałyby już nawet własne dzieci.

Nie wiem, co powiedzieć. Wiem, że Mamunia była kiedyś małą dziewczynką, bo żyły wtedy pająki, pszczoły i osy, ale nie było skorpionów. Był ogród z huśtawką. Miała ścieżki, brodziki i jadła sople.

- Jadły sople? - pytam.

- Sople?

- Tak, sople na patyku. Jak *bonbons*. Mamunia jadła takie w dawnych czasach.

Brwi Claude'a zaczynają tańczyć.

- Nie, nie jadły sopli. Ale Emeline, młodsza siostrzyczka, bardzo mi ją przypominasz.

- To możemy pojechać na ich rowerach? - pyta Margot.

Wszyscy milczymy. Claude zaczyna zwijać papierosa. Zegar tik-taka głośno w przestrzeni pomiędzy słowami. Dziś nie padnie odpowiedź na rowerowe pytanie.

- No, dobrze, to teraz my przedstawimy ci nowinki, które cię ominęły - oznajmia Margot, wstając i ustawiając się przed wyłączonym telewizorem.

- Po pierwsze - mówi - wiesiołki zwiędły, więc nie podobały się Mamuni.

- Pochowałyśmy martwe kwiaty - informuję Claude'a. Podnosi głowę.

- Potem wyprałyśmy ubrania, które wisiały w kuchni i były opryskane sosem pomidorowym - mówi Margot.

- Przestała mieszać z powodu martwej muchy na stopie - wyjaśniam.

- I Mamunia nas kochała - mówi Margot.

- Tak, Mamunia nas kochała - potwierdzam. - Dopóki nie zobaczyła ptasiej krwi na sukience.

- Ptasiej krwi?

- Ach, tak, był jeszcze ogromny pożar i Margot wezwała latającą straż pożarną.

- Pożar?

- Tak, i fruujący wóz strażacki.

- W wiadomościach nie powtarza się informacji - denerwuje się Margot. - To nudne i nie ma na to czasu.

- Przepraszam - mówię. - A potem zastanawialiśmy się gdzie jesteś, zniknęła pajęczyna, a w gniazdku nie było nic do picia.

Claude wygląda bardzo żałośnie.

- Ale nie przejmowałyśmy się - dodaję - bo w sumie wcale nie byliśmy spragnione.

Działa - mały uśmiech. Dobry początek.

- Wczoraj całe wzgórze stały w płomieniach i miałam gąsienice w głowie. A teraz pora na prognozę pogody.

Okazuje się jednak, że nie pora na pogodę. Rozlega się trzykrotne stukanie do drzwi: puk, puk, puk. Głośne pukanie.

- Nie otwierajmy - mówi Claude.
- Mamunia też tak mówi - donoszę. - Nie rób tak, to niegrzecznie.
- Coś mi się wydaje, że ten jeden raz tak będzie najlepiej - upiera się Claude.
- Kręcę głową.
- Tatuś zawsze powtarzał, że nie ma czegoś takiego jak ten jeden raz. Ten jeden raz jest zawsze pierwszym z wielu razy. Tak mówił. Otwórzmy drzwi.
- Wiem, że jest tam z tobą! - Krzyk, kobiecy głos. Rozgniewany. Przed domem.
- Kto to? - pytam.
- Ja wiem! Ja wiem! - woła Margot.
- Josette - wzdycha Claude.
- Możemy się przywitać? - pytam.
- Nie mamy wyjścia - oznajmia Margot. - Tego wymaga dobre wychowanie.
- Stuk, stuk, stuk. łup, łup, łup!
- Claude, otwieraj natychmiast! - W głosie Josette brzmi wściekłość.
- Dobrze, już dobrze - odpowiada krzykiem Claude. -Przestań się wydzierać.
- Tupie do drzwi i otwiera je. Josette wpada do środka.
- Ha! - mówi z triumfem. Patrzy na mnie. Wyrzuca rękę w moją stronę, jakby była magikiem, a ja magiczną sztuczką, którą właśnie wyczarowała. - Tadam!
- Josette - zaczyna Claude.

- Przestań mi tu mydlić oczy! - krzyczy Josette. A potem przenosi wzrok na twarz Claude'a. - Co się stało?

- Merlin umarł - przekazuję smutną nowinę. - I Claude'owi jest smutno.

- Sama byś się domyśliła - mówi Margot - Gdybyś szła po wskazówkach.

- Naprawdę myślałaś...? - urywa Claude, nie kończąc zdania. Spogląda na nas.

- A co miałam sobie myśleć? - mówi Josette.

- Przepraszam bardzo, ale o czym wy w ogóle mówicie? - Nie odpowiadają. Stoją nos w nos, rozkrzyczani, wściekli.

- No, sądziłem, że jesteś mądrzejsza!

- Już nikt nie wie, czego się po tobie spodziewać, Claude. Tak jakbyś zginął razem z nimi.

- A widzisz! Jednak stoję tu przed tobą, ale nie jestem jedyną samotną osobą w okolicy. Ty się sobą zajmiesz, ja zajmę się sobą, ale kto się nią opiekuje? - Wskazuje na mnie palcem.

- To nie twój obowiązek - mówi Josette.

- Serce się kraje! - krzyczy Claude.

- Więc ktoś powinien coś z tym zrobić - stwierdza Josette.

- Racja - mówi Claude. - Zajmę się tym.

Rozdział 263

Dom śpi i nie wolno go zbudzić. Zamiast tego przytułam go, przyciskając skórę do chłodnej bieli ściany w mojej sypialni. Mój pot zostawia szarą plamę. Okna są otwarte, ale okiennice przymknięte, żeby nie wpuszczać słońca. Jeden gruby promień wpada przez szczelinę jak strzała, wbijając się w ubrania, które zostawiłam na podłodze. Pyłowe wróżki tańczą w blasku poranka.

Margot czyta na głos książki. Tak naprawdę nie umie składać liter, ale większość treści zna na pamięć, więc teraz przewraca strony i opowiada historię - trzeba przyznać, że całkiem ciekawie. Jej głos sprawia, że cisza dźwięczy.

Jeszcze zanim rozbrzmi dzwonek do drzwi, słyszę kroki, złamane bicie serca na bruku. Wiem, że przyszedł Claude.

- Słuchaj! - szepczę do Margot.
- Kto to może być? - pyta.
- Cóż, na pewno nie Sylvie od pieczywa, bo dostała zakaz zbliżania się do domu - chichoczę.
- 1 nie pan od brzoskwiń, bo dziś nie jego dzień! -dedukuje Margot.

- Nie może to być Tatuś, bo... - Nagle przykrzy mi się ta zabawa. Wstaję i podchodzę do okna, żeby upewnić się, że to Claude.

- Bo przecież ma swój klucz - z uporem kończy za mnie Margot.

Claude zatrzymuje się kilka kroków od drzwi. Patrzy na nasz dom jakimś dziwnym wzrokiem. Coś tu nie pasuje, jak truskawki na grzance. Trzyma wielki kosz wyłożony gazetą i wyładowany mnóstwem dorodnych pomidorów dyniowych.

Otwieram okiennice i wychylam się na zewnątrz. Czuję na skórze ciepło kamieni.

- Bu! - wołam szeptem.

- Cześć, pchełko - wita mnie Claude. - Przyszedłem odwiedzić twoją mamę. Jest w domu?

- Poczekaj, już idziemy. - Nie chcę krzyczeć, żeby jej nie zbudzić.

Zakładam sukienkę z wczoraj i na paluszkach schodzę na dół. Otwieram drzwi i widzę, że Claude ma nadal czerwone oczy i smutną minę.

- Wejdz - zapraszam.

- Jeśli pozwolisz, zaczekam, aż twoja mama sama zaprosi mnie do środka - odmawia Claude.

- Leży w łóżku - informuję.

- Hm, a o której zwykle wstaje? Wiesz może?

- Nigdy nie wiadomo - mówię. - Może na kolację. Wszystko zależy od tego, czy dzidzius bardzo brykał.

- Mogłabyś sprawdzić, czy się nie zbudziła? - prosi. Robi mi się trochę niedobrze. Nie chcę przeszkadzać Ma-

muni, ale z drugiej strony wiem, że bardzo lubi pomidory.

- Przyszedłeś, żeby zostać naszym nowym tatusiem? - wyrywa się z krzykiem Margot.

- Przyszedłeś, żeby rozweselić Mamunię? - dopytuję.

- Cóż, przyniosłem pomidory. Lubi pomidory?

- Bardzo.

- W takim razie może troszkę ją rozweselę.

- Dobrze, to ja pójde sprawdzic. Margot - oznajmiam - ty zostajesz zabawiać gościa.

- Jasna sprawa - zgadza się Margot, chwytając Claude'a za rękę.

Cieszę się, że Claude przyszedł, szczególnie jeśli zostanie naszym nowym tatusiem, ale nie cieszę cię, że mnie przypadło zbudzić Mamunię. W jej pokoju panuje mrok, a sufit warczy i bzyczy. Mamunia leży na boku, wciśnięta w stos poduszek. Ma zamknięte oczy, a jej czoło pokryte jest kropelkami potu, jak trawa rosą. Dyszy jak Merlin. Serce bije mi jak młotem. Będzie wściekła, jeśli ją zbudzę, ale jeśli tego nie zrobię, Claude może się rozgniewać, a już i tak jest mu smutno. Za dużo ciemności naraz. Poza tym, jeśli Mamunia się z nim nie zobaczy, stracimy szansę na nowego tatę i uszczęśliwienie Mamy. Chłodno pod tym wiatrakiem. Mogłabym się położyć na podłodze przy łóżku i też zapaść w sen. Zamiast tego klękam.

- Mamuniu? - mruczę.

Otwiera oczy, nie śpi. Uff, dobrze.

- Mamuniu - mówię - mamy gościa. Jesteś potrzebna na dole, to niezwykle ważne.

- Gościa? Kto to? Babcia?

- Nie.

- Chodzi o brzoskwinie? -Nie.

- Więc kto przyszedł?

- Nasz sąsiad zza sadu z brzoskwiniami. Claude.

- Claude? Pea, próbuję odpocząć. Powiedziałaś mu, że próbuję odpocząć? Wie, że jestem w ciąży? Czego chce?

Pytania wylewają się z jej wykrzywionej grymasem twarzy. Nie patrzy na mnie, wbija wzrok w brzuch, wznoszący się i opadający jak fale oceanu. Każda fala wydobywa z Mamuni jęk.

- Przyniósł ci coś. Żeby ci było miło.

- Co takiego?

- Zejdz. Proszę.

- Cholera jasna - klnie Mamunia i zaczyna się zbierać z łóżka. Na chwilę przysiada na skraju. Ma na sobie tylko majtki. Unosi twarz do wiatraka i bierze kilka głębokich wdechów. Jej brzuch jest nierówny i błyszczący, z klamką wystającą tam, gdzie kiedyś miała pępek. Ma duże piersi, całe w błękitnych żyłkach, a jej ciemne sutki są chyba ze sto razy większe od moich. Spuchnięte nogi też są duże i błyszczące, stopy również. Wygląda, jakby ktoś ją nadmuchał, tak jak pompuje się balon. Jakoś wcześniej

nie zwróciłam na to wszystko uwagi. Widziałam tylko wypchnięty dzidziusiowy brzuch.

- Dobrze się czujesz? - pytam.

- Poczuję się lepiej, kiedy to dziecko wreszcie zdecyduje się urodzić - marudzi. - Podasz mi, proszę, sukienkę?

Podaję jej rzuconą na podłogę, białą sukienkę, którą wsuwa na siebie.

- Chodźmy więc - mówi, upinając włosy. - Zobaczymy, co ten sąsiad... Jak ma na imię?

- Claude.

- Claude. Sprawdźmy więc, co też Claude przyniósł, żeby mi było miło.

Mamunia pierwsza schodzi do kuchni, gdzie w otwartych drzwiach stoi Claude, oparty o klamkę, z koszem u stóp.

Mamunia przygląda się gościowi. Patrzy na jego twarz i fragment głowy, gdzie brakuje włosów. Patrzy na nogi, całe podrapane i w strupkach, gdzie wbiły mu się kolce, raniąc go do krwi. Patrzy na jego buty, które są jak gumowce, tylko nie mają cholewek. A potem przenosi wzrok na kuchenną podłogę, pokrytą kurzem, łupinami cebuli, okruchami i naniesioną z podwórka ziemią. Pewnie od tego widoku czuje na spodach stóp okruszki i ziemię, bo pociera jedną stopą o drugą. Może ma od tego czystsze podeszwy, ale za to teraz brud jest również z wierzchu.

- Dzień dobry, *madame* - wita ją Claude. - Przepraszam, że zakłócam pani spokój. Mieszkam po sąsiedzku.

- Dopiero się pan tu przeprowadził?

- Nie, *madame*, mieszkam tu od urodzenia. -Aha.

Mamunia kołysze się z boku na bok, przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą. Nie lubi stać, jeśli nie musi.

- Może usiądziesz, Mamuniu? - proponuję.

- Nie teraz, Pea.

Margot opuszcza bok Claude'a i staje przy mnie.

- Mam na imię Claude - marszczy brwi. Chyba nie może wymyślić nic ważnego do powiedzenia. Drapię się w ramię.

- Jestem Joanna - przedstawia się Mamunia. - Czego pan chce? Piwonia twierdzi, że to coś ważnego.

- Ech... Przyniosłem pani trochę pomidorów - mówi Claude. - Bo tak, no, mam ich za wiele. Mam zbyt duży ogród. Pomyślałem sobie... Może pani przyda się trochę?

Mamunia przeszywa go wzrokiem.

- Pięć lat - mówi.

- Słucham?

- Mieszkam tu od pięciu lat. Pan - całe życie. I wybrał pan akurat ten dzień, kiedy śpię, kiedy Amaury nie żyje, żeby przyjść i przynieść mi pomidory?

Coraz bardziej podnosi głos, dłonie kładzie na brzuchu, powietrze z kuchni zostaje zassane do jej wnętrza, żeby mogła wybuchnąć tym, co chce wykrzyknąć. Nie mogę złapać oddechu. Claude też czuje, co się zbliża. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale już za późno.

- Pomidory! - wyrzuca z siebie Mama. - Kto cię przysłał? Znowu jego matka? Dlaczego nie możecie mnie wszyscy zostawić w spokoju?

Claude kręci głową.

- Nie, naprawdę - bąka - to naprawdę nie tak. Poznałem Pea, to znaczy Pivoine...

- Co takiego? - wrzeszczy Mamunia.

- Mamuniu, to po prostu...

- Nie teraz, Piwonio! - wydziera się, a potem pochyla się nad brzuchem, składając się nad dzidziusiem.

- Wynoś się - cedzi przez zęby.

- Szczerze mi przykro - mówi Claude i odchodzi, kulejąc, przez podwórko. Prześlizgujemy się obok Mamuni i próbujemy iść za nim, ale ona odwraca się przez ramię i unosi palec.

- Nie dzisiaj - mówi.

Patrzemy, jak się oddala. Za nami drzwi zatraskują się z hukiem.

Tatuś mówił mi, że kiedy czuję złość, powinnam policzyć do dziesięciu, zanim coś powiem. Stoję więc w słońcu z oczami zmrużonymi przed jego blaskiem. Szczypią od potu, który leje mi się z głowy.

- Raz - odliczam na głos - dwa, trzy.

- Może powinnaś wstawiać „hipopotam” między liczbami? - sugeruje Margot.

- To nie zabawa - rzucam ostro. - Jestem zła.

- Wiem - mówi Margot.

Doliczam do dziesięciu i odwracam się w stronę kuchni.

- Może policzymy do dwudziestu? - proponuje Margot.

- Nie - mówię. - Tatuś kazał do dziesięciu, doliczyłam do dziesięciu, jestem nadal zła i teraz jej powiem.

- Jesteś pewna? - pyta Margot.

Nie jest zbyt pomocna. Wiem, że jestem zła i nic mnie już nie obchodzi, co sobie pomyśli, bo jest... Drzwi się otwierają i staje w nich Mamunia.

- Do domu - mówi. - Co tu robisz? Czemu tak krzyczysz? Do domu, już.

Ale we mnie wrze i rzucam się ku niej biegiem.

- Nie jesteś dobrą matką! - wykrzykuję jej w twarz. - Nie dbasz o mnie, nie mówisz „proszę” ani „dziękuję”! Jesteś wiecznie naburmuszona. Jesteś złą matką i nie jestem już twoją przyjaciółką.

Jej dłoń uderza mnie z taką siłą, że przewracam się, wpadając na krzesło. Krzesło odsuwa się i ląduję na pupie. Pupa boli mnie od upadku na ziemię. Ramię boli mnie od krzesła, a ręka od uderzenia Mamy. Chciała dać mi klapsa w pupę, ale trafiła w przedramię, na którym widnieje teraz wiśniowy odcisk palców, jakby Mamunia bawiła się farbami.

Zaczynam wrzeszczeć, nie z bólu, ale z prawdziwej, okropnej złości. Kiedy tak krzyczę, Mamunia cofa się przede mną. Podnoszę się z podłogi i drę się nadal, prosto w jej twarz.

- Nie rób tak! - krzyczę. A potem wrzeszczę, wrzeszczę dalej, aż boli mnie gardło, a wrzask przechodzi

w płacz. Prawdziwy płacz, taki, że nie mogę się uspokoić, taki, który trzęsie mną jak wichur, taki ze strumieniami łez.

- Chodźmy do dziewczęcego gniazdka, Pea - mówi Margot.
- Nie chcę iść do głupiego gniazdka! - krzyczę.
- Dobrze, to wspinajmy się na jabłonki - proponuje.
- Nie chcę się wspinać na głupie jabłonki.
- Pójdziemy na Wietrzne Wzgórze. - Margot nie daje za wygraną. - No, chodź.

- Mam dość głupiego Wietrznego Wzgórza. Nie chcę iść na głupią łąkę. Mam dosyć!

Margot mi się przygląda. Mamunia mi się przygląda.

Kiedy przerywam łkanie, żeby wziąć oddech, słyszę głośnie tykanie zegara. Odcisk dłoni pali mnie w rękę i przykładam go do ust. Czuję jej gorącą dłoń.

I nagle, jakbym rzuciła patykiem przez tęczę, biorę zamach i oddaję jej uderzenie, naprawdę mocno. Nadal nie najlepiej mierzę. Chciałam uderzyć w nogę, ale zamiast tego trafiam w brzuch. Natychmiast wiem, jeszcze zanim się odezwie, że nie uderzyłam Mamuni. Uderzyłam dziecko w środku. W ciszy, w którym powinno paść „przepraszam”, czekam na płacz dziecka, żeby przekonać się, czy zrobiłam mu krzywdę.

Mamunia chwyta mnie za rękę, zatapiając paznokcie w czerwonym śladzie od uderzenia i wbija we mnie gniewne spojrzenie.

- Jesteś taka sama jak twój ojciec! - wrzeszczy.

Jej twarz to ogień i grzmot, ale i mój głos ma siłę.

- Tatuś był...

- Nie Tatuś, tylko twój prawdziwy ojciec! Mamunia chwytła się za brzuch. Brzuch, gdzie siedzi

dzidzius, którego zrobiła z Tatusiem, i nagle zdaje sobie sprawę, że to ja nie jestem dość dobra. Dziecko, które ma w brzuchu, pojawiło się, by zająć moje miejsce.

- Czyja umrę? - pytam.

- Zejdź mi z oczu - syczy Mama.

Więc idę. Czuję się, jakby ktoś wywracał mnie na drugą stronę, jak skarpetę.

Biegnę w dół kamienistą ścieżką, dalej od Mamuni, dalej od domu, i jestem małą, czarną chmurką na błękitnie nieba, a Margot to wiatr, który mnie popycha.

Rozdział 19

Nie chciałam uderzyć dzidziusia - mówię Margot. - Wiem - odpowiada. - Poza tym i tak byś go nie zabiła.

- Nie - mówię. Przesuwam palcami po ramieniu, tam gdzie boli, i czuję półksiężycy wbitych w skórę paznokci. - Mamunia mnie zabiła.

Margot kiwa głową.

- Tak. Ale ona też nie chciała.

- Właśnie, że tak - upieram się. - Chciała mnie uderzyć. I ja chciałam uderzyć ją. Tylko nie chciałam trafić w dzidziusia.

Siedzimy przy chodniku, u dołu ścieżki. Dąsam się. Na przedramieniu mam duży, różowy ślad. Marzę, żeby przyjechały samochody i żeby ludzie wychylali się z okien, pytając, skąd mam taki duży, różowy ślad na ręce. Chcę, żeby przyszli Josette i Claude. I pytali, skąd ten duży, różowy ślad. Wtedy im powiem. Bo Mamunia jest złą matką. Bo się mną nie opiekuje, jest wredna dla moich przyjaciół i wymyśla kłamstwa o moim tacie.

- O co jej chodziło, kiedy mówiła o Tatusiu? - pytam Margot.

Margot wyciąga ręce nad głowę.

- Zdaje się - mówi - że jesteś księżniczką.
- Księżniczką? - dziwię się.
- Tak - mówi Margot. - Wszystko się zgadza. Jesteś angielską księżniczką, a Mamunia wykradła cię, kiedy byłaś małeńka i wywiozła cię do Francji. Może król i królowa próbowali ją powstrzymać. Wtedy złamała się kość, która teraz cię swędzi, bo Mamunia musiała cię im w y d r z e ć.

- A Tatuś?
- Tatuś chyba o niczym nie wiedział. Mamunia pewnie udawała, że jesteś jego córką.
- Więc na zdjęciu musi być Mamunia, porywająca mnie, kiedy byłam dzidziusiem.
- Najwyraźniej.
- Po co wykradała mnie, zamiast po prostu mieć własne dziecko?

Margot wzrusza ramionami.
- Może wszystkie jej dzidziusie umierają?
Robi się za gorąco, a tu nie ma ani skrawka cienia. Zaszło mi w ustach i zaczyna mi się kręcić w głowie. Nikt się nie zjawia, żeby obejrzeć moją rękę, w dodatku odcisk dłoni zaczyna znikać, bo reszta mojej skóry robi się różowa od słońca.

- Chodźmy się napić - mówię.
Jeszcze zanim zanurzamy stopy w trawie za bramką, osiołki przychodzą się z nami przywitać. Jakby ktoś szepnął im, że idziemy i że nie jesteśmy w dobrym humorze. Pchają się do nas, trącąc mi ręce aksamitnymi pyszczkami i trzepocząc długimi oślimi rżęsami. Miło pachną.

- Dziękuję - mówię. Przez dłuższą chwilę stoję obok szarego osiołka, głaskając ciemną kreskę na jego grzbiecie i pomiędzy łopatkami, wdychając jego trawiasty, ośli zapach.

- Ten osiołek najbardziej lubi ciebie - zauważa Margot. - A brązowy najbardziej lubi mnie.

- Tak - przyznaję. I stoję tak jeszcze chwilę.

Zwierzęta idą za nami nad strumień i gapią się na drugą stronę. Ktoś tu był i zrobił dolnej łące nową fryzurę. Trawa leży płasko, żółknąc w słońcu, i pachnie, jakby dało się ją zjeść. Wydaje mi się, że słyszę, jak osiołkom burczy w brzuskach. Machamy im na do widzenia i bardzo ostrożnie przepławiamy się przez potok po kamiennych stopniach. Pole wygląda teraz inaczej - jest większe i czystsze, jakby prosiło, żebyśmy puściły się przez nie biegiem. Biegniemy więc wzdłuż rzędów ściętej trawy. Czujemy się trochę dziwnie, biegnąc po kłujących resztkach, kwiatów brak, wszędzie pusto. Trawiaste końcówki chrzęszczą mi pod sandałami.

Claude odwiedził dziewczęce gniazdko. Czekają na nas butelki z wodą i paczka herbatników. Samego Claude'a jednak nie ma. Piję łyk wody i otwieram ciastka. Są miękkie, lepkie i pełne fig. Zastanawiam się, czy nie zostawić kilku na później, bo jeszcze nie zdecydowałam, czy wracam już do domu. Jestem zmęczona i muszę wszystko rozważyć. Gniazdko jest przyjemnie zacienione i miękkie. Przytulamy się do siebie z Margot i staramy się przywołać dobre sny.

Kiedy się budzę, sen wciąż błąka mi się pod powiekami. Śnił mi się słój z koralikami. Na spodzie były czerwone, potem pomarańczowe, na nich żółte i niebieskie, aż do samej góry. Były tam wszystkie kolory, nawet chłopięce. Koraliki wysypywały się po jednym. Czułam, że kiedy zniknie ostatni czerwony koralik, stanie się coś strasznego, ale nie byłam w stanie zbierać dość szybko i ciągle ich ubywało. Potrząsam głową, żeby odgonić resztki snu.

- Podaj ciasteczka - mówię do Margot.

- Podaj wodę, proszę - odpowiada.

Wręczam jej wodę, a kiedy odbieram od niej herbatniki, dziękuję jej bardzo wielkim i grzecznym „dziękuję”. Zjadłam już prawie całą paczkę, kiedy przypominam sobie, że wypadałoby ją poczęstować.

- Ogromnie mi przykro - mówię. - Jakże to niegrzecznie z mojej strony. Miałabyś może ochotę na ciasteczko figowe?

Margot się uśmiecha.

- Jakże miło z twojej strony - odpowiada. - Ale nie, szczerze mówiąc, nie jestem głodna. Może napiłabyś się wody?

- Ależ tak, z największą przyjemnością. Dziękuję - mówię.

Po tym wszystkim robi mi się lepiej - przestało mi się kręcić w głowie i trochę osłabła złość. Mimo to nie chcę wracać do domu.

- Może odwiedzimy Claude'a? - proponuję.

- Nie możemy - mówi Margot. - Wystawił palec i powiedział, że dzisiaj nie.

- Hm - mówię. - To może pójdziemy do Josette?
- Co jej powiemy? Że dlaczego przyszliśmy?
- Żeby jej życzyć miłego dnia.
- A jeśli jej w czymś przeszkadzimy?
- Nie chcę wracać do domu! - krzyczę. Na Margot mogę krzyczeć do woli, to nic nie szkodzi. Nie wolno jej się na mnie obrazić.
- Dobrze więc - mówi. - Naprzód, do Josette. Nazbieramy dla niej kwiatków?
- Świetny pomysł - zgadzam się. - Żółtych.
- Josette wiesza pranie w ogrodzie. Na trawie stoi różowy kosz pełen niezwykłych ubrań. Siedzimy na ziemi, obserwując ją. Podkradliśmy się niepostrzeżenie i jeszcze nas nie zauważyła. Sięga po parę spodni i strzepuje je, żeby nie były pomięte. Z nogawki wypada para koronkowych majtek, więc wybucham śmiechem.
- Pivoine! - wydaje okrzyk Josette. - Wielkie nieba, aleś mnie wystraszyła! Co tu robisz? Wszystko w porządku?
- Wyciągam ku niej bukiet.
- Dzień dobry, miłego dnia - mówię.
- Mamy nadzieję, że ci nie przeszkadzamy - wtrąca Margot.
- Jesteś głodna? - zwraca się do mnie Josette.
- Nie - odpowiadam. - Claude zostawił dla nas ciasteczka i wodę.
- Doprawdy? - Josette zakłada ręce na piersi.
- W gniazdku - zdradza Margot.

- Na dolnej łące - mówię ja.
- Mam nadzieję, że to nie miała być tajemnica - kontynuuje Margot.

- Mamunia nawrzeszczała na Claude a - informuję. -Więc nie mamy się z kim bawić.

- Kto?

- Ja i Margot - mówię.

Nagle dobiegają mnie dźwięki muzyki. Podnosimy wzrok i widzimy grupę grajków idących ścieżką do domku Josette. Jeden mężczyzna ma długie włosy i trąbkę. Drugi, w kapeluszu z zieloną wstążką, niesie akordeon. Jest i pani o długich, ciemnych włosach. W palcach z mnóstwem pierścionków trzyma lśniącą, brązową gitarę. Duży chłopiec niesie wielką tacę, o którą drapie nałożonymi na palce napastrkami.

- Organizujesz przyjęcie? - pytam. Josette odpowiada śmiechem.

- To *llevant de taula* - wyjaśnia.

- Co takiego? - Te słowa nic mi nie mówią. Z kolei Josette nie zna angielskiego.

- To po katalońsku - wyjaśnia. - Po francusku powiedziałaabyś *lever de table*, to znaczy deser.

- Ci ludzie są na deser? Josette znów się śmieje.

- Przyszli dla nas zagrać i zaprosić do wioski na wie-czorna/ête, zabawę.

Tak, teraz sobie przypominam. W zeszłym roku grajkowie byli i u nas. To było tego dnia, kiedy widziałam, jak

Tatuś pali papierosa. Szedł za zespołem ścieżką, aż do traktora. Wszyscy stanęli na podwórku, gdzie Mamunia wieszała pranie, zupełnie jak Josette dzisiaj. Tatuś poprosił, żeby zagrali piosenkę, w której powtarzało się ciągle *Je taimais, je taime i je taimerai*. To po francusku. Chodzi o to, że śpiewak kogoś kochał, dalej kocha i zawsze będzie kochał. Wydawałoby się, że piosenka powinna być wesoła, ale kiedy ją zagrali, wyszło jakoś smutno. Może zagrali nie to, co trzeba. Ale Mamunia i Tatuś tańczyli na podwórku, tak blisko, że wyglądali, jakby się skleili. Tatuś śpiewał, a Mamunia płakała. Potem Mamunia schowała się w domu, a Tatuś pił z muzykami pastis, palili papierosy i brzękali szklankami.

Każdy z przybyłych całuje Josette, a pan z akordeonem jeszcze mocno ją przytula.

- No, to jaka melodia cię dziś uszczęśliwi? - pyta mężczyzna z trąbką.

- „La vie en rose” - podaje tytuł Josette.

- To piosenka o życiu na różowo - podpowiada Margot.

- Trochę głupio - mówię. - Przecież w życiu potrzebne są wszystkie kolory.

Zebrani wybuchają śmiechem, jakbym powiedziała świetny dowcip.

- Wcale nie żartuję! - mówię. Śmieją się jeszcze, a potem zaczynają grać. Piosenka jest radosna. Josette śpiewa słowa, a my słuchamy.

- Siadajcie - zaprasza Josette, kiedy melodia dobiega końca. Muzycy zajmują miejsca dokoła stołu, a ja i Margot

siadamy na trawie, przyglądając im się. Pan w kapeluszu zdjął nakrycie głowy i położył je na stole. Pod spodem jest całkiem łysy! Wyjmuje czerwoną chustkę i wyciera kropelki potu z lśniącej czaszki.

Josette wraca z butelką wina i wkłada kilka monet do kapelusza z zieloną wstążką. Potem szepcze coś na ucho panu z akordeonem. Mężczyzna szczerzy w uśmiechu żółte zęby i kuca przy mnie.

- Jak masz na imię? - pyta.

- Pea - odpowiadam.

- Pi? Jak ta liczba? - dopytuje.

- Czy pi, pi, pi jak ćwierkanie ptaszka? - zgaduje jedna z pań.

Wszyscy się śmieją i czują się zakłopotana.

- Pea jak groszek po angielsku - precyzuje Margot.

- Mam na imię Pea - mówię. - P, E, A. A to jest Margot. Mam lat pięć i pół - informuję ich - a ona cztery.

Muzycy patrzą na mnie z uniesionymi brwiami.

- Jest wysoka jak na swój wiek - dodają. Znow odpowiadają śmiechem.

- Dobrze, już dobrze - mówi grajek. - Wasz dom jest następny w kolejności, więc chodźcie, odwieziemy was.

Zespół ma białą ciężarówkę - taką jak pan od brzoskwiń, tylko większą. Tył jest otwarty i wszyscy włączają do środka, a potem i mnie wciągają na pakę.

- Chodź, P, E, A, Pea! - wołają. - Chodź, Margot-Wysoka-Na-Swój - Wiek.

Pakujemy się do auta z akordeonem, trąbką i muzykami i jedziemy drogą. Po drodze grają skoczną melodię. Z naprzeciwka mija nas jakiś samochód i pasażerowie machają. Odmachuję im i posyłam najpiękniejszy uśmiech. Wreszcie naprawdę czuję się jak księżniczka.

Muzycy odprowadzają nas aż na podwórko. Nie przestają mi dokuczać.

- Zawołamy waszą mamę? - pyta długowłosego pana z trąbką. Włosy ma błyszczące i chciałabym położyć na nich rękę, żeby sprawdzić, jakie są w dotyku.

- Lepiej nie. - Kręcę głową. - Woli nie wychodzić, a teraz pewnie śpi.

- W takim razie lepiej nie grajmy - mówi. - Nie budźmy jej.

Rozważam tę kwestię. Nadal jestem okropnie zła na Mamunię.

- W porządku - uspokajam ich. - Jest głucha.

- Aha - mówi grajek. - A więc P, E, A, Pea, jaką piosenkę ci zagrać?

Wysilam mocno umysł, ale żaden tytuł nie przychodzi mi do głowy.

- Nie wiem - mówię wreszcie.

- Cóż - odzywa się pani z gitarą, schylając się i biorąc mnie za rękę. Ma delikatną, miłą twarz. Jest śliczna. - Cóż, może powiesz nam, kiedy masz urodziny?

- Siedemnastego września - informuję. - Skończę sześć lat.

- Ach, więc masz więcej niż pięć i pół roku - zauważa pani. - Jesteś już prawie sześciolatką.

Pewnie tak. Ostatnio Tatusi mówił mi, że mam pięć i pół roku, ale to było dawno temu.

- Ile jeszcze dni do moich urodzin? - pytam kobietę.

- Więcej, niż mogłabyś zliczyć, używając wszystkich swoich palców u rąk i nóg - mówi. - Ale mniej, niż gdybyś dorzuciła i moje palce.

- To znaczy ile? - nalegam. Sprawa palców u rąk i nóg jest bardzo zawiła. Dlaczego dorośli ciągle wszystko utrudniają?

- Pea umie liczyć do stu, proszę pani - wtrąca Margot.

- Trzydzieści pięć - rzuca z uśmiechem kobieta.

- Trzy i pięć - mówię, rysując liczbę w powietrzu.

- Bardzo sprytnie - chwali gitarzystka.

- To już całkiem niedługo, prawda?

- Tak, zleci jak z bicza strzelił.

- Gdybyś pojechała autem, byłabyś prędzej - podsuwa Margot.

- Gdybym poleciała samolotem, znalazłabym się tam naprawdę szybko - mówię.

Pani wybucha śmiechem.

- Poświętujmy trochę na wyrost. - Uderza w struny gitary i zaraz dołączają do niej pozostali muzycy. Grają „Sto lat”, a kobieta śpiewa. Jeszcze nigdy żaden zespół nie śpiewał mi „Sto lat”. Czuję się onieśmielona. Za to Margot ma śmiałości za nas dwie.

- Chodź! - woła, chwytając mnie za palec i ciągnąc do tańca. Kręcimy się razem do urodzinowej piosenki. Nasze wygibasy nie przypominają tańca Tatusia i Mamuni -to raczej balet albo flamenco, a może jedno i drugie. Nasze wyjątkowe, kolorowe i iskrzące się sukienki wirują nam wokół kolan, jak u baletnicy na pozytywce Mamuni.

Kiedy muzycy kończą grać, wszyscy patrzą na mnie z uśmiechem. Wiem, że należą im się pieniądze w ramach podziękowania albo chociaż jakiś napitek. Coś mi mówi, że niekoniecznie będą chcieli się napić z podwórkowego kranu.

- Pan od brzoskwiń nie zostawił nam żadnych monet -wyznaję.

- Nie ma sprawy - mówi pan w kapeluszu. - Było nam bardzo miło cię poznać.

Długowłosa pani podchodzi do niego i bierze go za rękę, a on obejmuje ją ramieniem.

- Do zobaczenia, Pea - mówi pani.

- Nie zapominaj o Margot - upomina ją mężczyzna.

- Pa, Margot - mówi z uśmiechem kobieta, a potem wszyscy odwracają się i odchodzą.

- Zobaczmy się za rok! - wołają jeszcze, machając nam na pożegnanie. Stoimy z Margot i patrzymy, aż samochód zjedzie w dół i zniknie nam z oczu, a kurz opadnie na podjazd pylistą chmurą. Rozglądam się wokół.

- Lepiej podlejmy te rośliny - mówię. - Wyglądają na smutne i spragnione.

- Tak, zajmijmy się tym - zgadza się Margot. - Tylko nie wiem, jak sobie poradzimy z wiszącymi koszykami.

Koszyki z kwiatami wiszą przy drzwiach. Listki są żółte i kruche, a na końcach wyschniętych łodyżek zwisają zwiędłe kwiaty. Nie sięgam dość wysoko, żeby je napoić.

- Gdybyśmy tu miały Claude'a, przyniosłby drabinę -zauważam.

- Może same weźmiemy ją ze stodoły - proponuje Margot.

- Myślisz, że uniesiemy? - pytam.

- Cóż, dość niemądrze jest wieszać kwiaty tak wysoko - ocenia Margot - skoro oczekuje się od dzieci, że będą je podlewać.

- Racja - kiwam głową. - Zostawmy je.

Patrzę w górę, w okno Mamuni. Okiennice są zamknięte, co oznacza, że na kolację będzie co tam sobie zachcemy, a pora do spania kiedy chcemy. Kiedyś myślałam, że to świetny układ, ale już mi się znudziło. Jest późno i nie chce mi się już nigdzie wychodzić, ale jest za wcześnie, by kłaść się spać. To był długi i bardzo ciężki dzień.

- Co w dzisiejszym dniu podobało ci się najbardziej? -pyta Margot.

- Najlepsze dziś było to - mówię - że były moje urodziny. A tobie co się podobało?

- Według mnie najfajniejszy był pan z zieloną wstążką na kapeluszu.

- Jest drugi na mojej liście ulubionych - mówię.

- A co ci się dziś nie podobało? - draży Margot. -Nic.

- Nic? - dziwi się.

- Nie chcę o tym mówić - burczę.

Margot przez chwilę milczy, a kiedy dociera do niej, że nic więcej nie powiem, mówi:

- Cóż, mi się dziś nie podobał...

- Ćśś - uciszam ją. I milknie.

Jednak po chwili żałuję, że byłam niemiła.

- Mam nadzieję, że u Claude'a wszystko w porządku -mówię do Margot.

- Mam nadzieję, że zostawił pomidory - odpowiada, puszczając do mnie oko.

Skradamy się do drzwi wejściowych i widzimy, że pomidory czekają w koszyku na schodku. Są rozgrzane od słońca, prawie ugotowane, z napiętymi skórkami. Wgryzam się w jednego i słodki, ciepły sok tryska mi prosto na brodę. Przez chwilę siedzimy tak sobie i zajadamy pomidory, wpatrując się w różowo-błękitne niebo, po którym śmigają jaskółki, łapiąc w locie owady. Po ścianie domu przebiega jaszczurka, zmierzając za róg, tam, gdzie szukałyśmy okazów do badań naukowych.

- Poszukamy jeszcze okazów przez spaniem? - pytam. - Chciałabym znaleźć skrzydło motyla do pary z tym, które mam już w puszcze skarbów.

- Świetny pomysł - chwali Margot, a ja odpowiadam: - Wiem.

Trudność śledzenia owadów polega na tym, że latają, więc tropiciel kieruje wzrok w górę zamiast patrzeć pod nogi. Śliczną ważkę gonimy z takim zapalem, że wpadamy w pokrzywy. Najpierw zauważam, jak zębate listki ocierają się o moje nogi z lekkim łaskotaniem. Porzucam pościg i patrzę w dół, dziwiąc się, że nic mnie nie piecze. Ale wtedy się zaczyna - palący ból w okolicy kolana. Otwieram usta, żeby wydać głośny okrzyk cierpienia i rozpacz, ale mój wzrok pada na stojącą z przodu Margot. Jest o wiele bardziej poparzona. Na mojej nodze widać małą różową plamkę z rosnącymi białymi bąbelkami. Margot jest mniejsza i ma bąble nawet na rękach.

- Ajajaj, pomóż mi! - woła.

- Dobrze - uspokajam ją. - Nie martw się. Znajdziemy liść babki.

Mnie też piecze ręka, ale jestem dzielna, a kiedy znajduję babkę, najpierw nacieram listkiem Margot. Dopiero, kiedy wiem, że na pewno czuje się lepiej, przykładam jeden sobie.

Kiedy kładę się do łóżka, bąbli od pokrzywy już nie ma, ale i tak nie mogę zasnąć. Z wioski dobiegają odległe dźwięki muzyki. Ludzie pewnie tańczą i są szczęśliwi. Sama nigdy nie byłam na nocnej *fête*, ale widziałam plakaty rozwieszane wzdłuż wiejskiej drogi. Są na nich stojący na scenie mężczyźni w białych, zdobionych złotem spodniach. Trzymają mikrofony i trąbki, towarzyszą im panie w iskrzących się strojach kąpielowych, wyginające się w pięknych tań-

cach. Ludzie słuchają, uśmiechnięci machają rękami. Płynąca z oddali muzyka nie brzmi tak, jak sobie wyobrażałam, ale oczyma wyobraźni widzę naszych sąsiadów, ludzi z wioski, *Tante* Brigitte i Sylvie. Księdza, który pochował Tatusia, i pana z poczty, jak unoszą w górę ręce i tańczą. Ciekawe, czy Claude też tam jest, bo pewnie kompletnie nie umie tańczyć, poza tym nie ma zbyt wielu przyjaciół. Może poszli razem z Josette i zatańczą sobie do spokojnej melodii. Jest też jedzenie, takie specjalne na przyjęcie. Jestem głodna, ale nie chcę już wychodzić z łóżka.

Zamiast tego planuję, z czego składałaby się moja północna uczta, gdybym umiała ją sobie wyczarować. Byłyby kanapki z masłem i szynką. Byłyby też pieczone udka kurczaka, które można ogryzać, trzymając w palcach. Nawet na zimno można na nich znaleźć sporo mięsa. Potem zjadłabym *pain au chocolat*, popiłabym lemoniadą, a na koniec byłaby jeszcze pizza, brzoskwinie, awokado i frytki. Od uczty na niby robi mi się lepiej. Udaję, że kosztuję masła, czuję też na języku musującą lemoniadę. Zaczynam odpływać w sen. Na piknik przychodzą goście. Jest Claude z Merlinem. Kilka królików. Margot. Jesteśmy na Wietrznym Wzgórzu i wszystkie turbiny kręcą skrzydłami, choć wcale nie wieje. Wpatruję się w mój wiatrak numer pięć i zaczynam oddychać jego rytmem. Mój oddech przechodzi w ziewnięcie.

Skrzypnięcie podłogi przed moimi drzwiami natychmiast mnie wybudza. Serce wali mi jak młotem. Czekam,

czy usłyszę spuszczenie wody w łazience, ale nic - cisza. Nasłuchuję w napięciu, ale nie dochodzi mnie już żaden dźwięk. I nagle - kolejne skrzypnięcie.

- Margot! - szepczę.

- Co tam? - odpowiada błyskawicznie.

- Ktoś tam jest.

Znowu skrzypnięcie. Słyszę szelest pościeli i Margot wchodzi do mojego łóżka. Nigdy tu jeszcze nie była. Zwykle lubię być w łóżku sama, jak duża dziewczynka. Mogę odwrócić poduszkę na drugą stronę, kiedy robi się za gorąco, i poczuć chłód na policzku. Lubię trzymać pluszową krowę, którą dostałam od Tatusia, blisko siebie, przy ścianie, a po drugiej stronie śpi niebieski miś, którego mam od zawsze. Podzieliłabym się łóżkiem z Mamunią albo Tatusiem, gdyby mnie poprosili, choć ich łóżko jest większe, ale poza tym to moje łóżko i na ścianie nad nim wisi tabliczka ze słowem „Pivoine” i wyjaśnieniem, co po francusku znaczy moje imię, żeby była jasność. Jednak tym razem nie przeszkadza mi, że Margot weszła na materac, bo jest późno, a ktoś czai się za ścianą. Miło czuć, że Margot jest blisko. Jest bystra i niczego się nie boi. Taką już ma osobowość.

- Spokojnie - mówi Margot. - Nie panikuj. Podejdźmy do tego rozsądnie. Słyszałaś spuszczenie wody?

- Nie! - odpowiadam.

- Hm - zamyśla się. - Skrzypiało bardzo, jakby szedł potwór, czy mały, jak od kroków ciężkiego kota?

Sama już nie wiem.

Słyszę ciche uderzenie o ścianę. Siadam w łóżku i próbuję wrzasnąć „Mamuniu!” ale mój głos wydostaje się z ust w formie szepczącego nic.

Znowu skrzypnięcie. Margot szybko oplata mnie mocno ramionami.

- Musi istnieć rozsądne wyjaśnienie - mówi. - Brzmi jakby była dorosła.

Wtem drzwi się otwierają, wpuszczając do środka promień światła. Wstrzymuję oddech w ciemności, wbijając wzrok w plaster światła i z przerażeniem czekając na to, czyją ukaże twarz.

Na paluszkach wchodzi Mamunia.

Nagle uderza mnie zaskakujące wspomnienie. Kiedy miałam cztery latka, drzwi otwierały się co noc. Skrzypnięcie wyrywało mnie ze snu, ale nie otwierałam oczu, bo wiedziałam, że to Tatuś i Mamunia. Jakoś wyleciało mi to z pamięci. Przychodzili każdej nocy, razem, przynosząc zapachy traktorów, gotowania, pianki do golenia i kremu do twarzy. Szeptali do siebie i otulali mnie kołdrą. Zaraz z powrotem wystawiałam spod niej nogę, tak jak lubię. Czasem robiłam to dwa razy i Mamunia śmiała się cichutko. A potem były dwa całusy, jeden w czoło (Tatuś), drugi w policzek (Mamunia). Było „kocham cię” i „*Je t'aime*”. Drzwi zamykały się z lekkim kliknięciem, skrzypiąca deska podłogi skrzypiała i zapadałam w sen. Nagle przypomniało mi się to wszystko i zrobiło mi się bardzo smutno.

Tym razem nie udaję, że śpię. Siedzę na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Mamunia aż podskakuje na mój widok, jakbym to ja była potworem.

- Och! - wydaje lekki okrzyk.

- Przepraszam - mówię.

Podchodzi i przysiada na łóżku, obniżając się z pomocą jednej ręki opartej z tyłu na materacu. Drugą trzyma na plecach.

- Przepraszam, Pea - odzywa się. Próbuje przyciągnąć mnie do siebie, żebym się mogła przytulić, ale dzidzius przeszkadza. Przesuwam się i przywieram do niej z boku.

- Mamuniu - mówię, bo pytanie jest tak wielkie, że nie potrafię zatrzymać go w buzi. - Czy Tatuś nie jest moim tatusiem?

Mamunia płacze, jej łzy moczają mi policzki, drażniąc mnie, więc odsuwam się od niej. Kręci głową.

- Piwonio - mówi. - Tatuś zawsze będzie twoim tatą.

- Więc kim jest ten Prawdziwy Ojciec, o którym tyle mówiłaś?

- Wiesz, Pea, to bardzo długa historia. Dawno temu, zanim tu przyjechałam i poznałam twojego tatę, mieszkałam kawał drogi stąd, w Anglii, gdzie ludzie nie zawsze byli mili. To znaczy, nie chodzi o to, że w Anglii nie ma miłych ludzi, ale tam, gdzie mieszkałam, było sporo niemiłych...

Mamie leci z nosa. Wyciera katar w rękaw.

- Czy jestem księżniczką? - pytam. - Wykradłaś mnie?

- Czy cię wykradłam? - Mamunia śmieje się cicho. - Nie, Pea, rosłaś w moim brzuchu, tak jak ten dzidzius.

Gładzi dłonią wypukły, krągły brzuch.

- Czyli jesteś moją prawdziwą mamą?

- Obawiam się, że tak - wzdycha. - Brodawki i cała reszta.

- Wiedźmy mają brodawki - zauważam.

- Tak - mówi Mamunia. - Wielkie brodawki na nosach. Też mam taką? Mogłabyś sprawdzić?

Przyglądam się z bliska jej twarzy. Margot też patrzy. Wszystko wygląda normalnie. Z nosem nic się nie dzieje.

- Nie masz brodawki - informuję.

- Więc sprawa jasna. Nie jestem czarownicą, tylko twoją mamusią.

- A Tatuś?

- Pea, kiedyś o wszystkim ci opowiem - obiecuje. - Ale na razie musisz tylko wiedzieć, że Tatuś cię kochał. Ja cię kocham.

- Mimo, że ci przeszkadzam?

- Nie przeszkadzasz mi - zaprzecza. Jej brzuch unosi się i opada, kiedy Mamunia wzdycha. Próbuje założyć mi krótkie włosy za ucho, ale nie chcą się trzymać. Z oczu leją nam się łzy, aż wreszcie Mamunia poddaje się i wyciera swoją twarz.

- Przepraszam, że jestem bez przerwy zmęczona - mówi. - To już niedługo. Kiedy dzidzius przyjdzie na świat, będzie lepiej.

- Jest w porządku - mówię. Choć wcale nie jest, bo Mamunia płacze. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

- Spytaj o zdjęcie - szepcze Margot.
- Nie! - odszeptuję.
- Słucham? - nie rozumie Mamunia.
- Przepraszam, że uderzyłam dzidziusia - mówię. -Wcale nie chciałam.
- Wiem - mówi. - Ale wiesz co, Pea? -Co?
- Niech ci się to już nigdy, przenigdy nie zdarzy. Twój braciszek jest maleńki i delikatny, i...
- To będzie braciszek? - pytam.
- Tak - mówi Mamunia. - Będzie braciszek.
- Aha - mówię. Mamunia patrzy na mnie, czekając, aż się ucieszę.
- Jak będzie miał na imię? - pytam.
- Będzie miał na imię Pablo, a na drugie Amaury, po Tatusiu. Będziemy się nim opiekować, ty i ja.
Teraz ja troszkę płaczę. Chciałam siostrzyczkę.
- Prześpij się - mówi Mamunia i całuje mnie w czoło. To nie jej miejsce, ale całus i tak jest miły. Kładę się, a ona wstaje i otula mnie kołdrą. Wystawiam nogę, tak jak lubię, a spod wodospadu łez na twarz Mamuni wypływa uśmiech, jak plasterek tęczy.

Rozdział 293

Nasz zespół maszeruje od drzewa do drzewa, rozweselając wszystkich, popijając drinki i zbierając pieniądze. Wprawiamy w świetny nastrój mrówki, wróżki i morelową pajęczycę, która utkała nową sieć. Rozweselamy jabłonki, czereśnie i drzewo morwowe. Mam dwa patyki. Kiedy stukam nimi o siebie, rozbrzmiewa muzyka marszowa. Margot ma gitarę na niby. Ma też tubę. Dołączają do nas kukułki i synogarlice. Gramy naprawdę sprytnie i staramy się zachęcić wszystkich, żeby przyszli *m fête*, którą organizujemy późniejszą porą.

- Na naszej *fête* - mówię - wszyscy będą tańczyć, z nami na czele.

- Kiedy nie będziemy zespołem, rzecz jasna - dodaje Margot.

Wymyśliłam słowa do melodii. Ułożyłam jedną o Ma-muni, ale nie jest zbyt radosna.

- Wystarczy - mówi Margot. - Twoja piosenka jest okropnie nudna i zupełnie nie nadaje się na utwór rozweselający i zachęcający ludzi do przybycia na naszą *fête*.

- To co zaśpiewamy? - pytam.

- Wymyśliłam lepszą piosenkę - chwali się Margot. - Jest o smoku Ponurku i czarodzieju imieniem Merlin.

- Tylko że Merlin to pies - zauważam.

- Tak - przyznaje Margot. - Wiem. Merlin to taki pies-czarodziej.

Śpiewamy jej piosenkę. Układamy ją razem. Kończy się tak, że smok ginie od zabójczego zaklęcia za karę, że jest mrukiem, a Merlin zostaje przy życiu.

- Najlepsze w wymyślaniu własnych piosenek - stwierdza Margot - jest to, że sama decydujesz, co się wydarzy.

Ktoś ułożył siano na dolnej łące w kupki. Biegamy z Margot po polu, siadając na każdym ze stosików. Są kłujące i swędzą mnie od nich nogi, ale pachną słodko i ciepło. Kiedy już posiedziałyśmy na każdej wiązce siana, pędzimy do dziewczęcego gniazdka. Cieszę się, że wreszcie jestem w domu. Wyjmuję swoje skarby, przyglądam im się i czerpię z nich radość. Jest samotne zdjęcie, piórka, gładki, okrągły kamyk, muszelki, rękawiczka Tatusia. Nie widzę wróżki, ale witam się z nią i wydaje mi się, że chyba słyszę, jak śpiewa. Pióra są piękne i przyjemne w dotyku. Rękawiczka Tatusia też jest miła w dotyku, a w dodatku przyjemnie pachnie. Muszelki są śliczne i pachną morzem. Samotne zdjęcie nie ma ładnego zapachu. Nie jest też miłe w dotyku. A jednak to na nie najbardziej lubię patrzeć.

- Dlaczego wciąż bawię się czymś, co nie jest ładne ani miło nie pachnie?

- Trochę jak Claude. - Margot udaje, że pali śmierdzącego papierosa.

- Nie chodzi mi o Claude'a, tylko o zdjęcie. Nawet mi się nie podoba.

- Ale Claude nam się podoba.

- Tak, Claude jest ładny od środka.

- Racja. - Margot drapie się po głowie. - To nie lada zagadka.

- Chyba nie jestem angielską księżniczką - stwierdzam smutno.

- Może jednak? - nie traci wiary Margot.

- Może i tak. Ale może jestem po prostu zwyczajną dziewczynką. Mamunia nie jest królową i powiedziała, że jest moją prawdziwą matką.

- Chyba że nie mówi prawdy - sugeruje Margot.

- Po co miałyby kłamać? - pytam. Jednak gdy tylko wypowiadam te słowa, przychodzi mi na myśl mnóstwo powodów, na przykład powstrzymanie mnie przed zgłoszeniem porwania policji.

- Musimy do tego podejść jak naukowcy - mówi Margot. - Jaka jest pierwsza rzecz związana z Mamunią, jaką pamiętasz?

Próbuję sobie przypomnieć bycie dzidziusiem, ale nie odnajduję żadnych wspomnień. Mamunia mówi, że przyjechałyśmy z Anglii, więc próbuję sobie przypomnieć inny dom, inny sad, inną sypialnię. Pamiętam jednak tylko dom, w którym mieszkamy teraz. Kość mnie swędzi i mocno trę nią o kolano, żeby przestała.

- Nie pamiętam - mówię.

- Bo starasz się sobie przypomnieć na odwrót - karci Margot. - Musisz myśleć wstecz.

Więc próbuję pójść za radą Margot. Ma rację - łatwiej jest pamiętać wstecz.

Zamykam oczy i myślę o zeszłej nocy. Odtwarzam w głowie klótnię. Przypominam sobie wycieczkę nad morze, kiedy poprosiłam o arbuza i dzień, w którym obrzuciła traktor brzoskwiniami. Myślę o dniu, w którym rozbiła brzuchem szklankę, kiedy wybrała mój dżem, a nie ten, który proponowała Margot. A jeszcze wcześniej popołudnie, kiedy sos opryskał nam ubrania, a do stopy przykleiła jej się mucha. Staram się szybko przewijać mroczne chwile, a długo przeżywać te miłe. Widzę Mamunię w kościele po śmierci Tatusia i wcześniej, kiedy Tata jeszcze żył. Wspominam jedzenie, które nam gotowała. Myślę o dniu, w którym wróciła ze szpitala bez dzidziusia i przedtem, kiedy była szczęśliwa. Kiedyś naprawdę była szczęśliwa. Przypominają mi się wszystkie buziaki na dobranoc, kiedy miałam cztery czy trzy latka. Pamiętam przyjęcia urodzinowe, pikniki na plaży i spacer po dolnej łące. Przychodzi mi do głowy jeden dzień na dolnej łące, kiedy po prostu sobie chodziłyśmy. Jadłyśmy brzoskwinie, więc musiało być lato. Trzymałyśmy się za ręce i brzoskwinia lepkość sklejała nasze dłonie. Umyłyśmy je w strumyku i ćwiczyłyśmy nazywanie drzew, kwiatów i ptaków. Mamunia знаła je wszystkie, więc pozwalała mi zgadywać pierwszej. Pamiętam, że tego dnia znalazłam biedronkę,

którą chciałam jej pokazać. Uklękła na ziemi tuż obok mnie. Nie przeszkadzało jej, że brudzi sobie sukienkę, przyciskając twarz do przeróżnych kwiatowych zapachów pośrodku lśniącej od rosy łąki, gdzie osiołki skupią zielsko, a pająki tkają sieci. Pamiętam, że kiedy wracałyśmy do domu, byłam zmęczona, więc niosła mnie na wzdórze na barana. Nie miała nic przeciwko. Śpiewała.

- I co? - chce wiedzieć Margot.

- Daj mi spokój - mówię. - Jestem zajęta przywoływaniem wspomnień.

Margot szturcha mnie palcem, więc poirytowana otwieram oczy.

- Nie jestem księżniczką - oznajmiam. Wkładam wszystko z powrotem do pudełka. Owijam wspomnienia żółtą wstążką i chowam je z resztą skarbów. Później jeszcze im się przyjrę.

Margot odrastają włosy. Mnie nie. To nie fair. Zakręca sobie pukiel na palcu, próbując sięgnąć ust, żeby móc porozmyślać.

- Czytałam książkę - mówi - o dziewczynce, która nie była księżniczką. Ciekawa historia. Jak usiądziesz grzecznie, to ci przeczytam.

- Przecież siedzę - odpowiadam. Margot wywraca oczami.

- Dawno, dawno temu - zaczyna - żyła sobie dziewczynka, która nie była księżniczką. Mimo tego mieszkała w zamku na wzdórze, daleko, daleko stąd.

Przymykam powieki i słucham opowieści Margot.

Zamek stał też daleko, daleko od wszystkich zwykłych mieszkańców królestwa. Dziewczynka, która nie była księżniczką, czuła się samotna, bo jej mamunia, która nie była królową, poświęcała zbyt dużo czasu na zajmowanie się dzidziusiem, którego nosiła w brzuchu. Dziewczynka nie miała się z kim bawić.

- I co dalej? - pytam.

- Urodził się dzidzius i dziewczynka wreszcie miała się z kim bawić. W dodatku znalazła mamusi nowego tatę i wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Koniec.

- A teraz - oznajmia Margot - w końcu czas na narodziny dzidziusia.

Biorę dywanik z podłogi w gniazdku i wypycham nim zieloną sukienkę ze stokrotkami, tak, że wygląda, jakbym była w ciąży.

- Jestem lekarzem - mówi Margot. - Witam w szpitalu.

- Dziękuję - mówię.

- Nie ma za co - odpowiada Margot.

- Proszę mi wyjąć to dziecko - życzę sobie.

- Ależ oczywiście - przyjmuje wyzwanie Margot. - Tak, wszystko jasne. Proszę za mną, zaraz urodzimy tego dzidziusia. Proszę się położyć!

Kładę się. Podłoga gniazdka jest chłodna i szorstka.

- W porządku - ciągnie Margot. - A teraz zobaczymy pani drzwiczki.

Unosi mi sukienkę.

- Aha, aha, dobrze, mam je! - mówi. Potem wyciąga dywanik i przytula jak niemowlę. Siadam, żeby się przyjrzeć.

- Ojej, tak mi przykro, *madame* - mówi Margot. - Obawiam się, że to chłopiec.

- Ale ja chciałam dziewczynkę - krzywię się.

- Cóż, zobaczymy - mówi Margot. - Pójdę po stetoskop i igłę do kłujących zastrzyków.

- Pea marzyła o siostrze - mówię. - Mogłaby to pani jakoś załatwić?

- Hm - mruczy Margot, po czym stetoskopuje dziecko i daje mu kłujący zastrzyk. Potem mówi: - Proszę bardzo! - Podaje mi noworodka.

- Och! - wołam. - Jaka śliczna dziewczyneczka! Dziękuję, pani doktor.

- Nie ma za co - uśmiecha się Margot.

- Dzień dobry - rozlega się czyjś głos.

- Claude! To ty!

Stoi pod drzewem. Bez Merlina u boku wygląda jak niedokończony obrazek. Chciałabym rudą kredką dorysować futrzastego, bystrego psa.

- Witaj, Pea - mówi Claude. - Jak się dziś miewasz?

- Dobrze - odpowiadam.

- Słucham? - Claude robi trąbkę z dłoni przy uchu i patrzy na mnie w górę. Wychylam się z gniazdka, żeby zobaczył moje usta.

- Mam się dobrze - powtarzam.

- A co u Margot?

- Margot jest doskonałym lekarzem - mówię głośno. -Potrafi zmieniać braciszków w siostrzyczki, co jest sprytne i przydatne.

- Prawda, że tak? - podkreśla Margot.

- Bez wątpienia - mówi Claude, unosząc brwi.

- A ty jak się masz? - pytam.

- Cóż - odpowiada Claude - mam się nieźle. Bardzo miło was widzieć.

- Najbardziej lubię, jak tu jesteś - mówię. - A nie jak cię nie ma.

- Ja też za wami tęskniłem - wyznaje Claude. Rozgląda się po dolnym pastwisku. Może sprawdza, czy Merlin przypadkiem nie wrócił.

- Chyba już nie wróci - mówię.

- Słucham? - Claude nie słyszał, co powiedziałam. -Mogę wejść na górę? - pyta nagle.

- Do gniazdk? -Tak.

- Z nami?

- Tak. Jeśli nie macie nic przeciwko?

- Pewnie, chodź - zapraszam.

Claude powoli wspina się po drabinie i włazi do dziewczęcego gniazdk. Siada przy mnie. Nie ma zbyt wiele miejsca, więc trochę jesteśmy ściśnięci. Ściśnięcie jest miłe, więc przyciskam się bardziej, niż muszę. Czuć

od Claude a zapach dymu, co nie jest zbyt przyjemne, ale sam Claude jest bardzo wygodny.

- Jaskółki tak robią - informuję. Claude wpatruje się w moje usta.

- Jaskółki? - dziwi się.

- Tak - potwierdzam - bo nie mają palców ani rąk, żeby się przytulić albo złapać za ręce. Zjesz ciastko?

- Bardzo chętnie - odpowiada Claude. Podaję mu puszkę, a on zdejmuję wieczko.

- Och! - woła nieco zaskoczony. Wybucham śmiechem, bo w puszcze nie ma już herbatników, tylko moje skarby.

- Nabrałam cię! - mówię.

- Co tu masz? - interesuje się Claude.

- To okaz - wyjaśniam.

Wyjmuje kruchy, żółty przedmiot dużymi czubkami palców i mu się przygląda.

- Aha - potakuje. - Otoczka na jajka.

- A nie mówiłam? - mądrzy się Margot.

- Wiesz, kto to zrobił? - pyta Claude.

- Bardzo małe osy? Claude się śmieje.

- Nie, nie bardzo małe osy. Modliszka. Tu składa jaja.

- Ale modliszki są większe od os - zauważam.

- Zgadza się - przyznaje Claude.

- To dlaczego robią mniejsze gniazda?

- Cóż, to nie jest gniazdo, tylko otoczka na jajka.

- Ale nawet osy robią większe dziurki. Te otworki są maleńkie.

- To prawda - mówi Claude. - Czasem wydaje się, że reguła powinna mieć sens, a wcale go nie ma.

Odkłada okaz będący otoczką na jaja modliszki z powrotem do puszki, ale nie zakłada wieczka. Bada wzrokiem zawartość mojej skrzyni skarbów. W miejscach po herbatnikach leżą piórka, smutne zdjęcie, rękawiczka Tatusia i skrzydło motyla. Claude patrzy i kiwa głową, jakby dawał zgodę przedmiotom w pojemniku. Nie jest zły, że zjadłyśmy wszystkie ciastka, nie zostawiając mu ani jednego. Podobają mu się moje znaleziska.

Przez chwilę siedzimy i wsłuchujemy się w śpiew ptaków i cykanie świerszczy. Zapominamy o mówieniu. Nawet Margot nie ma nic do powiedzenia. Wtem:

- Oh, ręka mi utknęła! - woła Claude.

- Ojej - mówię, pochylając się wprzód, a Claude się przesuwa, tak że jego ramię otacza moje ramiona. To miłe. Po upływie kolejnej chwili zaczyna trochę przyciskać. To jak takie jednorękie przytulenie. Kładę głowę na jego piersi i myślę o byciu przytulaną. Słyszę własny oddech. Słyszę oddech Claude'a. Słyszę też bicie jego serca. Przypomina mi się Tatuś. Jego uściski, poranne przygotowywanie śniadania i to, jak drapały jego popołudniowe całusy.

- Można być naraz smutnym i szczęśliwym? - pytam.

- Tak - mówi Claude. - Właśnie tak się teraz czuję.

- Ja też.

Przechodzimy przez strumyk razem, po kamieniach, i z powrotem przecinamy dolną łąkę.

- Kiedy dzidzius przyjdzie na świat - oznajmia Gaudę przyjdę jeszcze raz porozmawiać z twoją mamą. Wszystko będzie dobrze.

- Będę mieć braciszka - informuję.

- Wspaniale! - cieszy się Gaudę.

- Wcale nie - zaprzeczam. - Chciałam siostrzyczkę.

- Ach, tak. - Gaudę kiwa głową. - No pewnie. Zatrzymujemy się przy morelowej pajęczycy, bo Margot

chce policzyć, ile pasikoników udało jej się schwytać na kolację. Pająk siedzi w samym środku sieci. Margot nachyla się, by dokonać inspekcji. Dolicza się trzech zdobyczy.

- Tak - wyraża uznanie Margot. - Tyle wystarczy.

- Cóż - mówi Gaudę, którego myśli są wciąż zaprzątnięte Pablem - poczekaj, sama zobaczysz. Bracia też po trafią być fajni.

- Masz brata? -Nie.

Ścieżka jest już cała w chaszczach, porozrastanych w splatane pętle i to tam, którądy chcemy przejść. Gdzieniegdzie rozpanoszyły się tak bardzo, że nie da się ich nawet obejść bez ryzyka spadnięcia z krawędzi po drugiej stronie. Musimy ostrożnie przechodzić nad nimi albo czołgać się pod spodem. Mnie przychodzi to z łatwością, gorzej z Claudem, bo jest za duży. Próbuje zahaczać w górze kłujące łodygi i oczyścić mi przejście, ale i tak zaraz wracają na swoje miejsce.

W połowie ścieżki schylam się, aby przyjrzeć się jaskrawozielonemu *punaise*, siedzącemu na jeżynie, i kłujące gałęzie wplatają mi się we włosy. Ciernie drapią mnie po buzi, więc próbuję się wyswobodzić, ale robi się tylko bardziej kłująco.

- Au! - krzyczę. Claude odwraca się.

- Stop! - woła. - Nie ruszaj się! Zamieram, poruszając jedynie gałkami oczu.

- Co? - pytam.

Zanurza szorstkie palce w moich włosach, odplątując chaszczę.

- Musisz bardziej uważać - upomina mnie. - Tu jest jak w dżungli!

- Tylko nie ma tylu słoni - zauważa Margot.

- Nie ma tylu słoni - przyznaję. - Ale i tak mógłbyś przynieść swój słoniowy nóż - mówię do Claude'a.

- Wiesz - mówi Claude - to wspaniały pomysł. Tarmosi moje nierozczesane włosy i otwiera drugą

dłoń, która zaczyna przybierać fioletowy kolor ze względu na nieoczekiwane ostrężyny. Wyciągam rękę i wkładam sobie jeden z owoców do buzi. Claude przechyla pojemnik i wysypuje mi resztę owoców do rąk. Jest ich tyle, że muszę je łapać obiema rękami.

- No doprawdy - klepie się w czoło Claude. - Dlaczego sam na to nie wpadłem?

Rozdział 305

Mamunia wszystko sprząta. Stojący w łazience kosz na brudną bieliznę jest pusty. Wszystkie ubrania, czyste i mokre, wiszą na obrotowej suszarce na podwórku, jaśniejąc w słońcu. Podłogi w domu są pozamiatane i jeszcze lśniaco-mokre od mopa. Mop z wiaderkiem schną przy drzwiach. Wszystkie okna są otwarte, pozwalając domowi odetchnąć popołudniową wonią szaławii i jaśminu oraz wypychając stare zapachy kolacji i smutków.

Mamunia jest w pokoju dzidziusia. Siedzi na podłodze, pośród piętrzących się ubrań, które układa w sterty.

- Mogę pomóc? - pytam.

Podnosi na mnie wzrok, prawie nie unosząc głowy. Ma zaróżowione policzki.

- Nie, dziękuję - odpowiada. - Może pójdziesz ze mną się pobawić?

Mamunia ma w uszach kolczyki, które wyglądają jak nasiona granatu.

- A mogłabym z tobą posiedzieć? Może razem będziemy składać?

Mamunia kręci głową.

- Już kończę - mówi. - Chcę się z tym szybko uporać. No, zmykaj.

Wchodzimy do pokoju Mamuni. Na łóżku leży walizka, z jednej strony do połowy pełna, z drugiej do połowy pusta. Zaglądam do środka. Kaptcie, piżama, książka, szampon, szczoteczka i pasta do zębów, sukienki, majtki, szczotka do włosów...

- Chce nas zostawić - mówię do Margot. Wypełnia mnie ciemność. Wspinam się na łóżko i zwijam się wokół walizki. Pościel jest miękka i wygnieciona w kształt Mamuni. Łzy kapią mi z oczu w jej zapach. Zaciskam powieki.

- Niemożliwe - szepcze Margot. - Na pewno da się to jakoś wytłumaczyć.

- Spakowała wszystkie pary majtek - zauważam. -I przygotowuje ubrania dzidziusia. Opuści nas, żeby zamieszkać z nowym dzieckiem.

- Nie wygłupiaj się - mówi Margot. Bierze mnie za rękę. - Chodź, zapytamy ją wprost.

- Nie! - krzyczę. - Nie możemy. Wścieknie się.

- I co z tego, skoro i tak wyjeżdża?

- Co zrobimy, jeśli to prawda? Może Claude mógłby się nami zaopiekować?

- Mógłby. Pod warunkiem, że przestanie palić. Strasznie smrodzi.

- Chcę Mamunię i tyle - mówię.

- No to chodź - rzuca Margot, na siłę ściągając mnie z łóżka.

Mamunia nadal siedzi pośród stosów ubrań. Jej twarz płakała.

- Proszę, nie zostawiaj nas - wyrywa mi się.

- Piwonio, mówiłam... Co takiego? - Jest zaskoczona.

- Proszę, nie zostawiaj nas. Proszę, zostaniesz?

- Pea, kochanie - mówi Mamunia - przecież nigdy bym cię nie zostawiła. Nigdy, przenigdy. Skąd ci przyszło do głowy, że mogłabym to zrobić?

- Spakowałaś walizkę - chlapię. - Dla siebie i Pabla. Ale ja chcę, żebyś tu została. Mogę się tobą lepiej opiekować. Nauczę dzidziusia chodzić po drzewach.

Mamunia uśmiecha się smutno. Przez uchylone okno wpada wietrzyk i puszy jej włosy.

- Dla ciebie też spakujemy walizkę, Pea - oznajmia.

- Dokąd jedziemy?

- Na razie nigdzie, ale któregoś dnia w niedalekiej przyszłości będziemy musiały się udać do miasta, do szpitala.

- Przez dzidziusia?

- Tak, ze względu na niego.

- Mamuniu - zaczynam.

- Nawet tego nie mów! - szepcze Margot, dźgając mnie palcem,

- Skąd wiesz, że...

- Ani słowa o tym, co umarł!

- Dlaczego?

- Słucham? - pyta Mama.

- Nic, nic - mówię cicho i pochylam się, żeby otulić ją ramionami.

W szpitalu dostaniemy swoje łóżka. Jedno dla mnie i jedno dla Mamuni. Margot też jedzie z nami. To już niedługo, choć nie wiadomo dokładnie kiedy. Pojedziemy karetką, bo Mamunia mówi, że nie da się prowadzić samochodu, kiedy dzidzius próbuje wydostać się na świat.

Mam już spakowaną walizkę. Tak naprawdę to plastikowa torba, bo nie miałyśmy drugiej walizki. Są w niej czyste majtki i moja krowa. Niebieski miś zostaje w łóżku, bo gdybym go spakowała, to z kim bym teraz spała?

Rozmyślam nad tym i wypracowuję sobie odpowiedzi na nurtujące pytania. Już prawie pora kolacji, ale jestem zbyt zajęta, żeby iść do domu. Leżę na gniotącej ziemi na Wietrznym Wzgórzu. Obserwuję, jak wiatr pcha małe, białe chmurki, zupełnie jak z obrazka, i patrzę na szybko obracające się skrzydła aniołów, białe na błękitnym tle, wielkie i lecące do góry nogami nad moją głową.

Jest mi jednocześnie lepiej i kręci mi się w głowie.

- Fúj! - mówi Margot.

- Co?

-To.

Margot wyciąga rękę. Wbił jej się kleszcz. Wiem, jak wyglądają kleszcze, bo mają je w futrze koty, które nas odwiedzają, a raz nawet Mamunia miała jednego. Świntuch wbił się blisko ramienia Margot i przypomina stare, po-

żółkłe ziarnko grochu. Przebiera przy jej skórze ośmioma czerwonymi nóżkami. Na ogół lubimy różne robaczki, ale uważam, że to bardzo niegrzecznie ze strony kleszczy, że chcą spijać nam krew. Poza tym, nie podoba mi się wygląd ich ciał, kiedy są przyssane.

Mamuni też się nie podobają. Kiedy na sobie zobaczyła kleszcza, wrzasnęła. Znalazłam ją w łazience, oglądającą się przez ramię w lustrze. Jedną ręką przytrzymywała włosy. Kleszcz wbił jej się w łopatkę.

- Co to jest? - spytałam.

- Nie martw się, Słodki Groszku - uspokoiła mnie. - To tylko kleszcz.

- Wygląda jak tłusty owad - powiedziałam. - Ale ma osiem nóg, policzyłam. Boli?

- Nie, nie boli. Nie chciałam krzyczeć, przepraszam. Zaskoczył mnie.

- Chcesz, żebym go strąciła? - zaoferowałam.

- Tak się go nie pozbędziemy - powiedziała. - Trzeba to zrobić ostrożnie. Musimy zawołać Tatusia.

Akurat pracował, więc musiałyśmy po niego pójść. Nie mogła zaczekać, aż wróci do domu. Poszłyśmy razem, dość powoli. Nie była tak gruba jak teraz, ale miała okrągły brzusek. W środku był ten poprzedni dzidzius. Dziewczynka. Ta nie-dość-dobra, której nie zatrzymaliśmy. Szłyśmy, a Mamunia krzyczała: „Amaury? Amaury?” Szybko go znalazłyśmy. Był przy brzoskwiniami i podbiegł, jak tylko nas zobaczył. Mamunia padła mu w ra-

miona, a on pocałował ją w czoło. Tatuś chciał wykręcić kleszcza paznokciami, ale Mamunia przyniosła pęsetkę.

Kleszcz dał się wyjąć. Tatuś upuścił go na ziemię i przydeptał. Zabił go, a potem pokazał nam, co zostało po pasożycie. Prawie w ogóle nie było już kleszcza, tylko plamka krwi Mamuni na ziemi. Kucnęłam, żeby się przyjrzeć, a Tatuś przykucnął przy mnie.

- Dopilnuj, żeby Mamunia odkaziła to miejsce, kiedy dojdziecie do domu - powiedział.

- Obiecuję - odpowiedziałam. Też dostałam całusa w czoło.

- Dobrze - mówię do Margot. - Będę Tatusiem i wyjmę ci go. Margot wyciąga rękę.

- Użyj pęsetki, nie samych palców.

- Oczywiście - kiwam głową. - Mam ze sobą pęsetę. Nie ma się czym martwić.

Bo rzeczywiście nie ma. Od razu mi się udaje. Upuszczam kleszcza na ziemię. Zbyt się utuczył na Margot, żeby uciec, więc po nim deptamy. Taki taniec-deptaniec.

- Uu! - woła Margot. - Spójrz, ile krwi!

- Tak, całe mnóstwo krwi. Ten kleszcz spił chyba pół z ciebie. Całe szczęście, że go wyjęłam.

- Dziękuję, że się mną opiekujesz, Pea - mówi Margot.

- Nie ma za co - odpowiadam.

Rozdział 22

Nakarmiłyśmy kury i przyniosłyśmy pieczywo. Zjadłyśmy śniadanie i długo czekałyśmy na Mamunię, ale w końcu nam się znudziło. Bardzo już chcę odwiedzić Claude'a, więc posprzątałam ze stołu, zostawiając nakrycie dla Mamuni.

Mijamy drzewka brzoskwińowe, jadąc kłusem na naszych koniach, przeskakując przez leżące na ziemi kłody i wjeżdżając głębiej w sad. Brzeżki liści zaczynają się robić pomarańczowe. Margot odwraca się do mnie przez ramię.

- Mój koń jest jabłkowity i ma na imię Grom. A twój?

- Saskia - odpowiadam. - Jest kara jak Czarna Piękność.

Kiedy zbliżamy się do drogi, dobiega mnie dziwny

dźwięk. Brzmi, jakby ktoś krzychał moje imię, więc zatrzymuję się i nasłuchuję.

- Dalej! - woła Margot. - Wio, koniku!

- Nie słyszysz? - pytam. - To nie Mamunia?

- Wątpię - macha ręką Margot. - Wykonałyśmy już wszystkie prace. Po co innego miałaby cię wzywać?

- Może znowu wbił jej się kleszcz?

- Może. - Margot zsiada z konia i gładzi go po szyi. Idę w jej ślady. - Zostawmy konie tutaj, żeby nie wdały się w bój-

kę z osiołkami. Wpadniemy do Claude'a tylko na chwilę. Potem wrócimy sprawdzić, czy Mamunia ma kleszcza.

- Dobry pomysł - oceniam, bo naprawdę chcę się zobaczyć z Claude'em i ponownie zaproponować bycie naszym tatą.

Przechodzimy przez jezdnię i przełazimy przez bramkę na dolne pastwisko. Widzę Claude'a na drugim krańcu ścieżki.

- Patrz! - woła Margot. - Przyniósł nóż do tropienia słoni!

Claude sieka chaszczę, odcinając cierniste pętle i ciągnące się łodygi. Za każdym zamachem robi krzakom płaskie brzegi, a kolczaste łodyżki, jeżyny i małe, brązowe *punaises* sypią się na ziemię. Nawet dla dojrzałych ostróżyn nie ma litości.

- O, nie! - krzyczę.

- Chodźmy ratować jeżyny! - woła Margot.

- Zdecydowanie! - przytakuję i zbiegamy ze wzgórza. Claude jeszcze nas nie słyszy.

- Piwonio!

Zatrzymuję się i odwracam. To naprawdę Mamunia. Stoi przy furtce i macha rękami nad głową.

- Piwonio!

Musiałam naprawdę strasznie nabroić, choć nie przychodzi mi do głowy żadna przewina. Albo Mamunia rzeczywiście ma kleszcza. Ale nawet gdyby tak było, nie umiem jej pomóc. Moja pęseta jest tylko na niby, a ja mam dopiero pięć lat.

Mamunia idzie powoli ścieżką. Stoję bez ruchu i patrzę, jak się zbliża.

- Piwonio, chodź tu! - krzyczy. Boję się. Po kilku krokach zatrzymuje się i opiera o dąb. Przyciska czoło do pnia, a jej ramiona unoszą się i opadają.

- Jest zła czy smutna? - pytam Margot.

- Wydaje się smutna. Chyba - ocenia Margot. - A może jej niedobrze.

- Lepiej chodźmy sprawdzić.

- Tak - przyznaje Margot.

Zawracamy i wspinamy się ścieżką pod górę. Spokojnie, nie biegiem.

Zbliżając się, widzę, że z Mamunią faktycznie dzieje się coś złego. Przeszła jeszcze kilka kroków, ale potem ponownie stanęła. Łzy leją się strumieniami po jej policzkach, a ona ryczy jak lew. Jest gorzej, niż kiedy ciskała brzoskwiniami w traktor.

Margot chwyta mnie za ramię.

- Nie idź - mówi.

- Margot, to na nas się wścieka?

- Nie wiem - odpowiada Margot. - Spytajmy lepiej Claude'a, będzie wiedział, co robić.

Margot bierze mnie za rękę i pędzimy z powrotem w dół ścieżką, żeby jak najszybciej znaleźć się przy Claudzie.

- Claude! - wołam. Chlast, ciach.

Chyba wypowiedział chaszczom wojnę.

- Claude! - krzyczy Margot. Chlast, ciach.

Cóż, rzeczywiście bardzo go podrapały.

- Claude!

Gdyby Merlin tu był, już dawno by szczekał. Chlast, ciach.

Jesteśmy już tuż za Claudeem. Głośno dyszę. Wyciągam ręce, żeby zatrzymać się na jego nogach. Chlast, ciach.

- Claude! - wołam raz jeszcze.

W tym samym momencie, za nami, Mamunia krzyczy:
„Piwonio! Piwonio!”

Robimy tyle hałasu, że nawet Claude nas słyszy i podnosi wzrok znad krzaków, odwracając się w stronę, z której dobiegają głosy. Ale nie zdążył skończyć zamachu nożem.

Chlast.

A my nadal biegniemy.

Jest za późno, żeby cokolwiek zatrzymać.

Widzę ostrze noża pędzące wprost ku mojej twarzy.

Rozdział 315

Krew leje mi się z czoła jak ulewa. Wpada mi do ust, lepka i zaskakująca. Mamunia biegnie do mnie. Ma tak szeroko otwartą buzię, że wygląda, jakby wprost z niej biło słońce. Jej oczy krzyczą: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam!” a głos wypowiada w kółko moje imię. Tuż przy mnie Claude woła: „Och! Och! Och!” Dźwięki zlewają się razem i za oczami czuję łupnięcie.

Mamunia wyciąga ręce, jakby chciała mnie złapać. Otwieram usta, żeby się odezwać, ale coś z hukiem wytrąca ze mnie oddech, jakby wewnątrz mnie trzasnęły drzwi. Margot puszcza moją dłoń i czuję, jak lecę, oddalając się od niej, padając plecami na ścieżkę.

Łapią mnie delikatne dłonie. Jest bardzo cicho. Jestem w prześlicznym, białym miejscu, pełnym uśmiechu. Powietrze jest szczęśliwe i chłodne. Jest mi cudownie wygodnie. Może leżę na obłoku, a może puszysta chmurka przykrywa mnie jak pierzynka. Trochę ciężko stwierdzić, ale nie ma to znaczenia. Czuję się senna i lekka, i to mi wystarczy.

- Obudź się! Obudź się! Obudź się! Nie chcę się budzić.
- Piwonio, musisz się obudzić. Pea, otwórz oczy. Wróć do mnie, Pea.

Z bieli wyłania się Mamunia. Woła mnie.

Miło byłoby pospacerować z Mamunią. Albo nie.

- Piwonio, spójrz na mnie. Piwonio, nie zostawiaj mnie!

Biel nabiera kolorów i czuję, że moje ciało spowite jest w ciało. Czy jakimś cudem trafiłam z powrotem do brzucha Mamuni? Wyciągam rękę, ale nie ma tu drugiego dziecka, tylko miękkość. Głowa mi pęka, w ustach czuję kwaśny smak. Cofam się, chcę z powrotem do szczęśliwego miejsca.

- Piwonio! Piwonio! Piwonio!

To Mamunia. Leżę oparta o nią przy prowadzącej na łąkę furtce. Tuli mnie, przyciska dłonie do mojego czoła. Trzyma jakiś materiał pachnący Claude'em, gorący i mokry. Kręci mi się w głowie.

- Trzymaj się, zostań ze mną, Pea - szepcze. - Już po nas jada, zaraz tu będą.

- Czarownice? - pytam. - Musimy uciekać?

- Nie czarownice, Pea. Pomoc. Pomoc już jedzie. Trzymaj się, maleńka.

Siedzimy w słońcu na drodze. Jak na pikniku. Mamunia otula mnie ramionami. Nadal mam wrażenie, że coś

wessało mnie z powrotem do jej środka. Chce mi się pić. Przy moich stopach zatrzymuje się samochód. Ma koła jak srebrne gwiazdy.

Jesteśmy w aucie z otwartymi oknami. Opieram się o Mamunię. Jej sukienka jest cała we krwi. Mama będzie zła. Wszystko zlewa się w jedno, szumi i faluje jak morze. Zamykam oczy, żeby przestało.

Jesteśmy daleko od wioski, za oknami migają niewyraźne, wysokie budynki. Claude siedzi za kierownicą. Bez koszuli. Jego twarz jest szarą górą, a łzy kaskadami strumieni.

Tatuś mnie niesie, przytula do owłosionej piersi. Pachnie słono jak Wietrzne Wzgórze. Jego szerokie ramiona trzymają mnie od spodu za plecy i pod nogami, a duża, szorstka dłoń podtrzymuje mi głowę.

- Trzymaj się, Pea - szepcze, a jego oddech jest jak ciepły wietrzyk.

Wszędzie wokół słyszę głosy, blisko i daleko. Krzyczą.

- Kocham cię, Tatusiu - mówię, ale on nie odpowiada.

Rozdział 318

Szpital jest biały i pachnie mopami. Leżę na łóżku, wpatrując się w kwadratowe światło na suficie i we włoski w nosie doktora. Kiwa nade mną palcami i zagląda mi w oczy, zamglone od łez, choć nie pamiętam, żebym płakała.

Mamunia siedzi przy łóżku i śpiewa. Nie zna słów, więc wymyśla piosenkę na bieżąco. Jedna piosenka przechodzi w następną, Mama śpiewa i śpiewa. Mocno ściska mnie za rękę, pochylona nad łóżkiem, i szepcze: „Przepraszam, Pea. Przepraszam, Pea. Przepraszam”. Jej łzy kapią mi na brzusek.

Kiedy dojechaliśmy, było mnóstwo zastrzyków. Pierwszy wbili prosto w ranę od słoniowego noża Claude'a. Bolało bardziej niż ciachnięcie maczetą. Potem zszyli mnie jak podarte spodnie. Pielęgniarka dała mi do zabawy strzykawkę, którą robiłam zastrzyki wszystkim wkoło, ale wcale nie było zabawnie, bo zszywanie szarpało, przerażało i było mi od niego niedobrze.

Nadal jest mi niedobrze.

Lekarz delikatnie podnosi mnie do pozycji siedzącej. - Dobrze, Mała Wojowniczo - mówi. - Już po wszystkim.

Potem zwraca się do Mamuni.

- Dużo krwi - informuje. - Tak to już jest z głowami, ale u pani córki mamy tylko draśnięcie.

Patrzy na mnie.

- Masz szczęście, że nóż trafił cię płazem, a nie ostrzem - mówi. - Nie będziesz już podbiegała do ludzi z nienacka, prawda?

- Nie - szepczę.

Doktor przenosi wzrok na Mamunię.

- Będzie miała porządnego siniaka - zapowiada. - Niech ją pani obserwuje. Gdyby miała zawroty głowy albo...

Przerywa w pół zdania, bo pielęgniarka szarpie go za łokieć i kiwa głową, wskazując podłogę. Wszyscy patrzymy w dół. Mamunia stoi w niespodziewanej kałuży.

Rozdział 320

Jest Pablo. Po tym, jak Mamunia przemoczyła majtki w gabinecie doktora, zabrali ją, żeby mogła go urodzić. Mnie przenieśli do pokoju z łóżkiem i telewizorem. Pani przyniosła mi obiad na tacy. Było pieczywo, jogurt, brzoskwinia i mięso z warzywami. Claude siedział przy mnie, kiedy jadłam i oglądałam telewizję, co jakiś czas wyglądając przez okno na parking, gdzie ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali.

- Przepraszam, Pea - powtarzał w kółko, co zrobiło się już dość nudne.

- Czy mój bandaż wygląda ładnie czy głupio? - spytałam go. A potem: - Czy twój nóż naprawdę służy do tropienia słoni? Zastanawiałam się, czy to nie zmyślona historia.

Ale Claude nie chciał poruszać tematu noża.

Po obiedzie przyszła ubrana na różowo pani, żeby zaprowadzić mnie do Mamuni, a Claude pojechał do domu po nasze walizki.

Mamunia siedzi w łóżku. Pablo śpi obok w plastikowym kojcu, który nazywa się *bassinette*. Jest trochę pomarańczowy i ma czarne włoski. Nie wygląda na wzorowego dzidziusia.

Siadam w nogach łóżka i Mamunia bierze mnie za rękę.

- Mogę zobaczyć twój brzuszek? - pytam.
- Mój brzuszek? Tak, dobrze, ale po co?
- Jestem ciekawa, czy drzwiczki jeszcze tam są, skoro Pablo już wyszedł.

-Drzwiczki? - Ale Mamunia bez sprzeciwu podnosi koszulę i kładę dłoń na jej brzuchu. Wzdryga się, jakbym ją połaskotała. Nie ma żadnych drzwiczek ani nawet śladu po nich. Brzuch Mamuni jest teraz o wiele mniejszy i miękki.

- Któredy Pablo się wydostał?

- Pablowi bardzo się spieszyło na świat - odpowiada. -Chciał poznać siostrę. Pan doktor mu pomógł.

Przez chwilę milczy, a potem przyciąga mnie do siebie. Jedną ręką oplata mnie w pasie, a drugą delikatnie odgarnia włosy, żeby zobaczyć opatrunek na czole.

- Strasznie mi przykro, Pea - mówi znów.

- To nie była twoja wina - odpowiadam. - Ani Claude'a. On jest trochę głuchy, wiesz?

Mamunia kręci głową ze smutkiem.

- Przepraszam, że zostawiłam cię całkiem samą.

- Nie byłam sama, Mamuniu. Miałam przecież Margot.

- Co powiedziałaś? - pyta Mamunia, a w tej samej chwili przez otwarte drzwi wchodzi do salki Claude.

- Cześć, Pea - wita mnie i wręcza mi lalkę-dzidziusia, różową, o okrągłej główce, zapakowaną jeszcze w pudełko. Ta wygląda jak wzorowy dzidzius, a do tego jest dziewczynką. Schodzę z łóżka i przytulam się do nóg Claude'a. Nie odwzajemnia uścisku. Nadal.

- Była też ze mną - Claude mówi Mamuni.
- No, to niezbyt wielkie pocieszenie - wyrzuca z siebie Mamunia cichym głosem, który brzmi jak krzyk.

- Robiłem, co mogłem - opowiada Claude. - Wiem, jak to może wyglądać z boku. Próbowałem z tobą porozmawiać. Pomyślałem, że może dotrzymanie towarzystwa Piwonii będzie najlepszym rozwiązaniem.

- To mała dziewczynka - podkreśla Mamunia. - To nie jest normalne!

Na twarzy Claude'a odmalowuje się gniew, ale nie podnosi głosu. Pablo śpi.

- Twoja córka całe lato biega sama po łące. Bawi się w chowanego w pojedynkę. Znalazłem ją samiuteńką pod drzewem w środku burzy. Na miłość boską, musi tworzyć zmyślane przyjaciółki, żeby sobie radzić z samotnością. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale Pivoine potrzebuje matki.

- Jak ją nazwałeś? - pyta Mamunia, patrząc na niego szklanym wzrokiem.

- Nazwałem ją Pivoine.

- Ma na imię Piwonia.

- Tak w zasadzie to mam na imię Pea - wtrącam.

- Wybacz, Pea - mówi Claude. - Czy Margot jest tu z tobą?

- Nie - odpowiadam. - Margot sobie poszła. Mamunia robi się biała jak ściana i przeszywa mnie

swoimi kalejdoskopowymi oczami, w których błyszczą łzy. Czuję, że tym razem zrobiłam coś naprawdę złego.

Claude przenosi spojrzenie z Mamuni na mnie. Zwieszam głowę i wbijam wzrok w buty.

- Dziewczynka, która... odeszła... - mówi wreszcie.

- Ona chyba nigdzie nie odeszła - włączam się znów. -Tylko...

Ale Claude ucisza mnie, kręcąc głową. Mamunia leje potoki łez, trzęsą jej się ramiona, ma czerwoną buzię i kapie jej z nosa. Pablo nadal śpi smacznie.

Pomalutku podchodzę do łóżka.

- Przepraszam, Mamuniu - szepczę.

Mamunia szeroko otwiera ręce. Wpadam w nią, aż ląduję plecami w poduszkach. Przytula mnie mocno do całej miękkobrzuchej siebie.

- Nie - mówi. - To ja przepraszam.

Wspinam się z powrotem do niej i zwijam na jej kolanach jak kotek. Mamunia głaska mnie po włosach. Przymykam oczy. Przez otwarte okno wpada chłodny wietrzyk, który owiewa mi twarz. Drzemię, ale słyszę nad sobą ich szepty.

- Jestem ojcem.

- Ja jej matką.

- Nie chciałem patrzeć, jak ją tracisz.

- Przystaniesz mi się tak przyglądać?

- Czytam ci z ust. -Och.

- Straciłem słuch w wypadku samochodowym. -Aha.

- Nikt nie powinien przeżywać utraty dziecka. Najlepiej to wiem.

- Straciłeś dziecko?

- Całą rodzinę.

- Och. Przykro mi. - Mamunia milknie.

- Zdaję sobie sprawę, że urody mi brakuje, ale chcę dobrze.

- Dobrze.

- Słuchaj, wszyscy wiedzą, że matka Amaury'ego chce ci odebrać gospodarstwo. Nawet jeśli sporo osób uważa, że trochę zadzierasz nosa, nikt nie chce patrzeć, jak wykopuje cię z domu. Amaury cię kochał. Ale jeśli chcesz tu zostać, musisz się postarać o paru przyjaciół.

Mamunia znów milczy. Jest tak cicho, że słyszę oddech Claude'a.

- Może zaczniesz ode mnie? - pyta ją.

Mamunia musi zostać w szpitalu przez tydzień. Wolno mi mieszkać z nią, w jej pokoju, bo w domu nie miałby się mną kto opiekować, choć osobiście uważam, że świetnie dałabym sobie radę. Moje łóżko stoi w kącie, a *bassinette* Pabla tuż obok. Pablo całkiem sporo śpi, a kiedy zasypia, Mamunia też zapada w sen. Wtedy na nią patrzę. Leży na brzuchu i leciutko wzdycha. Powieki jej drgają.

Codziennie przychodzą lekarze i pielęgniarki, którzy opiekują się Mamunią. Mierzą jej temperaturę termometrem i ciśnienie nadmuchiwanym rękawem oraz stetoskopem. Podają jej lekarstwa, bo ma różne bóle. Robią też inne rzeczy.

Ze względu na to wszystko, nie zadaję już tylu pytań, co dawniej. Wiem też, że panie nie mają drzwiczek, którymi dzieci wchodzą i wychodzą. Prawda jest jeszcze dziwniejsza.

Pablo okazał się sukcesem. Jest cały dokończony, poza pępuszkiem, ale to już dokończymy razem. Mamunia codziennie czyści miejsce, w którym będzie pępek. Podaję jej gazę - z niej robi opatrunek. Kąpiemy Pabla w dużej umywalce. Nabieramy wody w dłonie i polewamy mu główkę, na której jest meszek, jak na skórcie brzoskwini. Mamunia mówi, że Pablo jest podobny do Tatusia, co jest najśmieszniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek powiedziała. Tatus był wysoki, miał drapiącą brodę i jeździł na traktorze. Pablo jest tak maleńki, że kąpie się w umywalce, jest dziwnie pomarańczowy i w ogóle skóra na niego nie pasuje. Wcale nie przypomina Tatusia.

Odwiedzają nas różni ludzie. Najczęstszym gościem jest Claude, ale dziś zjawia się Mami Lafont. Claude ją przywiózł. Mami wchodzi do sali z naburmuszoną miną i zaciśniętymi w linijkę ustami. W wiedzłowatych palcach trzyma bukietek niebieskich kwiatków, który kładzie na łóżku.

- Dzień dobry - mówi, nie patrząc ani na mnie, ani na Mamunię. Potem leci prosto do *bassinette* Pabla.

- No, zobaczmy to dziecko - mówi.

- Śpi - informuje Mamunia.

Mami Lafont zagląda do kojca. Pablo leży na pleckach. Rączki wyciągnął nad głową i zacisnął dłonie w pięstki, jakby wiwatował po wygranym wyścigu.

- Och! - wyrywa się Mami Lafont. I nagle jej twarz pęka, otwierając się jak skorupka jajka na twardo. Z wierzchu sztywna, pod spodem miękka. Z oczu kapią jej łzy. Wyjmuje z torebki chusteczkę i zaczyna wycierać buzię.

- Co się dzieje, Mami Lafont? - pytam. - Nie podoba ci się? Ale Mami Lafont nie może oderwać wzroku od Pabla.

- Mój Amaury - mówi. - Wygląda zupełnie jak mój Amaury.

- Tak - odpowiada łagodnie Mamunia. - Jest podobny do swojego taty.

Dlaczego wszyscy ciągle o tym mówią? Będę potem musiała spytać Claude'a. On jeden nie opowiada tych bzdur.

Potem Mami Lafont patrzy na Mamunię, a ona odwzajemnia spojrzenie. Drgają im twarze, brwi, usta, wąskie oczy, szerokie oczy, ale nie pada ani jedno słowo. Wyglądają jak dwa psy, które spotkały się z nienacka. Zaraz zaczną się obwąchiwać albo jedna drugiej rzuci się do gardła.

- Zostajemy - odzywa się wreszcie Mamunia.

- Wiem - odpowiada Mami Lafont. - Dziękuję. Jest piękny. Opiekuj się nim dobrze.

- Może mogłaby pani czasem pomóc - wtrąca się Claude, który stoi w kącie i obserwuje je, jakby oglądał coś w telewizji.

- Gdybyś chciała? - pyta ostrożnie Mami Lafont.

- Jesteś jego babcią - odpowiada Mamunia.

- Czy moją babcią też jesteś? - pytam. Wszyscy odwracają się i patrzą na mnie, jakby zapomnieli, że w ogóle tu jestem. Moja matka wbija w Mami Lafont straszne spojrzenie, ale ta leciutko kiwa głową. Podchodzi i mnie przytula - najpierw sztywno, a potem ciepłej i mocniej.

- Oczywiście, że jestem twoją babcią - mówi. Mami Lafont odwraca się w stronę drzwi.

- Mogę zajrzeć do was jutro? - pyta.

- Oczywiście - odpowiada Mamunia.

Rozdział 26

Dziś ostatni dzień lata. Jutro idę do nowej szkoły.

Mam nowiućki plecak na kółkach, żeby wozić w nim wszystkie książki, nowe ubrania i nawet nową fryzurkę, znacznie ładniejszą niż ta, którą zrobiła mi Josette. Blizna wygląda mi spod grzywki, jaskraworóżowa i błyszcząca, jak moje dwa nowe rowerki. Claude przyprowadził je do nas do domu. Jeden jest dla mnie, a drugi dla koleżanki ze szkoły, jeśli chciałaby przyjść się pobawić. Wszyscy mówią, że poznam w szkole mnóstwo przyjaciół.

Na podwórku stoją cztery łóżka bez materacy. Claude pomalował je na żółto i siedzi przy nich, patrząc jak schną. Pablo śpi w jego ramionach. Pablo w ogóle śpi cały czas, z wyjątkiem nocy. W nocy budzi się na mleczko. Nie jest aż taki fajny, jak sobie wyobrażałam. Odkąd przyszedł na świat, nie zrobił jeszcze ani jednego fikołka. Mamunia mówi, że zapomniał, jak się je robi, ale będę go mogła nauczyć, kiedy podrośnie.

Pablo najbardziej lubi spacerować. Jeśli nie weźmie się go na dwór, to płacze, płacze i płacze. Doskonale się składa, bo dzięki niemu razem wędrujemy - Mamunia, Pablo i ja. Wózek podskakuje na ścieżce i sunie gładko po wiejskiej

drodze. Mamunia chodzi drogą z uniesioną tyłowi), a kiedy mijamy ludzi, mówię „Dzień dobry”. Mamunia też mówi „Dzień dobry” i posyła wszystkim szeroki uśmiech, bo jest dumna z Pabla. I wszyscy zatrzymują się, żeby się z nami przywitać i powzdychać „Ach, jaki śliczny!” i „Ach, cały Amaury!” Dlaczego w kółko to powtarzają? Powariowali? Naprawdę nie przypomina Tatusia.

Kiedy przystają, żeby pogratulować Mamuni, powygadywać te swoje głupoty i potarrosić mi włosy, ja kołysce wózek Pabla - tam, siam, tam, siam - żeby się nie denerwował, że stoimy. Potem znów ruszamy, paradując przez wioskę jak królewski orszak.

Ludzie przychodzą też do nas do domu - prawdziwi goście, których przyjmujemy. Claude jest codziennie. Przynosi jedzenie i kwiaty ze swojego ogrodu i naprawia usterki. Mamunia co dzień mówi mu: „Naprawdę, wystarczy, nigdy nie uda mi się odpłacić ci za to wszystko. Już dość zrobiłeś”. Ale Claude puszcza jej słowa mimo uszu. To nie to, że jej nic słyszy, po prostu ją ignoruje. Czasem odpowie coś w stylu „Starczy już, zajmij się sobą i dzidziusiem”.

Mami Lafont też nas często odwiedza, razem z Tante Brigitte. Przychodzą i podają sobie Pabla z rąk do rąk, podrzucają go i mówią do niego różne bezsensy. Przynoszą dżem, ciasta, oliwki i kielbaski. Codziennie. Babcia zrobiła pranie i wywiesiła je na sznurze. Umyła okna. Zakradła się nawet do stodoły i wyczyściła traktor Tatusia z brzoskwiniowej paćki.

Jostette wpadła do nas dwa razy. Za pierwszym razem przyniosła *quiche* i piwo. Powiedziała, że Mamunia powinna je wypić, bo jest dobre dla jej zdrowia i na mleko. Mamunia nie wypila piwa, ale po wyjściu Josette popłakała się i powiedziała, że ludzie są tacy dobrzy. To był chyba ten smutek, który czuje się, kiedy jest się szczęśliwym. Przy okazji drugiej wizyty Josette przyniosła mi kiść winogron ze swojego ogrodu. Już dojrzały i tryskały mi w ustach kwaskowatą słodyczą. Przyniosła też sweterek w prezencie dla Pabla. Jest żółto-czerwony i sama go zrobiła. Wygląda zabawnie, bo choć taki maleńki, i tak jest za duży na Pabla. Josette twierdzi, że dorośnie do niego w sam raz na jesień. Może skóra też zacznie na niego pasować.

Jesień już blisko. Turystów na targu ubywa i dni nie są już takie gorące, palące, skwierczące. Ale nadal jest słonecznie. Żółte łóżka są przeznaczone dla urlopowiczów. Claude wszystko zorganizował i już w przyszłym tygodniu mamy dwoje pierwszych gości. Zapłacą Mamuni za nocleg w letnich pokojach i kolacje z nami. Mamunia dusi ostatnie pomidory na sos.

Dziś wieczorem jemy kolację na zewnątrz. Zielony, plastikowy stół jest przykryty żółtą ceratą w czarne oliwki i niebieską gencjanę. W półmiskach leży pieczywo, pomidory i oliwki, a na dużym, białym talerzu są owoce, które Mamunia pokroiła już na deser. Owoce są ułożone łukami - jest szereg truskawek, arbuza, żółtych brzoskwiń, winogron, borówek, śliwek i fig.

Znad grilla unosi się zapach pieczonych kiełbasek i żeberek w miodzie. Dym rysuje wzorki w powietrzu. Mamunia stoi przy grillu. Trzyma w dłoni widelec, ale nie przewraca mięsa. Śpiewa. Cicho, cichuteńko tak, że ledwo słyszeć melodię, a słowa rozmywają się w ulatującym dymie. Kołysze się jak kwiat muskany lekkim wiatrem.

Podziękowania

Pisanie powieści to w dużej mierze samotna podróż, ale powołanie książki do życia to dzieło wielu osób, którym jestem bardzo wdzięczna.

Pragnę z całego serca podziękować Annette Green, mojej agentce, i Helen Garnons-Williams, mojemu wydawcy w Bloomsbury UK, za gorliwe wspieranie powieści i jej autorki.

Ogromne podziękowania kieruję do całego zespołu w Bloomsbury i do mojej adiustatorki, Sary-Jane Fondy, za pełne zaangażowania i skrupulatne przywiązanie do każdego szczegółu. Praca z Wami to dla mnie przyjemność i zaszczyt.

Serdeczne dzięki dla przyjaciółek, które czytały fragmenty powieści - Janet, Tracey, Alison i Mary - za Wasze rady i entuzjazm. Dzięki wszystkim przyjaciołom - zbyt licznym, by wymieniać ich z imienia (tak, o Ciebie mi chodzi!) - za otuchę, której dodawaliście cały czas. Najwspanialszy ze wszystkich był Charlie, mój najlepszy przyjaciel i kibic, który wszystko rozumie. Dziękuję.

Wiele osób pytało mnie, czy to tylko fikcja, czy może kryją się w niej elementy prawdy. Czy którekolwiek z wydarzeń jest autentyczne? Jak powiedziałaaby Pea: „Prawda jest jeszcze dziwniejsza”. Dziękuję więc także mojej mamie, Jenny, która nauczyła mnie na własnym przykładzie, że nawet, kiedy wydaje ci się, że nie dasz rady - dasz radę. Zwycięzysz.